ROZMOWA „DO RZECZY”

Mentzen o twardych warunkach konfederatów dla PiS

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 15/522 11–16 KWIETNIA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Zełenski w Warszawie: Czy to sukces? – piszą Semka i Warzecha

BURZLIWE LOSY SŁYNNEJ CZAROWNICY ZE SZCZECINA

Jak celebryci wychodzą na operacjach plastycznych w Turcji

Nagonka na Trumpa

ZMIERZCH AMERYKAŃSKIEGO SYSTEMU POLITYCZNEGO

ISSN 2299-8300

Nr indeksu 288 839

Nakład: 52 000 egzemplarzy

Nie trzeba wybierać między wiarą a rozumem. Można zachować jedno i drugie. Wiara i rozum mogą ze sobą współdziałać!

w|drodze

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY”

25% rabat!

Przy zakupie na wdrodze.pl, wpisz kod rabatowy: nauka

wdrodze.pl | sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 61 101 47 27

*Oferta ważna do 23.04.2023

eprasa.pl e2030e6019

W RZECZY SAMEJ

Prawdziwy powód oskarżenia

PAWEŁ LISICKI

Wielu polskich obserwatorów, obawiam się, nie rozumie znaczenia tego, co się obecnie dzieje w Stanach Zjednoczonych. Dla nich areszt i oskarżenie Donalda Trumpa przez prokuratora dystryktu Mannhattan, Alvina Bragga, są co najwyżej jedną ze zwykłych demokratycznych awantur. Ba, są i tacy, którzy gotowi są twierdzić, że proces ten to znak siły amerykańskiego państwa, bo pokazuje on równość wszystkich wobec prawa. Skoro zwykły prokurator nie boi się oskarżyć, a może i posadzić do więzienia Trumpa, to czyż nie jest to wspaniała nauczka dla wielkich i bogatych tego świata? Brzmi to, szczerze mówiąc, wyjątkowo naiwnie. Zwolennicy tezy o sile amerykańskiego systemu nie zauważają kilku prostych faktów.

Po pierwsze, same w sobie oskarżenia, z tego, co można na ten temat się dowiedzieć, robią wrażenie wyjątkowo dętych. Rzecz dotyczy tego, że siedem lat temu (siedem lat!) Donald Trump miał poprosić o zapłacenie za milczenie gwieździe porno 130 tys. dol. Pieniądze te przekazać miał jej jego adwokat, Michael Cohen. Na czym polega przestępstwo? Na tym, że pieniądze zostały wydane (tak je rzekomo zaksięgowano) z budżetu wyborczego, a nie z prywatnego Trumpa. Przy czym zarówno wspomniany adwokat, jak i była gwiazda wielokrotnie w tym czasie zmieniali zdania – on pierwotnie twierdził, że pieniędzy nie przekazywał, ona, że nic ją z Trumpem nie łączyło. Po 2020 r., po przegranej w wyborach, każde z nich doznało cudownego olśnienia.

Po drugie, tego typu naruszenie przepisów traktowane jest w stanie Nowy Jork jako wykroczenie i normalnie kara powinna ulec przedawnieniu. Stało się inaczej. Prokurator Bragg, który do tej pory – a urząd swój sprawuje od roku – wsławił się dążeniem do depenalizacji różnych ciężkich deliktów, w tym jednym przypadku uznał, że mamy do czynienia z poważnym przestępstwem. Po trzecie, wreszcie sama jego osoba budzi wątpliwości. Zdobył stanowisko dzięki kampanii, która kosztowała tysiące dolarów. Przypadki chodzą po ludziach: tak się akurat zdarzyło, że organizacja, która za nim stała, otrzymała wcześniej milion dolarów od George'a Sorosa. Te trzy powody sprawiają, że trudno widzieć w tych oskarżeniach przejaw działania państwa prawa. Jest to, przeciwnie, dowód na zaciekłość wojny politycznej.

Więcej. Przecież Trump nie jest tylko byłym prezydentem USA, lecz także, co ma jeszcze większe znaczenie, najpoważniejszym obecnie konkurentem Joe Bidena w wyborach 2024 r. Nie chodzi tu zatem jedynie o zemstę Sorosa na Trumpie, ale o coś, co można nazwać eliminacją kandydata opozycji metodami policyjno-siłowymi. Zaraz, zaraz. Czy to nam czegoś nie przypomina? Czy to jest praktyka demokratyczna czy autorytarna? Te podejrzenia rosną, jeśli przyjrzeć się im z perspektywy czasu. Znowu podam kilka ważnych argumentów.

Po pierwsze, zdecydowana większość amerykańskiego establishmentu nie kryje i nie kryła, że Trump jest ciałem obcym i że należy się go pozbyć. W 2020 r. „New York Times", swego rodzaju głos liberalnych elit, postawił sprawę jasno: ewentualne zwycięstwo Donalda Trumpa byłoby dziejową katastrofą dla Ameryki. Dlatego za wszelką cenę nie należy dopuścić do jego wyboru. Po drugie, wystarczy przypomnieć wieloletnie, zakończone fiaskiem próby impeachmentu Trumpa. Mimo zaangażowania gigantycznych środków demokratom nie udało się – a mieli wtedy większość – wszcząć procedury odwoławczej. Dlaczego? Bo zarzuty współpracy z Moskwą okazały się kompletnie wyssane z palca. Po trzecie, warto zwrócić uwagę na coraz bardziej agresywną i radykalną retorykę Joe Bidena, który tak Trumpa, jak jego zwolenników (republikanów MAGA – Make America Great Again) oskarża o faszyzm i terroryzm. Nigdy wcześniej żaden prezydent nie atakował w ten sposób swojego oponenta.

Co z tego wszystkiego wynika? Proces i oskarżenia mają być sposobem pozbycia się Trumpa z życia politycznego. Nie jest on ofiarą jednego Sorosa, ale swego rodzaju przymierza demokratycznych elit i tego wszystkiego, co się określa mianem Deep State, a więc służb i administracji, realnych dysponentów władzy w Waszyngtonie. To właśnie twierdzą, w Polsce praktycznie nieznani, konserwatywni amerykańscy publicyści, tacy jak Tucker Carlson czy Glenn Beck. Uważają oni, że żyjemy w chwili przełomu, starcia globalistów i obrońców dawnej Ameryki. Po jednej stronie są neokonserwatyści, dążący do narzucenia całemu światu globalnych ideologii klimatyzmu, aborcjonizmu, LGBT; po drugiej ci, którzy odwołują się do starych, zachodnich wartości: narodu, wolności, chrześcijaństwa. Trump może nie jest aniołem, ale jest w tej chwili jedynym znaczącym politykiem, który może powstrzymać marsz globalizmu. I to jest najważniejszy powód, dla którego się go zwalcza. ©℗

eprasa.pl e2030e6019

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR WŁOCZYK
DORWAĆ TRUMPA
Niezwykły proces w USA

20 JAKUB WOZINSKI
WŁADCA PRAWICOWYCH UMYSŁÓW

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA
PRZYJAŹŃ NA SIŁĘ
Zełenski w Polsce

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KLĄTWA PAPIESKA

26 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM MENTZENEM
MÓWIMY JASNO: MORAWIECKI MUSI ODEJŚĆ

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
POLSKIE UBÓSTWO ENERGETYCZNE

30 JAN FIEDORCZUK
EKSPERT OD PROPAGANDY

34 ROZMOWA Z KAROLEM NAWROCKIM
HISTORYCZNA ŁĄCZNOŚĆ MIĘDZY POKOLENIAMI

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
AKCJA OPERACJA

KULTURA

38 WIESŁAW CHEŁMINIAK
WIELKA HIPNOTYZERKA
Greta Garbo – najbardziej tajemnicza gwiazda Hollywood

40 PIOTR GOCIEK
MARIO VARGAS LLOSA – ZBYT INTELIGENTNY, BY PISAĆ POWIEŚCI

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 ROZMOWA Z PROF. BOHDANEM CYWIŃSKIM
SZAŃCE KULTUR NADAL PŁONĄ
Umiar i odrzucenie stereotypów

52 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
OD PIERWSZEJ WOJNY DO TRZECIEJ

55 WOJCIECH GOLONKA
SEKRET PAPIESKI

HISTORIA

58 ROZMOWA Z ELŻBIETĄ CHEREZIŃSKĄ
SZCZECIŃSKA CZAROWNICA
Wokół najnowszej książki Elżbiety Cherezińskiej

ŚWIAT

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
WOJNA O ŁAWRĘ
Agenci w riasach czy prześladowani chrześcijanie?

67 OLIVIER BAULT
BRYTYJSKA KONTRREWOLUCJA

70 TERESA STYLIŃSKA
MARMURY ELGINA I INNE SKARBY NIEZGODY

EKONOMIA

74 ROZMOWA ZE SZCZEPANEM WÓJCIKIEM
POLSKA NIE JEST CHŁOPCEM DO BICIA DLA BRUKSELSKICH BIUROKRATÓW
Rolnicy w całej Unii się budzą

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl e2030e6019

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Koniec gotówki", Łukasz Warzecha, „DRz" 12/2023

Szanowna Redakcjo,
W wydaniu „Do Rzeczy" nr 12 redaktor Łukasz Warzecha porusza niepokojący problem pod tytułem „Koniec gotówki", czego obrazem jest wysoki procent operacji bezgotówkowych w Polsce. Myślę, że wynika on raczej z tego, że tak dużo osób wybiera wygodę nad niezależność. Więcej w tym wpływu banków niż ustawodawcy. Darmowe konto, darmowe przelewy, darmowa karta z warunkiem określonej liczby operacji i minimalnej kwoty, dodatkowe bonusy przy korzystaniu z aplikacji mobilnej dają złudzenie wygody. Mój syn mi powtarzał: „Jak masz produkt za darmo, to sam jesteś produktem". Najwyraźniej informacje zbierane przez bank są więcej warte niż te wszystkie bonusy. Faktycznie technologia blockchain oferuje anonimowość przy pełnej kontroli wszystkich operacji. Gdyby księgi wieczyste były prowadzone w tej technologii, możliwość oszustw byłaby praktycznie żadna. Przy okazji nadmienię, że tak długo, jak za kryptowaluty czy cyfrowe waluty narodowe można kupić realne towary i usługi, nie są to pieniądze wirtualne. Ten termin zarezerwowałbym dla gier planszowych.

Z wyrazami szacunku
Tadeusz Wasiutyński

NEKROLOG

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Profesor Krystyny Ostrowskiej

wybitnego naukowca, wykładowcy akademickiego i badacza, psycholog i kryminolog, wieloletniej członkini Kolegium Redakcyjnego kwartalnika naukowego „The Prison Systems Review" (d. „Przegląd Więziennictwa Polskiego"), człowieka o nietuzinkowej osobowości, wielkiej wrażliwości i otwartości na innych ludzi.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy współczucia. Cześć Jej pamięci

składają

Rektor-Komendant, Senat i Społeczność Akademicka Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości oraz Zespół Redakcyjny Kwartalnika

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: **Tygodnik DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Oliver Contreras/Bloomberg, Joe Raedle/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
PRZEZ BIURO KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl e2030e6019

NA PIERWSZY OGIEŃ

Myślmy o pre-NATO dla Ukrainy

PIOTR SEMKA

Wizyta Wołodymyra Zełenskiego w Warszawie była okazją do powtórzenia wielu elementów politycznej retoryki, które od roku pojawiają się w relacjach polsko-ukraińskich. Prezydent Ukrainy kolejny raz przypominał rolę Polski w pomocy wojskowej dla jego kraju i dziękował za zaopiekowanie się uchodźcami zza naszej wschodniej granicy. Andrzej Duda w niezłym przemówieniu apelował do Europy, by nadal pomagała Ukrainie wytrwać w jej walce, i podkreślał wagę trwałego sojuszu naszych narodów.

Jednak najważniejsze były słowa obu głów państw o potrzebie budowania nowej, trwałej architektury bezpieczeństwa w regionie.

Chodzi o jakiś trwały system gwarancji obronnych dla Ukrainy na najbliższe trzy–pięć lat. Jeśli wojna zakończy się bez pełnego odbicia okupowanych przez Rosję terytoriów, to będzie to argument przeciw obecności ojczyzny Zełenskiego w NATO. Trzeba myśleć o systemie bezpieczeństwa i dozbrajania Ukrainy zarówno na wypadek, gdyby wojna skończyła się zwycięstwem, ale Ukraina jeszcze będzie na drodze do NATO lub gdy dojdzie jedynie do zamrożenia konfliktu.

Na początku lat 90. Lech Wałęsa rzucił ideę NATO-bis. Dzięki Bogu nic z tych niemądrych idei nie wyszło. Dziś w przypadku Ukrainy możemy myśleć o jakimś obronnym pre-NATO. Polem kooperacji obronnej, w której najważniejszą rolę odegrałaby Ameryka i państwa bukareszteńskiej dziewiątki oraz Wielka Brytania. Drzwi dla Francji i Niemiec winny być otwarte, jednak to Paryż i Berlin muszą wykazać, że są taką ideą zainteresowane.

Dlaczego taka struktura jest dla nas korzystna? Bo dopóki Rosja jest nieprzewidywalna i skłonna do agresji, dopóty w naszym interesie jest istnienie Ukrainy jako buforu oddzielającego nas od Moskwy. Spróbujmy realizować tę ideę ponad podziałami politycznymi. Bez jej powodzenia żadne plany odbudowy Ukrainy się nie udadzą. Nikt nie zainwestuje złamanego dolara w kraju, nad którym wisi ciągła groźba nowej wojny.

A co w wizycie mogło budzić rozczarowanie? Kolejny raz prezydent Zełenski ominął temat dyskusji nad wspólną historią. Podjął go prezydent Duda, ale nie doczekał się odzewu. Tymczasem w lipcu czeka nas okrągła 80. rocznica rzezi wołyńskiej. Nadal nie wiemy, czy gość z Kijowa rozumie jej znaczenie dla Polaków.

Cieszą zapowiedzi kontraktów dla polskiego przemysłu obronnego, ale na razie są to listy intencyjne i memoranda – poczekajmy na konkrety. Tak samo jest z wizjami korzyści dla polskich firm z odbudowy Ukrainy. Prawdziwa dyskusja na ten temat zacznie się, gdy ucichną działa. Nadal nie wiemy, czy ruszy ukraińska ofensywa i czy osiągnie sukces. Na razie wciąż ważą się losy Bachmutu, a Ukraina ogłasza, że jest gotowa do rozmów na temat statusu Krymu. To lekkie spuszczenie z tonu strony ukraińskiej.

Dymisja ministra rolnictwa Henryka Kowalczyka zakończyła awanturę o wyciek ukraińskiego zboża z rzekomego tranzytu. Ta historia to ostrzeżenie, że górnolotne plany w relacjach Warszawa-Kijów mogą się potknąć o drobne z pozoru sprawy. ©℗

FOT. SEBASTIAN NOWIK/REPORTER

NARASTA GNIEW ROLNIKÓW, RZĄD ZMIENIA MINISTRÓW

– Złożyłem rezygnację z funkcji ministra rolnictwa i rozwoju wsi, widząc, że podstawowy postulat rolników przez Komisję Europejską nie zostanie spełniony – oznajmił wicepremier Henryk Kowalczyk. Zastąpił go Robert Telus. Rolnicy, którzy protestują w całej Polsce (na zdjęciu w Szczecinie), twierdzą, że zmiana ministra nic im nie pomoże, i żądają od rządu systemowych rozwiązań. ***(jap)***

eprasa.pl e2030e6019

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Święta, święta i po świętach. Widzą państwo jakąś różnicę? W warszawskim ratuszu nikt nie widzi. Czego dowodzi wielka akcja z 8 kwietnia zatytułowana „Warszawska Wielkanoc". Składały się na nią: ekoplecionki, konkurs wiedzy ze słodkimi nagrodami, ekokartki, stroiki z rzeżuchą oraz wiosenne gaiki-maiki. Słowa takie jak „Jezus", „krzyż", „zmartwychwstanie" czy nawet „oczekiwanie" nie przyszły nikomu do głowy (ani na plakaty). Mamy więc podejrzenie, że określenie „Wielka Sobota" w ratuszu znane jest tylko w kontekście meczów Legii.

W poprzednim odcinku naszej rubryki pisaliśmy o romansie, jaki miał rozgorzeć między jednym z liderów opozycji a członkinią władz partyjnych. Wyrażaliśmy też nadzieję, że spotkania w garsonierze nieopodal Sejmu nie służą schadzkom, lecz kształtowaniu programu na wybory. Nadal mamy taką nadzieję, choć okazuje się ona coraz bardziej płonna. Otóż – jak się dowiadujemy – owa liderka jest już w trakcie rozwodu. I w tym momencie musimy głęboko westchnąć – wypad Petru na Maderę nikogo niczego nie nauczył.

Pozostali liderzy owej formacji opozycyjnej zaczęli wyciągać tymczasem z tego wszystkiego daleko idące wnioski. I już zaczęli podchody celem uzyskania tzw. miejsc biorących na listach innych partii. Problem polega na tym, że większość z nich to tzw. nołnejmy. Ich jedyną szansą na wejście do Sejmu było przekroczenie progu wyborczego przez ich własną formację. Tak się bowiem składa, że z wyjątkiem dwóch, może trzech osób wcześniej już zasiadających w ławach poselskich z innych formacji nikt nie ma szans na miejsca biorące.

Dementujemy – to nieprawda, jakoby Zły Donald z Sopotu nie klaskał w trakcie warszawskiego przemówienia Wołodymyra Zełenskiego, gdy usłyszał, że Rosja zostanie rozliczona za Buczę, Katyń i Smoleńsk. On po prostu nie włada językami innymi niż zachodnie, gdyż jest europejski. Więc pewnie słów prezydenta Ukrainy nie zrozumiał. Nie on jeden, bo nie klaskali też Klich i Bielecki. Zastanawia nas jedna kwestia: Czy to znaczy, że Grodzki i Borusewicz klaskali?

Dementujemy też opinię, jakoby Zełenski przemawiając na Zamku Królewskim, ominął drażliwe kwestie historyczne. Tak się bowiem składa, że oglądaliśmy w towarzystwie osób znających wybornie najtrudniejszy język świata – język dyplomacji. No więc tłumaczymy postronnym – kiedy prezydent mówi, że wiele było kłopotów we wspólnej historii, i dodaje, że nie powinno być w tej sprawie żadnych zakazów, to ma to swoje znaczenie.

Dementujemy przecieki z Platformy o tym, jakoby Rafcio Trzaskowski przebierał nogami, by zastąpić złego Donalda w zbliżającej się kampanii. Otóż nie, nie przebiera. Dementujemy też info, jakoby do królobójstwa namawiali go bliscy współpracownicy. Otóż nie, gdyż także współpracownikom przyświeca inna kalkulacja. Jak już się Zły Donald ostatecznie zgra i wyczerpie, to dopiero wtedy Rafcio będzie rozdawał karty. Jako prezydent. No i będzie kogoś mógł wypromować na premiera. Wśród ludzi Trzaska jest przynajmniej dwóch, którzy myślą: „A właściwie dlaczego nie ja?".

Nie wiemy, czy wiecie, że w Zjednoczonej Prawicy pojawił się nowy termin – trzeci koalicjant. I nie chodzi bynajmniej o formację Adama Bielana. Trzeci koalicjant to formacja zwana w skrócie BP. I nie chodzi o British Petroleum, ale o tego, kto obejmie władzę nad bankiem, którego nazwa kończy się właśnie tymi dwoma literakami. Na razie jest jeden do zera dla niejakiego Roberta Pietryszyna, który został szefem Rady Nadzorczej owego banku i ostrzy sobie zęby na stanowisko prezesa. Nasze wiewiórki jednak utrzymują, że długo to nie potrwa i ów bank niebawem zmieni szefa rady nadzorczej, a co za tym idzie – będzie również miał nowego prezesa.

Mamy złą wiadomość dla Eine Totalopposition. Jej postulat, by oddzielić funkcję szefa prokuratury od ministra sprawiedliwości, jest już nieaktualny. A to z tego powodu, że zrealizował go właśnie nie kto inny jak Zbigniew Ziobro. Oddał władztwo nad całą prokuraturą Dariuszowi Barskiemu. Dobrowolnie. Problem opozycji polega na tym, że szefa prokuratury – nawet gdyby rządy objęła obecna opozycja – nie będzie można odwołać bez zgody prezydenta. A prezydent akurat bardzo szefa prokuratury (zwanego Barrym) lubi. I zapewniamy, że nie będzie go chciał odwołać. Oczywiście opozycja będzie mogła uchwalić nową ustawę o prokuraturze. Ale mamy podejrzenie graniczące z pewnością, że prezydent odmówi podpisania aktu prawnego prowadzącego do ponownego jej upolitycznienia.

Zrozpaczony wzrostem słupków Konfederacji Robik Biedroń wezwał młode Polki do akcji „Głosujesz na Konfederację – nie idę z tobą do łóżka". Widać, że Robik może interesuje się słupkami, ale realia dziewczęcego elektoratu są mu obce. Otóż tak się składa, że każdy, kto widział zwolenniczki Konfederacji (to łatwe – są bardzo aktywne w mediach społecznościowych), ten wie, że to takie kobitki, że klękajcie narody. Wydaje nam się więc, że ich wpływ na wybory będzie większy niż wpływ apelu Robika. Inna sprawa – dlaczego właściwie w jakiejkolwiek sprawie kobiety miałyby słuchać Robika?

W związku z wezwaniem Robika odnotowujemy też, że zwolenniczki Konfederacji są pozytywnie nastawione do takich patriarchalnych opresyjnych wynalazków jak elegancki makijaż, seksowne odzienie, szpilki i tak dalej. Proponujemy więc akcję konkurencyjną do Biedroniowej: „Chcesz trafić do łóżka z piękną dziewczyną? Przesuń się na prawo". ©℗

eprasa.pl e2030e6019

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

ONZ czuwa

Z dniem 1 kwietnia przewodnictwo w Radzie Bezpieczeństwa ONZ objęła Rosja. Tak, mówimy o tej instytucji, która zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych „pełni czołową rolę w zapewnieniu pokoju i bezpieczeństwa na świecie". Miłym polskim akcentem tej zmiany jest to, że w imieniu swego kraju kieruje od ponad tygodnia pracami rady ambasador Wasilij Nebenzia – ten sam łysol, który pokazywał szacownemu gremium wydruk z Twittera naszego wybitnego specjalisty od spraw zagranicznych Radka Sikorskiego, gdy ten dowcipną aluzją wyjaśnił był, kto wysadził w powietrze rurociąg Nord Stream.

Po raz pierwszy od roku zarysowało się więc realne rozwiązanie problemu „operacji specjalnej" na Ukrainie. Wystarczy, żeby wojska Putina – czy raczej to, co z nich zostało – zamieniły literki „Z" na „UN" i włożyły błękitne kaski. RB ONZ uzna je za siły pokojowe, rozgraniczające skonfliktowane wojska wolnej Ukrainy z Doniecka i Ługańska od faszystowskich najeźdźców z Kijowa. Chiny powinny to klepnąć, co do innych członków Rady nie wiadomo, w każdym razie jesteśmy o krok bliżej tak upragnionego pokoju. Tym bardziej że wiceprzewodniczący niemieckiego parlamentu – z FDP, a więc kolega partyjny zabójców funduszy dla Polski z europarlamentu – ogłosił właśnie, że z Rosją tak czy owak „trzeba rozmawiać". Jeśli nie o krnąbrnej Ukrainie, to przynajmniej o ratowaniu klimatu. Myślę, że to jest w zasięgu: jeśli Rosja zaproponuje sposób, aby kolejne masakry w rodzaju tej w Buczy przeprowadzać w sposób mniej emisyjny, i zadeklaruje jakąś datę wymiany ciągników artyleryjskich i czołgów na elektryki, to takie porozumienie da się dla dobra całej ludzkości osiągnąć.

Niektórzy pytają, po co właściwie istnieją ta cała ONZ i jej nieopisanie kosztowne agendy, zajmujące się zapewnianiem światu zdrowia, dostatku, żywności, powszechnej edukacji, zaopiekowanych dzieci i – właśnie – pokoju. Wydaje się, że po to, żeby zbędna stała się tradycja prima aprilis. Przyznają państwo, że nic lepszego niż Putin na czele Rady Bezpieczeństwa żaden żartowniś nie wymyśli. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nie najlepszy ze światów

Nie znam ks. Dominika Chmielewskiego ani jego książki „Kecharitomene", ani jego ruchu. Jednak po sankcjach, które go dotknęły (i ich enigmatycznych uzasadnieniach), postanowiłem przynajmniej poznać zarzuty wobec jego poglądów. Przeczytałem krytyki Tomasza Terlikowskiego i Sebastiana Wiśniewskiego OMI. Okazało się, że o ile pierwszy zarzuca ks. Chmielewskiemu tendencje pelagiańskie, o tyle drugi przeciwnie – kwietystyczne. Prościej mówiąc – jeden, że nadto liczy na własne wysiłki człowieka, drugi – że nadto zdaje się na Opatrzność i orędownictwo Maryi. Dobrze byłoby więc, gdyby obaj krytycy nie tylko krytykowali ks. Chmielewskiego, lecz także podyskutowali na jego temat między sobą.

Jest natomiast rzecz, w której obie linie zarzutów się zbiegają. To krytyka dramatycznej wizji rzeczywistości, którą założyciel Wojowników Maryi rysuje. Jednak wizja ta jest po prostu częścią duchowości chrześcijańskiej, „bo dni są złe" (Ef 5, 16), a Apostoł przestrzega, że zagłada przyjdzie właśnie wtedy, gdy „będą mówić: »Pokój i bezpieczeństwo«" (1 Tes 5, 3).

Sprzeciw wobec tej dramatycznej wizji staje wręcz w centrum krytyki rozwijanej przez ks. Wiśniewskiego. Ksiądz Wiśniewski, teolog akademicki, przypomina, że kategoria „znaków czasu" była elementem historiozoficznego optymizmu Jana XXIII, który w encyklice „Humanae salutis" w ówczesnym świecie dostrzegał „objawy, i to dość liczne, które zdają się zapowiadać lepsze czasy Kościołowi i ludzkości". To przekonanie papież skonkludował potem, w mowie otwierającej Sobór Watykański II, przestrogą przed „prorokami nieszczęść". Tyle że – jak mówi Louis-Marie de Blignières FSVF – okazało się, że ci prorocy mieli rację. W każdym razie nie sądzę, by dziś Jan XXIII, patrząc na świat chrześcijański pod władzą aborcjonizmu, eutanazjonizmu, pedoseksualizmu podtrzymywał nadal swój historiozoficzny optymizm. ©℗

eprasa.pl e2030e6019

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O miłości francuskiej

Francuski Sąd Kasacyjny, pełen troski o niezbywalne prawa człowieka do życia w rodzinnym szczęściu, wypowiedział się przeciw wydaniu Italii 10 lewackich terrorystów, którzy we Włoszech w imię szalonej ideologii mordowali niewinnych i bezbronnych ludzi. Nigdy nie poniosą kary za swoje zbrodnie.

Francuska lewica tych ludzi wielbiła. Prezydent Mitterand dał im schronienie w swoim kraju. Byli ozdobą paryskich postępowych salonów i studiów telewizyjnych. Otaczał ich nimb rewolucyjnej chwały. Do dziś francuskie dzierlatki z Sorbony pod światłą opieką swoich szurniętych profesorków przyjeżdżają do Italii, aby zbierać materiały na potrzeby hagiograficznych prac magisterskich o krwawych rewolucjonistach Czerwonych Brygad w mrocznych „latach ołowiu" (1970–1990). Gdy Cesaremu Battistiemu, który jako bojówkarz Zbrojnych Proletariuszy na rzecz Komunizmu osobiście zamordował dwie osoby, groziła ekstradycja do Włoch, jego francuscy przyjaciele pomogli mu zbiec do Meksyku, a potem do Brazylii. Blisko 1,5 tys. asów lewicowego intelektu podpisało list w obronie Battistiego, w tym Gabriel García Márquez, Bernard-Henri Lévy, Daniel Pennac i oczywiście Roberto Saviano. Lektura porażająca: „Człowiek uczciwy, obdarzony wyjątkową siłą intelektu, którego skromne życie pełne było trudności i wyrzeczeń".

Włoscy lewaccy mordercy, którzy znaleźli schronienie we Francji, zostali we Włoszech skazani zaocznie na wiele lat więzienia. Co na to ich francuscy fani i francuski wymiar sprawiedliwości? „Proces był niesprawiedliwy, bo nie mogli się bronić".

Podobnie intrygująco brzmi uzasadnienie wyroku francuskiej Kasacji, która pod koniec marca ostatecznie wykluczyła ekstradycję 10 terrorystów do Włoch: „Ci uchodźcy we Francji założyli stabilne rodziny, więc ekstradycja pociągnęłaby za sobą nieproporcjonalnie szkodliwe konsekwencje dla ich życia prywatnego i rodzinnego". Nie trzeba chyba dodawać, że żaden z nich nie okazał skruchy i nie pokajał się przed rodzinami swoich ofiar. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl e2030e6019

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

TO TYLKO WŁAM

Z serii: „Nie chcę, ale muszę – kolejny odcinek telenoweli z życia człowieka katastrofy Antka Królikowskiego". Na instagramowym profilu aktora pojawiła się niedawno seria prywatnych nagrań i zdjęć przedstawiających zapłakaną Joannę Opozdę (jego żonę, z którą się rozwodzi, i matkę synka Antoniego). Materiały były naprawdę szokujące, ponieważ przedstawiały ciężarną kobietę w bezsprzecznie złym stanie psychicznym, która de facto błaga o pomoc i zainteresowanie. Szybko zniknęły z Instastory Królikowskiego, a sam aktor informował, że jego konto na portalu zostało zhakowane. Większość internautów, wśród nich sama Opozda, nie chciała uwierzyć, że doszło do zhakowania (niezwykle wygodne wytłumaczenie własnych błędów, prawda?), tylko Królikowski po raz kolejny się „odkleił". Jednak aktor idzie w zaparte. „Wczoraj wieczorem padłem ofiarą cyberprzestępstwa. Pragnę zapewnić, że wbrew temu, co może się niektórym z państwa wydawać, nie jestem osobą odpowiedzialną za opublikowane na moim Instagramie materiały" – rozpoczął swoje oświadczenie. Wspomniał, że jego zdaniem doszło do przestępstwa. „Doszło do poważnego przestępstwa określanego jako podszywanie się i kradzież tożsamości z art. 190a kk, za co grozi do ośmiu lat pozbawienia wolności" – przekazał w internetowym oświadczeniu. „Postępowanie zostało zainicjowane w dniu dzisiejszym, zgłoszone są liczne dowody, zostali przesłuchani pierwsi świadkowie. Na ten moment nic więcej powiedzieć nie mogę dla dobra sprawy" – podkreślił Królikowski. No cóż, można to wszystko podsumować tylko tak: sukces goni sukces.

FOT. FOTON/PAP

ZWOLNIENIE I WOLNOŚĆ

Jeśli o sukcesach mowa. Agnieszka Kaczorowska vel Bożenka z „Klanu" przekazała fanom przykrą nowinę – straciła pracę w teatrze. I żeby nie było – nie naśmiewam się z faktu, że ktoś został zwolniony, a jedynie delikatnie obśmiewam pseudoduchową otoczkę. O tym zaraz. – Czuję się w obowiązku poinformować was, że na trzy dni przed spektaklem dostałam telefon od pani producent Teatru Tu i Teraz, że ja nie zagram tych spektakli i zagra je moja dublerka – ogłosiła Kaczorowska. Jej zdaniem w teatrze panowała nieprzyjemna atmosfera i „nie jest pierwszą osobą, która została tak potraktowana". Aga, jak to Aga, dorobiła do tej sytuacji coachingowo-uduchowioną aurę. – Ja się dzisiaj czuję niesamowicie wolna i taka lekka bardzo. Chyba zdjęłam bardzo ciężki plecak ze swoich pleców. Jeżeli ty też czujesz, że to już czas powiedzieć „stop" – odejść z miejsca, w którym pracujesz, odejść z jakiejś relacji, gdzie ktoś lub ileś osób nie traktuje cię okej, to zrób to – zaapelowała. A na dodatek Aga będziesz miała więcej czasu na Instagram. Same plusy!

AFERA KULTURALNA

Oskarżenia rzucane pod adresem teatru przez Kaczorowską nie pozostały bez odpowiedzi. Głos zabrała sama szefowa placówki. „W nawiązaniu do wypowiedzi Pani Agnieszki Kaczorowskiej oświadczam, że Teatr Tu i Teraz odnosi się do Pracowników oraz wszystkich osób Współpracujących z godnością i szacunkiem oraz nie daje zgody na nieetyczne zachowania" – podkreśliła Kamila Polak. Trzeba przyznać, że od razu zrobiło się jakby mniej sympatycznie „Jedyne, co możemy potwierdzić, to fakt zakończenia współpracy z dniem 30.03.2023 z Panią Agnieszką Kaczorowską w spektaklu »Ślub doskonały«. Jednocześnie oświadczam, że jeżeli Pani Kaczorowska nie zaprzestanie publikowania nieprawdziwych i zniesławiających informacji, to deklaruję poinformowanie opinii publicznej o pełnych powodach decyzji i skieruję sprawy na drogę prawną". Zdecydowanie mniej sympatycznie.

LOGIKA GÓRĄ

Choć rubryka ta nosi nazwę „Gwiazdobzdur", to niekiedy trzeba odnotować jakiś „niebzdur". Brawa i owacje należą się Dorocie Szelągowskiej, prezenterce telewizyjnej, która jest znana jako specjalistka od urządzania wnętrz. Pani Dorota powiedziała rzecz zupełnie oczywistą i logiczną, która brzmi w dzisiejszym świecie jak coś szalonego. Mianowicie, że jeśli jesteś za tzw. wolnym wyborem, czyli aborcją, głosisz to jawnie i popierasz, to nie możesz być katolikiem. – Jeżeli ja w tej chwili zakładam klub i mówię, że do mojego klubu mogą należeć tylko ludzie, którzy mają zakolanówki w kolorze czarnym i czarną górę, to ty mówisz: „Spoko, bo mam czarny podkoszulek, więc należę". To ja mówię: „Kuba, nie, bo masz białe skarpetki". To trochę tak jest z katolicyzmem, rozumiesz? Nie możesz powiedzieć: „Jestem za aborcją, ale jestem katolikiem". To znaczy, że nie jesteś, choć możesz nadal wierzyć. Nie możesz powiedzieć: „Jestem za małżeństwami osób LGBT, ale jestem katolikiem". Nie jesteś katolikiem. Nie można być trochę w ciąży. To jest bardzo proste – wytknęła Szelągowska w podcaście „Wojewódzki & Kędzierski". Gwiazda mówiła o tym w kontekście własnej wiary – przyznała, że choć kiedyś była „katolką", to dziś nie jest jej blisko do żadnej wiary. – Mnie wkurza, jak ludzie właśnie wybiórczo traktują te rzeczy. Kościół katolicki zakazuje akupunktury, zakazuje medycyny chińskiej, zakazuje jogi. Uprawiasz jogę? To nie mów mi, że jesteś katolikiem, bo robisz wbrew – podsumowała. Brawo Dorota! ©℗

eprasa.pl e2030e6019

Pomóż obronić polskie lasy

Tak jest dzisiaj:

- Lasy Państwowe zapewniają pół miliona miejsc pracy.
- Gospodarka leśna gwarantuje stabilny dostęp wysokiej jakości surowca.
- Prawo zapewnia każdemu swobodny wstęp do lasów.
- Leśnicy chronią przyrodę, gwarantując stały wzrost powierzchni lasów.

Tego chce Unia:

- Odebrać Polsce prawo do zarządzania polskimi lasami.
- Narzucić unijne zakazy, niszcząc polski przemysł drzewny.
- Wyeliminować polską konkurencję na europejskim rynku.
- Wprowadzić agresywną politykę klimatyczną, wywołując wzrost cen drewna.

przewróć stronę i zostaw podpis

Tak chcemy obronić lasy

Nasza ustawa zakazuje wprowadzania nowych unijnych przepisów. Daje gwarancję polskiego zarządu nad polskimi lasami

Uznaje wszystkie lasy Skarbu Państwa za dobro wspólne. Zapewnia każdemu dostęp do wszystkich terenów leśnych

Nakazuje rządowi dbać o lasy będące własnością Skarbu Państwa. Zobowiązuje chronić narodowy charakter lasów

Uniemożliwia prywatyzację polskich lasów. Chroni przed niekontrolowaną wycinką

Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „W obronie polskich lasów" na rzecz ustawy o zmianie ustawy o lasach

Wykaz obywateli, którzy udzielają poparcia obywatelskiemu projektowi ustawy o zmianie ustawy o lasach

L.p.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis	Adres e-mail*
1					
2					
3					
4					
5					
6					
7					
8					
9					
10					

Podpisy zebrał/a [imię, nazwisko, adres]: _____

[telefon, e-mail]: _____

Administratorem danych osobowych jest Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „W obronie polskich lasów" na rzecz ustawy o zmianie ustawy o lasach, ul. Narutowicza 6/U1, 70-231 Szczecin Podanie danych osobowych jest dobrowolne, jednakże ich niepodanie uniemożliwi udzielenie poparcia inicjatywie ustawodawczej Administratora. Dane osobowe przetwarzane są na podstawie ustawy z dnia 24 czerwca 1999 r. o wykonywaniu inicjatywy ustawodawczej przez obywateli oraz art. 6 ust. 1 lit. c. e Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2016/679 z dnia 27 kwietnia 2016 r. w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych i w sprawie swobodnego przepływu takich danych oraz uchylenia dyrektywy 95/46/WE w celu wniesienia obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej do Marszałka Sejmu RP, a także w celu prowadzenia kampanii informacyjnej, informowania o przebiegu zbierania podpisów, o dalszych losach inicjatywy ustawodawczej. Więcej informacji o przetwarzaniu Pani/Pana danych osobowych jest dostępnych na Karcie Klauzuli Informacyjnej lub na stronie www.wobroniepolskichlasow.pl. W każdym czasie przysługuje Państwu prawo do żądania dostępu do treści danych, ich poprawiania, sprostowania, ograniczenia przetwarzania oraz prawo do wniesienia skargi do organu nadzorczego (Urzędu Ochrony Danych Osobowych, ul. Stawki 2, 00-193 Warszawa). Dane osobowe zostaną usunięte, gdy staną się niepotrzebne do celów, do których zostały zgromadzone.

*Podanie adresu e-mail jest dobrowolne i nie ma wpływu na przebieg inicjatywy ustawodawczej, jednakże jego podanie oznacza zgodę na przetwarzanie i otrzymywanie materiałów i informacji.

Krok 1. Zapisz wszystkie dane

Krok 2. Wytnij

Krok 3. Wyślij na adres:
ul. Gabriela Narutowicza 6/U1
70-231 Szczecin

eprasa.pl e2030e6019

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, dramat. Z okazji rocznicy śmierci Jana Pawła II PKP rozdawały pasażerom kremówki. To haniebny przykład zaistnienia braku rozdziału Kościoła od kolei. Przecież pociągi powinny być świeckie, jeździć po neutralnych światopoglądowo torach, a nie skręcać do zajezdni z napisem „katolicyzm".

Bez kitu, ale jesteśmy dumni z tej metafory.

W każdym razie: Czy koleje państwowe będą celebrowały teraz rocznice związane z innymi przywódcami religijnymi? Czy buddyści będą mogli liczyć na wegańskie Budda Bowl z komosą ryżową? A dla judeoosób będzie serwowany bajgiel? A dla osób islamskich? A dla ateistów?

Poza tym, no litości, te kremówki były z pewnością niewegańskie i założylibyśmy się o każde pieniądze do wysokości 10 zł, że nie pochodziły z żadnej porządnej kraftowej piekarni lub cukierni na Powiślu, tylko zostały gdzieś pokątnie wypiekane i przygotowywane w małym ośrodku. Dlaczego więc, poza wszystkim innym, postanowiono na zorganizowaną dyskryminację wegan? Czy przygotowano alternatywę w postaci bezglutenowego, wegańskiego i bezsmakowego placka?

Ech, martwi nas to wszystko, dlatego też, iż my tu rozmawiamy o fundamentach, diecie, równości, a organizacje państwowe jak gdyby nigdy nic nadal promują jedyny słuszny światopogląd, a że dzieje się to w roku wyborczym, to pewnie tylko przypadek, co?

Kolejny etap fashystoffskich zmian w Europie już się dokonał. Pamiętacie tę fajną premierkę Finlandii? Tę, która była wychowywana przez parę lesbijek, tak zaje.iście fajnie potrafi się bawić na domówkach, z których wideo można obejrzeć w sieci; która spotykała się z Biedroniem i wspierała waginoosoby z Polski w ich prawie do wyboru?

Brzmi super, co nie? Kto z was nie chciałby takiej osoby na najważniejszym stanowisku w państwie, a może nawet i Europie? Która przecież potrzebuje utalentowanych, silnych i charyzmatycznych liderów, od kiedy z KE odszedł pan premier Tusk.

No właśnie, skoro tak myślicie, to jesteście o krok bliżej Europy niż Finowie, którzy w ostatnich wyborach, mając taką fajną – podkreślmy to kolejny raz – premierkę, postanowili w wyborach głosować na ugrupowania prawicowe, a więc skrajne, na których czele nie stoi już młoda dynamiczna waginoosoba, ale za to biali mężczyźni w średnim wieku.

W naszym okazjonalnym kąciku socjologicznym dziś chcielibyśmy poruszyć temat wyników badania, według którego Polacy na tegoroczne Spring Holidays planowali wydać więcej niż rok temu.

No jakbyśmy nie próbowali myśleć o tym inaczej, tak oczywiście pasuje nam to do narracji o starych samochodach, starych i nieekologicznych domach, wakacjach w granicach jurysdykcji lokalnego GOPS-u i wielkich kredytach na małe mieszkanie.

Po prostu typowy polski mindset zakłada podejście „postaw się, a zastaw się" – czyli na co dzień się oszczędza na wszystkim tym, co wymieniliśmy powyżej, ale jak przychodzą święta, to trzeba kupić tony kiełbasy, jaj, nagotować litrów żuru, iżby sąsiadowi oko z zazdrości zbielało. Już kiedyś mówiliśmy – za tymi Polakami to nie nadążysz. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Jak ja się stresowałem

Heniu, rozumiesz. Musiałem.
Daj spokój, Jarek. Ja się nigdy tak wspaniale nie czułem. Ty wiesz, jak ja się stresowałem? Że mnie np. o coś tam zapytają rolniczego, a ja nie będę wiedział. Krowę z bykiem pomylę czy coś.

No i jeszcze te jajka...
A nie, z jajkami to sobie już poradziłem. Dostałem tydzień temu od Mariusza takie urządzenie specjalne, osłonowe. Tylko co ja mam teraz robić? Muszę Mateusza pilnować, to wiem. Ale może coś tam byś mi dał, żebym się tak nie nudził?

Pomyślę... A może coś z tym, no, Internetem?
Ale ja umiem tylko komputer włączyć!

Phi. Ja tego nawet nie umiem, a rządzę wszystkim. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kolejne święta, te Bożego Narodzenia, będą dużo tańsze, będą radosne, bo będą już po zwycięskich wyborach".

BORYS BUDKA, *poseł, szef Klubu PO, na posiedzeniu klubu Koalicji Obywatelskiej w Toruniu*

eprasa.pl e2030e6019

Cały las w kieszeni

W dobie wszechobecnych smartfonów, które wyręczają nas niemalże we wszelkich kwestiach, można by pomyśleć, że tylko las jest w pełni realny i namacalny. I tak jest rzeczywiście, jednak znalazł on też swą niszę w naszych kieszonkowych komputerach, oferując dodatkową wiedzę leśną

Ponad 10 lat temu w głowach leśnych specjalistów narodziła się koncepcja, by wiedzę leśną, już wtedy skrzętnie gromadzoną w formie cyfrowej, wykorzystać do stworzenia specjalnego miejsca w sieci. Pomysł ten spełniał wymogi prawa, ponieważ zmiany w ustawie o lasach nałożyły na leśników obowiązek prowadzenia takiego zbioru informacji. Tak powstał pomysł stworzenia Banku Danych o Lasach (BDL). Leśnicy z Lasów Państwowych, wespół z pracownikami Biura Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej (BULiGL), postanowili w jednym miejscu, niejako hurtowo, udostępnić informacje dotyczące lasów każdej formy własności. Jakby tego było mało, BDL miał też gromadzić i przetwarzać dane, które pozyskiwał nie tylko z własnego systemu Lasów Państwowych, lecz także od wszelkich możliwych zewnętrznych źródeł informacji. A wszystko to finansowane jest z własnych pieniędzy wypracowanych przez leśników.

Oczywiście narzędzie to przeszło wiele testów, zanim trafiło w ręce, a raczej na monitory licznego grona użytkowników. Pilotażowy program wdrożenia BDL trwał trzy lata, by w okolicach roku 2013 rozpocząć swą oszałamiającą karierę. Bynajmniej słowa te nie są rzucone ad hoc – ponieważ właśnie w tym roku, po dekadzie funkcjonowania, można

eprasa.pl e2030e6019

stwierdzić, że projekt ten był strzałem w… dziesiątkę!

LEŚNE ABECADŁO

Czym jest BDL? Jak już wspomniano, pewną hurtownią danych o lasach. To określenie dość ogólne, ponieważ tak naprawdę to prawdziwa skarbnica wiedzy o polskiej gospodarce leśnej i jej otoczeniu. Bank gromadzi bowiem informacje ze wszelkich form użytkowania lasów zarówno na poziomie kraju, jak i regionu. To niewyczerpywalne źródło informacji nie tylko dla specjalistów, którzy lasami różnych form własności muszą gospodarować, lecz także dla tych, którzy traktują las jako miejsce wypoczynku.

W BDL bowiem znaleźć można nie tylko suche dane liczbowe, których faktycznie nie brakuje, lecz także wszelkiej maści mapy. I to one tak naprawdę są tym, co zainteresuje każdego, komu lasy są bliskie. Mapy bowiem, jeśli potrafimy je czytać i właściwie interpretować, mogą nam powiedzieć o lesie więcej niż niejeden podręcznik.

BDL-owska mapa interaktywna jest właśnie taką „kartograficzną książką o lasach". Tak naprawdę to konglomerat map, ponieważ mamy ich do wyboru kilka: podstawową, pokazującą podział kraju pod kątem podziału lasów; form własności lasów; drzewostanów; siedlisk leśnych; zbiorowisk roślinnych; łowiectwa; zagrożenia pożarowego; zakazów wstępu czy turystyczną. Każda z nich może służyć innym grupom zainteresowanych.

Skupmy się jednak na tych mapach, które są najpopularniejsze, czyli związanych z turystyką i zagrożeniami oraz zakazami wstępu. Lasy Państwowe są otwarte dla wszystkich, co nie jest tak często spotykane w świecie czy Europie. Jednak nawet w nich obowiązują pewne zasady. Dlatego też powstała mapa zakazów wstępu, która mówi nam, gdzie wchodzić nie wolno i z jakich, ogólnie, przyczyn. Zazwyczaj zakaz związany jest z działaniami ochronnymi prowadzonymi na tym terenie – zwalczanie szkodników – lub w związku tym, że wydarzyło się coś, co może zagrażać bezpieczeństwu ludzi: obszar może być np. niedostępny ze względu na połamane po wichurze drzewa. Na mapie tej też widać zakazy wstępu ze względu na niebezpieczeństwo wybuchu pożaru. Te informacje prezentuje także osobna mapa zagrożenia pożarowego, która na bieżąco wskazuje obszary, gdzie wchodzić nie wolno. Obie te mapy warto oglądać przed planowanym wyruszeniem w leśne ostępy na wycieczkę czy grzyby.

Jednak najbardziej interesującą mapą dla przeciętnego mieszkańca Polski jest mapa zagospodarowania turystycznego. To na niej zaznaczono wszelkie udogodnienia służące tym, którzy z lasu korzystają z jego poszanowaniem. Mapa ta wskazuje m.in. lokalizację miejsc postoju aut, obiekty turystyczne, ścieżki turystyczne i dydaktyczne czy obszary objęte programem „Zanocuj w lesie". Dzięki tym danym pozwala to na zaplanowanie całej trasy leśnej włóczęgi lub biwaku na łonie natury. A wszystko to na podkładzie mapy leśnej, czyli najbardziej szczegółowego planu naszych lasów; to gwarancja rzetelności zamieszczonych nań danych.

Jednak tym, co chyba w BDL najciekawsze z punktu widzenia przeciętnego użytkownika, jest to, że można pobrać jej wersję smartfonową, o nazwie mBDL, całkowicie za darmo (co uczyniło już ponad milion osób!). A wtedy naprawdę cały zbiór danych o lesie znajduje się w naszej kieszeni (łącznie z opcją zaznaczenia pozycji auta i naszej oraz wyznaczenia trasy powrotu na przełaj na parking!). To także pewność, że nawet gdy się zgubimy podczas zbioru leśnych darów, łatwo odnajdziemy drogę powrotną (oczywiście wszystko zależy od zasięgu sieci telefonicznej).

TWARDE, MERYTORYCZNE DANE

Dziesięć lat to może niedużo w skali wieku lasu, ale całkiem sporo w kwestii leśnego oprogramowania. To też dobry moment na pewne podsumowanie. O takowe pokusił się Edward Siarka, wiceminister klimatu i środowiska, podczas spotkania z twórcami BDL:

– Gratuluję i dziękuję wszystkim osobom zaangażowanym w rozwój Banku Danych o Lasach za dotychczasowe sukcesy na polu gromadzenia, aktualizacji oraz przyjaznego udostępniania profesjonalnej wiedzy o lasach. Obecnie bardzo często stajemy w obliczu konieczności wykazywania racjonalności i pozytywnych efektów działań prowadzonych w ramach zrównoważonej gospodarki leśnej. Twarde, merytoryczne dane służą jako dowód wzrostu ilości i wartości zasobów leśnych w Polsce. Jest to efektem ciężkiej pracy wielu pokoleń leśników.

Leśnicy i urządzeniowcy nie spoczywają jednak na laurach, planując dalszy rozwój leśnej bazy danych. Wśród pomysłów jest jeszcze szersze wyjście do wszystkich zainteresowanych danymi o lasach, szczególnie w odniesieniu do samorządów i innych zarządców lasów, wprowadzenie danych odnośnie do planów urządzania lasu, by wyjść naprzeciw oczekiwaniom pewnych grup społecznych, oraz stałe aktualizowanie danych o tym, co w lesie się dzieje.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl e2030e6019

Donald Trump to pierwszy były amerykański prezydent postawiony w stan oskarżenia

FOT. THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

Dorwać

Piotr Włoczyk

W bardziej optymistycznej dla demokratów wersji zarzuty karne dla Trumpa nazywane są przez ekspertów „nowatorską teorią prawną". Nie brak jednak opinii, że sprawa przeciw byłemu prezydentowi to „prawne voodoo" będące polityczną zemstą

eprasa.pl e2030e6019

Trumpa

Przedstawienie Trumpowi zarzutów i zdjęcie mu odcisków palców jest niezwykłe nie tylko dlatego, że pierwszy raz w historii były amerykański prezydent został postawiony w stan oskarżenia. Znawcy meandrów amerykańskiego systemu prawnego zwracają również uwagę na to, że zarzuty wobec Trumpa to pierwsza tego typu konstrukcja prawna, która nigdy jeszcze nie była poddana testowi na sali sądowej.

Cyrus Vance Jr., były prokurator z Mahnattanu, który był poprzednikiem Alvina L. Bragga – obecnego prokuratora ścigającego Trumpa – otwarcie stwierdził niedawno na antenie NBC News, że zarzuty wobec byłego prezydenta są sformułowane w bardzo niestandardowy sposób. „To sprawa, która będzie miała olbrzymie konsekwencje. Nic podobnego nie miało wcześniej miejsca. To jest nowinka w prawie – mówił Vance Jr. – Prawnicy prezydenta zaczną zapewne od podważenia tego, dlaczego wykroczenie zostało podniesione do rangi przestępstwa".

Wydaje się, że sedno tej sprawy dobrze ujął dziennik „The New York Times", który w głównym tekście po przedstawieniu Trumpowi zarzutów w następujący sposób to podsumował:

„Było to również przełomowe dla prokuratora, który prowadzi tę sprawę – prokuratora okręgowego z Mahattanu Alvina L. Bragga. Po wszystkim wygłosił on przemówienie w sprawie zarzutów, zwieńczające wydarzenie, które dało jego liberalnej bazie z Manhattanu tak wyczekiwany moment katharsis: Pierwszy dzień Trumpa w sądzie w charakterze oskarżonego z zarzutami karnymi".

SPÓR POLITYCZNY

Lewa strona amerykańskiej sceny polityczno-medialnej nie ukrywa nawet, że w tle tych zarzutów widać spór polityczny. Alvin L. Bragg to przecież zdeklarowany demokrata, który wygrał wybory (w USA prokuratorzy okręgowi wybierani są przez wyborców), zapewniając swoją „bazę" m.in. o tym, że – w przeciwieństwie do ustępującego prokuratora okręgowego – nie popuści Trumpowi. Bragg obiecywał też, że za jego kadencji prokuratura będzie bardziej zwracała uwagę na kwestie „sprawiedliwości rasowej".

Również czołowy liberalny dziennik z Nowego Jorku zwraca uwagę na to,

eprasa.pl e2030e6019

że sposób sformułowania zarzutów wobec Trumpa to absolutne novum. „Uzyskanie wyroku skazującego nie jest niczym pewnym z perspektywy Bragga. Oskarżył on Trumpa o fałszowanie oficjalnych dokumentów biznesowych, związanych z wypłaceniem pieniędzy w zamian za milczenie. Tak sformułowane zarzuty karne wydają się użyte w sposób nieznany wcześniej prawu" – czytamy w „The New York Timesie".

Wiele mówi w tej sprawie komentarz Nancy Pelosi, byłej spikerki Izby Reprezentantów i zarazem jednej z najważniejszych twarzy Partii Demokratycznej. Pokazuje ona, że jeżeli chodzi o Trumpa, to demokraci są gotowi na istną rewolucję w systemie prawnym, byleby tylko go dopaść.

„Nikt nie jest ponad prawem i każdy ma prawo do procesu, by udowodnić swoją niewinność – napisała na Twitterze Nancy Pelosi. – Mam nadzieję, że były prezydent w sposób pokojowy będzie respektował system, który daje mu takie prawo". Była spikerka zdaje się dla Trumpa wywracać do góry nogami cały porządek prawny w USA. Jej zdaniem bowiem to były prezydent ma udowodnić w procesie swoją niewinność. Pelosi słowem nie wspomina o prokuratorze, którego zadaniem jest udowodnienie winy, natomiast oskarżony – dopóty, dopóki nie zostanie mu dowiedzione, że popełnił przestępstwo – uważany jest za osobę niewinną. Komentarz Pelosi jest świetną ilustracją zaciętości ze strony Partii Demokratycznej, która tak długo czekała na jakiekolwiek oskarżenie natury karnej wobec Trumpa.

SZTORM WOKÓŁ DANIELS

Sedno tej sprawy dotyczy płatności, której tuż przed wyborami prezydenckimi w 2016 r. dokonał Michael Cohen, prawnik Trumpa. 130 tys. dol. trafiło wówczas z jego konta do adwokata Stormy Daniels, byłej gwiazdy amerykańskiej branży pornograficznej. Daniels twierdzi, że w 2006 r., podczas turnieju golfowego, poznała Trumpa, który następnie miał ją zaprosić do swojej rezydencji, gdzie odbyli stosunek (Melania Trump w tym czasie była tuż po porodzie). Były prezydent zaprzecza wersji podanej przez gwiazdę porno, ale płatność dla Daniels to niepodważalny fakt. Kilka miesięcy po wyborach, na początku 2017 r., Trump oddał Cohenowi pieniądze, które ten przelał wcześniej adwokatowi Daniels. I tu zaczynają się prawne wygibasy, które uskutecznia prokurator Bragg. Otóż twierdzi on, że wypłata dla Daniels była tak naprawdę wydatkiem kampanijnym, ponieważ Trump miał w ten sposób ratować swój wizerunek w oczach wyborców. A skoro wydatek na opłacenie milczenia ze strony Daniels został zaksięgowany po prostu jako opłacenie usług prawnych Cohena, to Trump złamał tym samym prawo. Na tym etapie strona oskarżenia – jak zwracają uwagę eksperci – będzie miała jednak olbrzymi problem z udowodnieniem tego, co działo się wówczas w głowie Trumpa. Czy zapłacił on Daniels, by ratować swoje szanse w wyborach, czy chodziło jedynie o uciszenie kobiety, by informacje o skoku w bok nie dotarły do uszu Melanii? (Trump twierdzi, że zdecydował się zapłacić za uciszenie kłamliwych zarzutów, które mimo wszystko mogły jednak zranić jego żonę).

Nawet gdyby uznać, że Trump rzeczywiście intencjonalnie źle zaksięgował pieniądze wydane na uciszenie Daniels, to i tak jest to uznawane w stanie Nowy Jork jedynie za wykroczenie. Co zrobił więc prokurator Bragg? Uznał, że Trump sfałszował dokumenty, by ukryć inne przestępstwo. Taka kwalifikacja oznacza z kolei, że można podnieść zarzuty fałszerstwa z wykroczenia do poziomu przestępstwa. Oskarżenie przekonuje, że chodziło o naruszenie federalnego prawa wyborczego. Prokurator Bragg zupełnie się przy tym nie przejmuje tym, że śledczy z Manahattanu nie ma żadnych kompetencji w sprawach o naruszenie prawa federalnego. Co więcej, Departament Sprawiedliwości przyglądał się już federalnemu wątkowi i nie zdecydował się na postawienie Trumpa w stan oskarżenia. Jak już wspomnieliśmy, Cyrus Vance Jr., poprzednik Bragga na fotelu prokuratora okręgowego Manhattanu, również badał tę sprawę i uznał, że nie ma wystarczających podstaw, by ścigać Trumpa.

Jeżeli sędzia uzna, że sprawa przedstawiona przez Bragga jest na tyle solidna, że należy rozpocząć proces (niewykluczone, że będzie jednak inaczej i sędzia od razu wyrzuci ją do kosza), to przeciw Trumpowi będzie zeznawać bliski mu niegdyś Michael Cohen – jego zaufany adwokat i prawa ręka ds. „trudnych". Cohen z pewnością nie jest jednak dla prokuratory z Manahattanu wymarzonym świadkiem, bo o ile doskonale zna Trumpa, o tyle jednak został skazany, m.in. za krzywoprzysięstwo w sprawie płatności dla Stormy Daniels. Jego wiarygodność będzie więc jednym z centralnych punktów ataku ze strony adwokatów Trumpa (jeśli proces w ogóle się rozpocznie).

ODZYSKANY IMPET

Postawienie Trumpa w stan oskarżenia wywołało istne trzęsienie ziemi na amerykańskiej scenie politycznej. Były prezydent, który po słabym wyniku republikanów w listopadowych wyborach do Kongresu zdawał się coraz bardziej tracić impet, nagle znów stanął w samym środku amerykańskiego sporu politycznego. Znowu cała Ameryka zaczęła się kręcić wokół niego, co z perspektywy jego politycznych ambicji jest doskonałą wiadomością.

Jeszcze miesiąc temu w sondażu prawyborczym Yahoo News/Yougov Trump miał tylko 8 punktów procentowych (47 proc. do 39 proc.) przewagi nad Ronem DeSantisem, gubernatorem Florydy, który zdaje się mieć ochotę na rywalizację o prezydenturę. Po ogłoszeniu informacji, że Trumpowi zostaną postawione zarzuty karne, poparcie wśród republikanów wygląda już zupełnie inaczej. W ostatnim sondażu Yahoo News/Yougov Trump pokonuje DeSantisa stosunkiem 57 proc. do 31 proc. Były prezydent znów zabrał swoim przeciwnikom cały „tlen" w przestrzeni medialnej. Kamery czołowych stacji telewizyjnych śledziły każdy jego krok nie tylko w Nowym Jorku, gdzie stawił się, by usłyszeć zarzuty, lecz także na Florydzie, gdzie relacjonowały przejazd kolumny Trumpa na lotnisko, skąd odleciał on swoim prywatnym samolotem do NYC.

Zarzuty wobec Trumpa stawiają w bardzo trudnym położeniu jego kontrkandydatów w nadchodzących republikańskich prawyborach. Widać bowiem, że również republikańscy wyborcy dalecy od Trumpa uważają generalnie sprawę wytoczoną przez Bragga za polityczną zemstę. Wobec takiego „zwierania szyków" trudno będzie teraz DeSantisowi atakować byłego prezydenta. Więcej – republikańscy wyborcy oczekują w takiej sytuacji od poszczególnych kandydatów jasnego opowiedzenia się przeciw ściganiu Trumpa. DeSantis kilka razy podkreślił już zresztą stanowczo, że uważa decyzję prokuratora okręgowego z Manhattanu za działanie motywowane politycznie.

eprasa.pl e2030e6019

Co ciekawe jednak, słowa niedowierzania w sprawie zasadności zarzutów wobec Trumpa płyną również z drugiej strony politycznej barykady. Demokratyczny senator Joe Manchin z Wirginii Zachodniej tak podsumował na antenie Fox News postawienie Trumpa w stan oskarżenia:

„To po prostu bardzo, bardzo smutny dzień dla Ameryki. Jest to tym smutniejsze, że część ludzi uważa, iż praworządność nie działa u nas tak, jak powinna, i że wymiar sprawiedliwości kieruje się uprzedzeniami. A tak przecież nie może być. Z jednej strony nikt nie może być ponad prawem, ale z drugiej strony nikt też nie może być w sposób niesprawiedliwy poddawany atakom przez prawo".

Wygląda na to, że zarzuty karne wlały w Trumpa nową dawkę energii. Odkąd tylko okazało się, że Bragg będzie go ścigał, były prezydent jeszcze mniej przebiera w słowach.

Postawienie Trumpa w stan oskarżenia wywołało istne trzęsienie ziemi na amerykańskiej scenie politycznej

„Co za człowiek oskarżyłby innego człowieka, w tym przypadku byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który otrzymał więcej głosów niż jakikolwiek innych prezydent w historii i jest głównym kandydatem w republikańskich prawyborach, o przestępstwo, które – jak powszechnie wiadomo – absolutnie nie zostało popełnione? Co więcej, wiedząc doskonale, że takie fałszywe oskarżenie może być katastrofalne dla naszego kraju i może pociągnąć za sobą śmierć i zniszczenie?" – mówił Trump tuż przed oddaniem się w ręce nowojorskiego wymiaru sprawiedliwości. Władze Nowego Jorku cytowały fragment komentarza byłego prezydenta dotyczący „śmierci i zniszczenia" jako argument za skierowaniem w okolice sądu na Manhattanie ogromnych sił policyjnych i odcięciu tego terenu. Tysiące zwolenników Trumpa zgromadziły się w pobliżu sądu, ale szczęśliwie dla mieszkańców Wielkiego Jabłka obyło się bez większych ekscesów.

Po powrocie do swojej florydzkiej posiadłości z Nowego Jorku, gdzie zdjęto mu odciski palców, Trump wygłosił płomienne przemówienie, na które czekały miliony jego zagorzałych zwolenników.

„Nigdy nie myślałem, że coś takiego może się zdarzyć w Ameryce. Jedynym przestępstwem, które popełniłem, jest nieugięte bronienie naszego narodu przed tymi, którzy chcą go zniszczyć – podkreślał Trump w Mar-a-Lago. – Tu nie ma żadnej sprawy. Dosłownie wszyscy tak mówią. Ale jest jeszcze gorzej – on wiedział doskonale, że tu nie ma żadnej sprawy. Prawdziwym kryminalistą jest prokurator okręgowy" – krzyczał Trump.

Republikanie podkreślają, że Bragg to ekstrema Partii Demokratycznej, prokurator, który przedkłada „sprawiedliwość rasową" ponad zwalczanie przestępstw. Tuż po objęciu przez niego kierownictwa nad prokuraturą na Manahattanie podlegający mu śledczy odstąpili od ścigania wielu przestępstw, np. opierania się aresztowaniu.

„Będziemy nieugięci wtedy, kiedy będzie to konieczne, ale równocześnie nie będziemy niszczyli ludziom życia poprzez niepotrzebne pozbawianie wolności" – podkreślał prokurator okręgowy Bragg. Jaki jest efekt takiego podejścia do przestępczości? W zeszłym roku dokonano w Nowym Jorku 172 tys. przestępstw – 20 proc. więcej niż rok wcześniej. Tak źle nie było w Wielkim Jabłku od 15 lat. A jednak gdy chodzi o przeciwnika politycznego, prokurator Bragg jest w stanie dokonać prawdziwych cudów prawnych, byleby tylko posłać go za kratki.

Przed niebezpieczeństwem wiążącym się z takimi politycznymi grami prokuratury ostrzega Amerykanów William P. Barr, prokurator generalny za czasów Donalda Trumpa, który jednak od wyborów w 2020 r. znalazł się na liście wrogów byłego prezydenta. Barr odmówił wówczas Trumpowi podjęcia prób podważenia legalności wyboru Joe Bidena.

„To wydarzenie będzie miało swoje dalekosiężne konsekwencje. Mamy w naszym kraju tysiące prokuratorów okręgowych, którzy mogą poczuć, że skoro przekroczony został Rubikon, to każdy z nich może wziąć na celownik kandydata federalnego lub urzędnika federalnego, znaleźć jakieś prawo stanowe, które użyją do ataku, i potraktować taką sprawę jako trampolinę dla swojej kariery na krajowej arenie politycznej. Myślę, że to przełomowy moment – i to się nie skończy dobrze dla naszego kraju" – przestrzega Barr.

INNE ŚLEDZTWA

Nawet jeżeli sędzia wyrzuci sprawę Trumpa do kosza albo w czasie procesu jego adwokatom uda się ośmieszyć argumentację prokuratora Bragga, to nie oznacza to końca problemów prawnych 45. prezydenta. Poza oskarżeniem o nielegalną płatność dla Stormy Daniels Trump musi się też zmierzyć z trzema innymi toczącymi się wobec niego śledztwami. Pierwsze, które – jak spekulują amerykańskie media – może się już niedługo zakończyć dla Trumpa postawieniem zarzutów, toczy się w stanie Georgia. Punktem wyjścia do niego była rozmowa, którą Donald Trump odbył 2 stycznia 2021 r. z Bradem Raffenspergerem, republikańskim sekretarzem Georgii, który odpowiadał m.in. za przeprowadzanie wyborów w tym stanie. W nagranej przez niego rozmowie Trump domagał się, by Raffensperger „znalazł" mu 11 780 głosów (Trump przegrał w Georgii z Bidenem różnicą 11 779 głosów). Dodatkowo ówczesny prezydent groził Raffenspergerowi zarzutami karnymi, gdyby ten nie posłuchał Trumpa. Jeżeli prokuratorzy z Georgii zdecydują się postawić 45. prezydentowi zarzuty w tej sprawie, to jego obrońcy z pewnością będą przekonywali, że ich klientowi nie chodziło o żadne dopisywanie nienależnych mu głosów, lecz po prostu o powtórne ich przeliczenie, w wyniku czego na pewno znalazłyby się „zaginione" karty wyborcze.

Poważnym problemem są też dla Trumpa dwa śledztwa prowadzone przez federalny Departament Sprawiedliwości. Pierwsze dotyczy roli, jaką odegrał Trump w kontekście szturmu na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Drugie śledztwo koncentruje się na tajnych dokumentach, które zostały znalezione w rezydencji Mar-a-Lago, gdy Trump wyprowadził się już z Białego Domu. W tej ostatniej sprawie demokraci nie powinni być jednak zbyt bojowo nastawieni. Podobne zarzuty są bowiem formułowane wobec obecnego prezydenta USA, który tajne dokumenty przechowywał w garażu obok swojej ukochanej corvetty...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Władca prawicowych umysłów

Jakub Wozinski

Gospodarz bijącego rekordy popularności politycznego talk-show już dawno przestał być postacią wyłącznie medialną. Tucker Carlson to dziś jedna z najbardziej wpływowych postaci prawej strony sceny politycznej na całym świecie

FOT. JASON KOERNER/GETTY IMAGES

Nie umniejszając w niczym wiodącym publicystom i postaciom medialnym polskiej prawicy, trudno znaleźć na naszym rodzimym podwórku postać podobną do Carlsona. Niemal każdy trwający równo godzinę show „Tucker Carlson Tonight" przyciąga przed ekrany średnio 3–4 mln widzów, a w kwietniu 2020 r. oglądało go nawet rekordowe dla amerykańskiej sieci kablowej 4,5 mln osób. W czasach, gdy widzowie rozproszyli się po różnych platformach streamingowych, osiągnięcie takiego wyniku jest naprawdę nie lada wyczynem.

NAJBARDZIEJ RASISTOWSKI SHOW

Niegryzący się w język i bezkompromisowy Carlson nie tylko przyciąga miliony uwielbiających go widzów, lecz także skupia na sobie ogromną krytykę ze strony środowisk lewicowych, według których jego program to „najbardziej rasistowski show w dziejach telewizji". Gwiazda stacji Fox News wywołuje u swoich przeciwników prawdziwe seanse nienawiści. Zarzuca mu się, że zaprasza neonazistów, białych nacjonalistów i szowinistów, a sam wygłasza nieustannie transfobiczne, seksistowskie i sprzeczne z wiedzą naukową na temat globalnego ocieplenia i koronawirusa tezy.

Skala ataków na Tuckera Carlsona świadczy jedynie o tym, jak wielki sukces udało mu się osiągnąć. Lewica ma wprawdzie ogromną przewagę w mediach i wielu lubianych gospodarzy przeróżnych talk-show, ale na dobrą sprawę trudno znaleźć kogokolwiek, kto przyciągałby regularnie przed ekrany tak wielu widzów, prowadząc polityczny show o liberalnym profilu światopoglądowym. Carlson podbił swoim przekazem cały rząd dusz, które nie chcą żyć w obłąkańczym lunaparku neomarksistowskiej rewolucji wspieranej przez Partię Demokratyczną.

REPUBLIKAŃSKIE KORZENIE

Twórca „najbardziej rasistowskiego show w dziejach telewizji" ma korzenie republikańskie. Urodził się wprawdzie w Kalifornii, lecz najsilniej na jego światopogląd wpłynął należący do Grand Old Party ojciec. Matka Carlsona należała do artystycznej bohemy i zrzekła się opieki nad dziećmi, dlatego od najmłodszych lat przyszła gwiazda prawicowych mediów towarzyszyła ojcu m.in. w partyjnych wiecach. Gdy prezydent Ronald Reagan mianował Richarda Carlsona szefem rozgłośni Voice of America, konieczna była przeprowadzka do Waszyngtonu. Od tego momentu gospodarz „Tucker Carlson Tonight" na dobre związał się z republikańskim światkiem.

Widzowie politycznego show Carlsona mają wyjątkowo rzadką dziś okazję poczuć się jak w starych, dobrych latach 80., gdy w rządzonych przez Reagana Stanach Zjednoczonych marksizm i neomarksizm były

eprasa.pl e2030e6019

wyśmiewane jako sowiecka specjalność. Tucker Carlson ma bardzo konserwatywne poglądy, choć nie było tak od samego początku. Jeszcze do 2015 r. był związany z liberalno-libertariańskim Cato Institute i przez wiele lat był zwolennikiem Rona Paula, pomagając nawet w jego kampanii prezydenckiej. Wraz z rozwojem swojej medialnej kariery zaczął jednak coraz wyraźniej odcinać się od libertarianizmu i krytykować część środowiska Partii Republikańskiej jako podporządkowanego interesom banków i wielkiego biznesu. Jako wychowanek reaganowskiej szkoły nie stracił przy tym wiary w zasady wolnej gospodarki, lecz przestał patrzeć na świat przez różowe okulary.

W OBRONIE WARTOŚCI

Mimo że sam Carlson przynależy do wspólnoty Kościoła Episkopalnego, nie przeszkadza mu to w promowaniu środowisk katolickich tradycjonalistów. Już w 2020 r. obszernie relacjonował o działalności i przesłaniu abp. Carla Marii Vigano, a niedawno sporo uwagi poświęcił inwigilacji osób uczęszczających na mszę łacińską przez FBI, zapraszając do programu byłego agenta specjalnego Kyle'a Seraphina.

Lewica ma wiele powodów do oburzania się na postawę Carlsona, lecz uwagę przyciąga to, że szczególną nienawiść wywołuje głoszona przez niego od pewnego czasu teoria tzw. wielkiego zastąpienia. Według niej promowana przez lewicę niczym nieskrępowana imigracja to świadomy element systematycznie realizowanego planu pozbawienia białych Amerykanów wpływu na rzeczywistość polityczną w kraju. Gdy w jednym z programów Carlson powiedział, że imigracja w obecnym kształcie rozmywa władzę rodowitych Amerykanów nad swoim krajem, z wściekłym atakiem na niego wystąpiła żydowska Liga przeciw Zniesławieniom. Organizacja zażądała od Fox News zdjęcia programu z ramówki i wycofania się z głoszenia rzekomo rasistowskich poglądów.

Zarzuty o antysemityzm ze strony Ligi pojawiły się także ponad rok temu, gdy Tucker Carlson nagrał specjalny film noszący tytuł „Węgry kontra Soros". Amerykański prezenter przedstawił w nim Węgry jako kraj sprzyjający konserwatywnym wartościom, którego sukces w tym zakresie wynika w znacznej mierze z ograniczania nielegalnej imigracji. Węgierski mur na granicy z Serbią został ukazany jako prawdziwy wzór do naśladowania dla Stanów Zjednoczonych, w których pod rządami demokratów napływ ludności przyjął rekordowe rozmiary.

ROSYJSKIE MANOWCE

Przedstawianie Viktora Orbána jako wzoru sprawiło jednak, że wzorem węgierskiego premiera Tucker Carlson pobłądził nieco w ostatnim czasie w ocenie wojny na Ukrainie oraz samej Rosji. Od początku agresji prezenter forsuje mocno naciąganą tezę, że USA same sprowokowały Putina do wojny, którą zdarzało mu się niejednokrotnie nazywać „sporem terytorialnym". Wyjątkową niechęcią darzy także Wołodymyra Zełenskiego, którego przyrównywał już do menedżera klubu ze striptizem i określał mianem „niebezpiecznego autorytarysty". Wszystko to blednie jednak wobec tego, że w swoich programach Carlson agresywnie kwestionuje potrzebę wspierania Ukrainy przez amerykańskie państwo. Nie nazwał nigdy wprawdzie Rosji – wzorem abp. Vigano – „Trzecim Rzymem", ale wiele razy zdarzało mu się sugerować, że Władimir Putin zasługuje na dużo lepszą ocenę, niż mu się powszechnie wystawia.

W oczach wielu Tucker Carlson zapracował sobie w ten sposób na miano osoby o otwarcie prorosyjskiej orientacji. Bardziej zasadne jest jednak stwierdzenie, że udzieliło mu się plemienne zaślepienie, nakazujące zajmować skrajnie odmienne stanowisko w danej kwestii do swoich największych politycznych wrogów. Joe Biden był przez lata uwikłany w niejasne powiązania biznesowe na Ukrainie, podobnie jak wielu innych polityków z obozu Partii Demokratycznej. Te korupcyjne powiązania wychodziły wielokrotnie na jaw, po raz ostatni przy okazji upadku giełdy kryptowalut FTX. Z perspektywy szeregowego wyborcy republikanów obecna wojna może się więc przedstawiać jako próba obrony mętnych interesów demokratów poprzez przeznaczanie rekordowych kwot z publicznego budżetu na ratowanie skorumpowanego państwa. Carlson, który doskonale potrafi odczytać nastroje swoich widzów, promuje niestety taką wizję wojny na Ukrainie, na jaką jest społeczne zapotrzebowanie, choć wielu wpływowym republikanom się to bardzo nie podoba.

PRZYSZŁY PREZYDENT?

Pozycja Tuckera Carlsona jest obecnie na tyle silna, że w pewnym sensie zależy od niego, kto uzyska nominację republikanów do startu w nadchodzących wyborach prezydenckich. Wcześniej prezenter przez kilka lat otwarcie wspierał Trumpa, ale ostatnio – przy okazji procesu, który wytoczono stacji Fox News za oskarżanie systemu głosowania Dominion o sfałszowanie wyborów w 2020 r. – wyszła na jaw treść SMS-a wysłanego przez niego przed dwoma laty. Carlson przekonywał w nim, że nienawidzi Trumpa, i uważał jego prezydenturę za porażkę.

Sądowy wyciek zbiegł się w czasie z niemal oficjalnym wycofaniem poparcia dla Trumpa przez właściciela stacji Fox News Ruperta Murdocha. Coraz bardziej oczywiste staje się to, że Carlson i goszcząca go stacja poprą kandydaturę gubernatora Florydy Rona DeSantisa, który zresztą pojawił się już niedawno w „Tucker Carlson Tonight". Niezwykle obiecujący polityk powtórzył w programie swoją tezę, że tak duże zaangażowanie w pomoc Ukrainie nie leży w interesie amerykańskiego państwa. Biorąc pod uwagę, co na ten temat mówią w sondażach zwolennicy jego partii, trudno było, aby DeSantis powiedział coś innego, lecz w razie swojego zwycięstwa i tak zapewne podtrzyma obecny kurs administracji Bidena.

Zważywszy na ogromną popularność Tuckera Carlsona, jedynie kwestią czasu wydaje się jego własny start w wyborczym wyścigu. O możliwej kandydaturze mówiło się już od dłuższego czasu, lecz nieoczekiwany wzrost popularności DeSantisa w połączeniu z planowanym wielkim powrotem Trumpa zmusił go do odczekania jeszcze przynajmniej kilku lat. W świecie mediów osiągnął już wszystko: z gażą w wysokości nawet 40 mln dol. rocznie uważany jest za najlepiej zarabiającego prezentera politycznego na świecie, a jego majątek szacowany jest na ponad 0,5 mld dol. W naturalny sposób Carlson będzie się chciał wreszcie kiedyś sprawdzić w świecie wielkiej polityki – rząd dusz ma już za sobą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Przyjaźń na siłę

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Łukasz Warzecha

Gdyby wizytę Wołodymyra Zełenskiego w Warszawie obedrzeć z pięknego, pełnego może nawet nieudawanych emocji pustosłowia, zostałyby głównie niedopowiedzenia i znaki zapytania oraz żenująca próba zamiecenia pod dywan zbrodni wołyńskiej

Oczekiwania wobec odwiedzin prezydenta Ukrainy można było mieć duże. Zwłaszcza że na tę wizytę musieliśmy czekać 13 miesięcy. Wołodymyr Zełenski znalazł w tym czasie sposobność, aby odwiedzić Waszyngton, Londyn, Brukselę i Paryż. W Polsce tylko bywał, traktując ją jako stację przesiadkową. Sprawiało to wrażenie coraz większego lekceważenia, ale miało przecież całkowicie racjonalne wyjaśnienie, a pan prezydent Zełenski jest rasowym pragmatykiem: we wszystkich odwiedzanych stolicach ukraiński lider miał konkretne rzeczy do załatwienia i konkretną pracę perswazyjną do wykonania. W Warszawie żadnej wykonywać nie musiał, bo stąd wszystko miał na pstryknięcie palcami.

Wizyta ukraińskiej głowy państwa miała miejsce w konkretnym wewnętrznym politycznym kontekście. Zaczęła się już kampania wyborcza, a z badań jasno wynika, że powiększa się grupa Polaków podchodzących do polskiej strategii pomocy Ukrainie ze względnym sceptycyzmem. Nie są to osoby oczekujące ustawienia się przez Polskę w pozycji drugich Węgier, ale coraz bardziej skłonne preferować większą wstrzemięźliwość właściwie we wszystkich kwestiach – od pomocy socjalnej dla uchodźców począwszy, na pomocy militarnej skończywszy. PiS doskonale rozumie, że w tej sprawie czuje na plecach oddech Konfederacji. Jeśli jednak ta wizyta miała w zamierzeniu wytrącić partii Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena oręż z ręki, to wydaje się, że nie tylko tego zadania nie spełni, lecz także może mieć skutek wręcz odwrotny.

CICHO O WOŁYNIU

W wątku historycznym można było mieć déjà vu z 11 lipca ubiegłego roku. Panowało wtedy przekonanie, że prezydent Ukrainy odniesie się do rzezi wołyńskiej i zapowie konkretne kroki w tej sprawie. Rzecz, której środowiska potomków ofiary ludobójstwa oczekują, to przede wszystkim ekshumacje pomordowanych. Prezydent Zełenski nie zająknął się tamtego dnia ani słowem o mordach na Polakach. W drugiej połowie ubiegłego roku Ukraina wyraziła co prawda zgodę na poszukiwania i ekshumacje, ale chodziło tylko o jedną miejscowość – Puźniki, w dodatku nie na Wołyniu, ale na Podolu, i nie z 1943 r., ale z 1945 r. Do dzisiaj zwolennicy maksymalnie proukraińskiego kursu w Polsce fałszywie przedstawiają tamtą decyzję jako „zgodę na ekshumacje".

Tym razem w najważniejszych wystąpieniach słowo „Wołyń" również się nie pojawiło. Zełenski wspominał jedynie bardzo ogólnikowo o jakichś „trudnych sprawach". Znacznie gorzej wypadł jednak prezydent Andrzej Duda, który powinien był wystąpić jako rzecznik polskiej pamięci, szczególnie w roku 80. rocznicy apogeum rzezi. Pan prezydent tymczasem przypomniał pielgrzymkę Jana Pawła II na Ukrainę w 2001 r. i zacytował fragment z wystąpienia papieża: „Czas już oderwać się od tej bolesnej przeszłości! […] Niech przebaczenie – udzielone i uzyskane – rozleje się niczym dobroczynny balsam w każdym sercu. Niech dzięki oczyszczeniu pamięci historycznej wszyscy będą gotowi stawiać wyżej to, co jednoczy, niż to, co dzieli, ażeby razem budować przyszłość opartą na wzajemnym szacunku, na braterskiej wspólnocie, braterskiej współpracy i autentycznej solidarności".

I dalej mówił: – Zaborcy i okupanci nieraz próbowali nas skłócić, skierować przeciwko sobie w myśl zasady „dziel i rządź". Dziś także próbują – strasząc Polaków Ukraińcami, a Ukraińców Polakami. Ale ja głęboko wierzę i nie mam żadnych wątpliwości, że to się im nie uda. Dlatego z tego miejsca, wspólnie, wysyłamy dziś jasny przekaz do Moskwy, na Kreml: Nie uda wam się nas skłócić! Nie uda wam się nas podzielić nigdy więcej!

Tłumacząc z prezydenckiego na nasze, przekaz brzmi tak: jeśli uparcie przypominasz o Wołyniu, to sprzeciwiasz się woli Jana Pawła II, a w dodatku jesteś ruskim agentem. To zabieg wyjątkowo paskudny i prymitywny szantaż moralny. Jak napisał na Twitterze ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski: „Byłem w 2001 r. we Lwowie i słyszałem całe kazanie JPII. Wtedy była nadzieja, odbywały się ekshumacje, stawiono krzyże na grobach ofiar i nikt nie budował pomników UPA. To wszystko niestety zmieniło się na niekorzyść po latach 2004 i 2013". W dodatku każdy, kto choć trochę kojarzy naukę Kościoła, wie, że warunkiem przebaczenia i pojednania są skrucha i żal. To ze strony ukraińskiej nie nastąpiło.

Andrzej Duda zasygnalizował zatem, że Wołyń ma być zmarginalizowany. Takie stanowisko może wynikać nie tyle z jego przekonania, ile z niemożności porozumienia się ze stroną ukraińską. Wskazywałyby na to słowa Mateusza Morawieckiego, wygłoszone po spotkaniu z prezydentem Zełenskim. Polski premier powiedział:

eprasa.pl e2030e6019

– Rozmawialiśmy z prezydentem Zełenskim o tragicznych mordach na Wołyniu i o tym, w jaki sposób powinniśmy dochodzić prawdy, otrzymać zgodę na ekshumacje. Bardzo mocno o to zabiegamy. Ostatnie zdanie w języku dyplomacji znaczy tyle co: „nie możemy się w tej sprawie porozumieć".

Ten upór polskich, a najpewniej także ukraińskich władz w sprawie Wołynia staje się niepojęty. Nie chodzi tu przecież o wielkie przeprosiny – bądźmy realistami, UPA jest tak mocno wkomponowana w mitologiczny krajobraz współczesnej Ukrainy, że na to nadziei mieć nie można. Ale właśnie ekshumacje są tym najbardziej potrzebnym, najbardziej ludzkim i humanitarnym sposobem na rozpoczęcie procesu uzgadniania tej najtrudniejszej ze spraw. Przede wszystkim zaś pozwoliłoby to na wytrącenie z ręki argumentu rosyjskim trollom, które faktycznie go używają. Natomiast próby zamilczenia, zlekceważenia, zmarginalizowania odniosą skutek odwrotny.

To oczywiście niejedyny wątek wizyty prezydenta Ukrainy. Innym było wielokrotne podkreślanie przede wszystkim przez Andrzeja Dudę bezalternatywności najbardziej optymistycznego scenariusza, w którym Ukraina odzyskuje całość swojego terytorium od Rosjan i „wygrywa". Ten kurs robi coraz bardziej absurdalne wrażenie w sytuacji, gdy każdy uważny obserwator dostrzega, iż taki scenariusz staje się coraz mniej prawdopodobny. Działania na froncie, mimo ogromnych ilości uzbrojenia dostarczanego Ukrainie, praktycznie stanęły w miejscu. Zza dyplomatycznych kulis dobiegają sygnały, że kufry Zachodu nie są bez dna i Ukraina będzie musiała ostatecznie pogodzić się z takim stanem posiadania, jaki uda jej się osiągnąć w ciągu najbliższych miesięcy, zanim przyjdzie czas na negocjacje.

Elementami tej układanki, znów kompletnie w Polsce niedostrzeganymi, są zarówno powoli się rozpoczynająca w USA kampania przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi, jak i różnego rodzaju dyplomatyczne podchody. W czasie, gdy do Polski przybył prezydent Zełenski, do Chin pojechali przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen oraz prezydent Francji Emmanuel Macron. Nie miejsce tutaj na szczegółowe analizowanie gry, która toczy się między Unią a Pekinem, ale wziąwszy pod uwagę wojnę ze wszystkimi jej konsekwencjami dla UE oraz poziom wzajemnej zależności gospodarczej stron europejskiej i chińskiej, jest to rozgrywka równie ważna jak ta pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem. Polska jest w niej oczywiście nieobecna. Na własne życzenie – za sprawą uzależnienia od USA i prezentowanego przez nas maksymalistycznego podejścia do wojny.

BIZNES I DOZBRAJANIE

Ważnym elementem wizyty były kwestie biznesowe. Prezydent Zełenski mocno zachęcał polskie firmy do angażowania się na Ukrainie – im wcześniej, tym lepiej. Wicepremier Ukrainy Ołeksander Kubrakow oraz minister rozwoju i technologii Waldemar Buda podpisali memorandum, którego istotą jest sprawny przepływ informacji o przedsięwzięciach, które polskie firmy mogłyby realizować na Ukrainie, gdzie w fazie odbudowy trzeba będzie włożyć ogromne pieniądze. Tu jednak pojawia się paradoks. Żeby bowiem polskie firmy mogły zacząć na Ukrainie zarabiać, muszą mieć w miarę pewne otoczenie. Nie tylko prawne, lecz także w sferze bezpieczeństwa. To zaś trudno wyobrazić sobie bez jakiejś formy zewnętrznych gwarancji bezpieczeństwa. Z kolei te mogą oznaczać groźbę wciągnięcia Polski w przyszłości już bezpośrednio w konflikt jako jednego z gwarantów.

Zastanawiająco w tym kontekście zabrzmiała zapowiedź prezydenta Andrzeja Dudy: „Podczas szczytu [NATO] w Wilnie chcemy uzyskać gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy". Szczyt odbędzie się, co ciekawe, 11 i 12 lipca, a więc nałoży się na obchody rocznicy rzezi wołyńskiej w Polsce. To dodatkowy problem dla prezydenta, który przecież nie będzie mógł być w dwóch miejscach naraz. Nieobecność na obchodach rocznicy i dokładnie w tym samym czasie walka o gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy w Wilnie mogą zrobić na części wyborców bardzo złe wrażenie. Nawet jeśli faktycznie są to – i powinny być – sprawy całkowicie odseparowane.

W rozmowach ze stroną ukraińską pojawiła się również kwestia ukraińskiego zboża, w której podobno znaleziono rozwiązanie. Ma ono zostać wdrożone w ciągu kilku tygodni. Niestety, nie poinformowano opinii publicznej, na czym ma ono polegać.

Wreszcie ostatni wątek wizyty to dalsza pomoc wojskowa dla Ukrainy. W sprawie migów padła z polskiej strony deklaracja, że ostatecznie mamy Kijowowi oddać wszystkie takie samoloty, ale już nawet w opozycji pojawiają się głosy, że nie powinno to nastąpić dopóty, dopóki w ich miejsce nie pojawią się F-35. Tak w Radiu Zet w dniu wizyty ukraińskiego prezydenta mówiła Katarzyna Lubnauer z Koalicji Obywatelskiej. Tymczasem w swoim wystąpieniu Wołodymyr Zełenski domagał się nawet dostarczenia myśliwców F-16, choć postulat ten był skierowany gdzieś w przestrzeń, nie wiadomo dokładnie do kogo.

Zapowiedziano kupno przez Ukrainę m.in. 150 transporterów Rosomak. To ogromna transakcja i można zadać pytanie, w jaki sposób niewydolna gospodarczo i finansowo Ukraina ma za to zapłacić. W ubiegłym tygodniu rzecznik rządu Piotr Müller stwierdził, że będzie to „inżynieria finansowa łączona" – pieniądze częściowo ukraińskie, częściowo amerykańskie, a częściowo unijne. Warto zwrócić uwagę na ten ostatni punkt, bo oznacza to, że w jakimś stopniu za ukraińskie zakupy zapłacimy sami. Unijny fundusz przeznaczony na ukraiński sprzęt pochodzi przecież również z polskich składek. Zresztą informacje rządu w tej sprawie są bardzo fragmentaryczne. Do dziś nie przedstawiono obywatelom całościowej informacji o skali wsparcia wojskowego i jego kosztach.

Jest jeszcze jedna tajemnicza zapowiedź, która padła podczas wizyty. Andrzej Duda oznajmił, że na ukończeniu jest traktat polsko-ukraiński, który ma być podstawą całkiem nowej relacji. Obywatele nie wiedzą jednak, jak ta umowa ma wyglądać. Te zapowiedzi brzmią niepokojąco w kontekście dwukrotnie powtarzanych przez polskiego prezydenta wizji oczekiwanego braku granicy między dwoma krajami.

Wrażenie jest takie, że niemalże narkotyczne wizje władzy, napędzane giedroyciowskimi oparami, przyćmiły zwłaszcza lokatorowi Pałacu Prezydenckiego kolejny raz racjonalny ogląd rzeczywistości, a także coraz bardziej odklejają go od nastrojów ulicy. Być może intuicja mnie zawodzi, ale byłbym gotów się założyć, że następstwem tego wpychania Polakom na siłę dozgonnej przyjaźni z Ukrainą, w którym to duecie jedna strona wciąż tylko daje, a druga wciąż tylko bierze, będzie raczej wzrost irytacji u dużej części Polaków niż wzrost proukraińskich sympatii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Klątwa papieska

FOT. TOMASZ KUDAŁA/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

„W polityce jak nie idzie, to nie idzie" – podsumował kiedyś fatalną passę lewicy Włodzimierz Czarzasty. Dziś to samo może powtórzyć Tusk. Najbardziej nie idzie, odkąd media postrzegane jako dyspozycyjne wobec PO zaatakowały pamięć Jana Pawła II, ale nieszczęścia opozycji zaczęły się wcześniej

Kiedy ponad 18 lat temu media dowiedziały się, że Donald Tusk po 27 latach szczęśliwego „cywilnego" pożycia z małżonką wziął z nią ślub kościelny, i połączyły ten fakt ze zbliżającymi się podwójnymi wyborami – parlamentarnymi oraz prezydenckimi – przewodniczący Platformy Obywatelskiej tłumaczył, że zbieżność w czasie jest czystym przypadkiem: ślub kościelny, przez złe siły przedstawiany jako „uzupełnienie papierów" na użytek kampanii, był w istocie wynikiem szczerego przeżycia religijnego, które Tusk i jego rodzina dzielili z całą Polską na początku tego roku, towarzysząc odchodzeniu Jana Pawła II. Nie wydaje się, aby to zapomniane już dziś nawrócenie zaliczone zostało w procesie beatyfikacyjnym do oficjalnych cudów św. Jana Pawła II, i słusznie, bo okazało się, jak widzimy, nietrwałe. Ale w kontekście reakcji lewicowo-liberalnej opozycji na marsze papieskie w Niedzielę Palmową warto je przypomnieć.

Sondaże partyjne wprawdzie niewiele się jeszcze po publikacji przez Agorę książki Ekkego Overbeeka i emisji w TVN reportażu Marcina Gutowskiego zmieniły (notowania PO zmalały w większości z nich o 2–4 pkt. proc., notowania PiS nie wzrosły), ale wszyscy uczestnicy i komentatorzy politycznej gry mówią otwarcie o „załamaniu się nastrojów". Najwyraziszym jego znakiem, jak dotąd, jest badanie United Surveys ogłoszone na początku kwietnia. Prawie 47 proc. pytanych o przewidywany wynik tegorocznych wyborów parlamentarnych stwierdziło, że wygra je PiS i obejmie po nich po raz kolejny władzę. Tylko 15 proc. spodziewa się, że po wyborach rządzić będzie lewicowo-liberalna opozycja. W poprzednim badaniu trzeciej kadencji PiS spodziewało się 32 proc. ankietowanych (czyli, w przybliżeniu, wyłącznie jego „żelazny elektorat") i mniej więcej tyle samo – przejęcia władzy przez PO i jej sojuszników.

SZUKANIE WINNEGO

Jeśli ten wynik potwierdzą kolejne sondaże, to oznacza to, że w krótkim czasie zwolennicy opozycji stracili wiarę w sukces. Dziennikarze zaglądający za kulisy partyjnej gry potwierdzają, że podobnie jest wśród samych polityków opozycji i jej „liderów opinii". Na zewnątrz starają się jeszcze trzymać fason, ale w środowiskowych kontaktach nastroje wyraźnie „siadły". W takiej sytuacji nieuniknione staje się poszukiwanie winnego. Za to, że zima przebiegła łagodnie i kto w panice nakupił węgla po najwyższych cenach, został z nim jak przysłowiowy Zabłocki z rozmiękłym mydłem, trudno winić kogoś konkretnego. Pozostaje „efekt papieski". Choć politykom opozycji trudno jeszcze zrozumieć, na czym on dokładnie polega.

Problemu nie ma skrajna lewica: na odświeżonej próbą „wyzerowania" Jana Pawła II politycznej polaryzacji korzystają radykałowie obu stron, choć ci lewicowi niepomiernie mniej. Sprzedaż zdychającego ostatnio tygodnika „Nie" wzrosła, zwolennicy lewicy, ożywieni misją walki z „potworem z Wadowic", z nową energią rzucili się do akcji ulicznych, mazania

eprasa.pl e2030e6019

pomników i zasypywania hejtem mediów społecznościowych. Głównym beneficjentem jest jednak oczywiście PiS, który natychmiast wyczuł społeczną potrzebę „obrony dobrego imienia największego z Polaków". W obliczu ataku na łączącą wszystkich Polaków patriotów świętość wiele z dotychczasowych grzechów PiS może pójść w zapomnienie; wyborcy, którzy od miesięcy powoli, ale stale się wykruszali, rozczarowani nieskutecznością reformy sądownictwa, uległością wobec eurokracji i finansowymi nadużyciami, odchodząc coraz liczniej do sondażowej „przechowalni", wobec tak silnych emocji poczuli się ponownie zmuszeni opowiedzieć się za obozem rządzącym. Na razie w tej jednej sprawie, ale skutków marszów papieskich nie należy sprowadzać do liczenia, ilu ludzi udało się ich organizatorom wyciągnąć na ulicę, mimo skrajnie niesprzyjającej pogody. Przede wszystkim to, że „lewactwo" podniosło rękę na samego Jana Pawła II i że nie znalazł on w życiu publicznym zdecydowanych obrońców, poza środowiskami związanymi z obecną władzą, skutecznie uodparnia ogromną rzeszę wyborców na pokusę szukania innego wyraziciela tradycjonalistyczno-patriotycznych emocji.

TEORIE SPISKOWE

Co do głównego przegranego też nie ma wątpliwości. Próba zniszczenia legendy Jana Pawła II przyszła akurat w momencie, gdy Platforma Obywatelska wyprawiła się po elektorat lewicy. Gra Donalda Tuska, jak wszystko na to wskazuje, oparta była na przekonaniu, że kiedy, korzystając z medialnej przewagi, przejmować będzie główne lewicowe hasła, elektorat „centrowy", skutecznie przez ostatnie lata zaimpregnowany nienawiścią do PiS, i tak nie będzie miał dokąd uciec.

Wszystko poszło inaczej. Przewaga PO nie zadziałała na elektorat lewicy tak bardzo, jak się Tusk spodziewał, bo duża część tego elektoratu to młodzi, którzy w ogóle nie oglądają telewizji i nie czytają gazet, ale komunikują się w Internecie, gdzie dominacja układu z Magdalenki już nie sięga; zdrada wolnorynkowego zdrowego rozsądku natomiast, napiętnowana ostro m.in. przez Leszka Balcerowicza, wciąż ważnego dla liberalnego elektoratu PO, zbudowała jako możliwą do przyjęcia przezeń alternatywę – Konfederację. Do tego ostatniego znacznie przyczyniła się „Gazeta Wyborcza" ze swoją Fundacją Długiego Stołu i „społecznym" sondażem, który miał pomóc Tuskowi zagnać mniejsze partie liberalnej lewicy na „jedną listę", a niechcący pokazał, że jak by opozycja lewicowo-liberalna nie kombinowała z listami, nie stworzy większości rządzącej inaczej niż z Mentzenem i Bosakiem. Na ten temat zdążyły już w PO powstać teorie spiskowe, w których „społeczny sondaż" jest celową dywersją, być może zemstą na Tusku środowiska Pawła Piskorskiego (przypomniano sobie, że dr Andrzej Machowski, który na użytek Czerskiej „podkręcił" wyniki sondażu, jest członkiem władz Stronnictwa Demokratycznego).

Również atak na papieża ma już swoją spiskową interpretację. Szybko po tym, jak okazało się, że Agora i TVN wyprowadziły lewicowo-liberalną opozycję na wyborcze trzęsawisko, ogłosili ją niezawodni w takich sprawach Roman Giertych z Tomaszem Lisem. Wedle ich teorii oparte na nikłych i w dużej części ewidentnie fałszywych podstawach oskarżenie Jana Pawła II o „tuszowanie pedofilii w Kościele", w głuchym telefonie mediów społecznościowych zmienione przez lewicę w oskarżenie o pedofilię jego samego i jego duchowego wychowawcy, kard. Sapiehy, było – a jakże! – dziełem PiS. A konkretnie abp. Jędraszewskiego, który celowo podetknął Overbeekowi i Gutowskiemu fałszywki, by uzyskać pretekst do oskarżenia opozycji o bezpodstawne oskarżanie Wielkiego Papieża.

Trudno powiedzieć, na ile teorie Giertycha i Lisa są w kręgach liberalno-lewicowych brane na poważnie – wydaje się, że w znacznie większym stopniu, niż pozwala wierzyć zdrowy rozsądek. Spisek z abp. Jędraszewskim w roli głównej (też ciekawe, że tu akurat hierarcha wyszydzany przez liberalną lewicę jako rzekomo tępy i ograniczony nagle okazuje się tak makiawelicznie przebiegły) nie wyjaśnia jednak sprawy podstawowej dla klęski PO, a mianowicie: kto sprawił, że w momencie konfrontacji, gdy PiS rzucił na stół projekt sejmowej uchwały „w obronie Jana Pawła II", główna partia opozycji nie umiała się zachować ani tak, ani inak, i postanowiła udawać, że nie ma jej na sejmowej sali.

W istocie, zarówno Agora, jak i TVN kierują się logiką swojej rynkowej niszy: od dawna obsługują segment radykalnych emocji, jak je nazwał Roger Scruton, „ojkofobicznych", emocji nienawiści do polskości, pojmowanej jako katolickie zacofanie i „obciach". Jan Paweł II był tam podgryzany nieustannie – a to wywiadami z Martą Lempart i jej podobnymi, a to książką Tomasza Piątka, zapomnianą już, być może dlatego, że autor nie jest Holendrem. Relacjonowano tam z przejęciem i aprobatą ekscesy nawiedzonych, którzy „zmieniali nazwę" al. Jana Pawła II na „ofiar Jana Pawła II" czy wieszali dziecięce buciki na kościołach. Najnowsza antypapieska ofensywa Agory była próbą powtórki do minionej potęgi, do czasów, gdy środowisko Michnika było w stanie sfabrykować i upowszechnić na całym świecie fałszywkę o Jedwabnem. Tak też odczytał zapowiedź książki Overbeeka TVN i postanowił Czerskiej „zabrać temat" pośpiesznie nakręconym reportażem, w analogiczny sposób, w jaki Tusk próbuje zabrać Lewicy aborcję i, ku zniesmaczeniu Balcerowicza, „mieszkanie prawem, nie towarem".

ZASKOCZENI EFEKTEM

Szerszego efektu tych działań nikt nie przewidział, bo od ośmiu lat liberalna lewica przywykła żyć w swojej „bańce" i nie dostrzegać niczego spoza niej. A tym efektem jest nie tyle zwiększenie popularności PiS, ile wywołanie na pół roku przed wyborami nowej polaryzacji, na której zyskują głównie „obrońcy" Jana Pawła II, a także jego nieprzejednani wrogowie. Natomiast, zgodnie z zasadami darwinizmu, ginie „byt pośredni", czyli niepotrafiąca się zdecydować PO. Bez niej zaś i bez osieroconego elektoratu od „ciepłej wody", zwłaszcza wobec nieuchronnego zmierzchu politycznej efemerydy Hołowni, obóz „demokratyczny" nie ma co marzyć o odebraniu władzy PiS.

Rysuje się oto inny, nowy układ następnego „papieskiego" Sejmu – z centrowym, „zdroworozsądkowym" PiS mającym po obu stronach silnych radykałów, z prawej Konfederację, z lewej Lewicę, analogicznie, jak PO Tuska w czasach jego największych sukcesów. Na taką sytuację „opiniotwórcze" środowiska liberalnej lewicy nie są intelektualnie przygotowane, choć same właśnie podłożyły pod nią podwaliny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Ze Sławomirem Mentzenem, prezesem partii Nowa Nadzieja, współprzewodniczącym Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Mówimy jasno: Morawiecki musi odejść

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

RYSZARD GROMADZKI: W jaki wynik w nadchodzących wyborach celuje Konfederacja?

SŁAWOMIR MENTZEN: Liczymy na dwucyfrowe poparcie, co powinno przełożyć się na ok. 40 mandatów poselskich.

Jeśli uda się zrealizować ten cel, to Konfederacja zyska w Sejmie kluczową pozycję polityczną. Dopuszcza pan scenariusz koalicji z PiS?

Nie ma takiego scenariusza. Konfederacja zdecydowanie odrzuca wizję Polski realizowaną przez panów Kaczyńskiego i Tuska. Naszym celem jest odsunięcie od rządów premiera Morawieckiego, gdyż jego polityka jest szkodliwa dla polskich interesów.

Sondaże publikowane w ostatnich tygodniach pokazują wyraźny wzrost poparcia dla Konfederacji...

Trochę mnie to martwi (śmiech).

Martwi?

Wolałbym, żeby tak dobre notowania pojawiły się dopiero latem. Mamy jeszcze do wykonania mnóstwo roboty. A teraz znaleźliśmy się na wszystkich radarach. Jesteśmy atakowani i przez PiS, i przez Platformę. Myślę, że do jednych i drugich dotarło, że w Polsce po ponad 30 latach wreszcie rodzi się alternatywa dla ich rządów. Coraz więcej Polaków, szczególnie młodych, ma dość drenowania ich z pieniędzy przez kolejne rządy PO i PiS, rezygnacji z obrony żywotnych polskich interesów w Unii Europejskiej, co uderza w miliony ludzi.

Wielu Polaków ma dość absurdalnych zakazów, które mnoży Bruksela w postaci przymusowej renowacji domów czy zakazu rejestracji aut spalinowych po 2035 r. Co z tego, że Polska się teraz sprzeciwiła tej decyzji? Mleko rozlało się dużo wcześniej. To nie kto inny jak Morawiecki w grudniu 2020 r. zgodził na pakiet „Fit for 55", choć mógł wtedy się temu skutecznie sprzeciwić. Motywowana ideologicznym szaleństwem, a także interesami Niemiec polityka klimatyczna Unii Europejskiej prowadzi polską gospodarkę w otchłań, a miliony Polaków wpędzi w biedę.

Nie tylko Konfederacja znalazła się na radarach politycznych przeciwników. Panu też wypomina się wpis w mediach społecznościowych sprzed kilku lat, określany „piątką Mentzena", który miał formułować, nazwijmy to, priorytety programowe Konfederacji. Ten przekaz ma stworzyć wrażenie, że Sławomir Mentzen to polexitowiec, homofob, a do tego antysemita...

Nie zamierzam komentować idiotycznych oskarżeń.

eprasa.pl e2030e6019

W obrazie mainstreamowych mediów Konfederacja była i jest przedstawiana jako partia nieodpowiedzialnych radykałów o prorosyjskim zacięciu, która ma parcie na wyprowadzenie Polski z Unii.

Trudno dyskutować poważnie z kimś, kto twierdzi np., że nasze interesy narodowe są tożsame z interesami Ukrainy. Otóż nie są. Jednoznacznie potępiamy rosyjską agresję na Ukrainę. Popieramy Ukrainę, ale przestrzegamy przed coraz dalej idącym angażowaniem się Polski w wojnę za naszą wschodnią granicą. Nie możemy dopuścić do sytuacji, w której Polska stanie się uczestnikiem tej wojny.

Co do Unii, ktoś musi wreszcie powiedzieć stop temu szaleństwu, które skutkuje przerostem absurdalnych regulacji odbierających ludziom wolność i obciążających ich coraz większymi ciężarami finansowymi, niszczących polską gospodarkę. Pełną odpowiedzialność za doprowadzenie do tego stanu rzeczy ponoszą premier Morawiecki i rząd PiS. Dlatego mówimy jasno: Morawiecki musi odejść.

To już czas na otwartą debatę dotyczącą uczciwego bilansu członkostwa Polski w Unii i sensu pozostawania w niej w przyszłości?

Na pewno taka debata jest potrzebna. Wielu ludziom dopiero teraz otwierają się oczy. Myślę, że w miarę, jak do Polaków dotrze, do czego prowadzi nakaz renowacji budynków czy zakaz rejestracji aut spalinowych, jeszcze więcej osób przekona się, że „nowy wspaniały świat", który projektują nam ideologowie z Brukseli, grozi zubożeniem milionów ludzi czy wręcz pozbawieniem ich domów.

To przebudzenie dotyczy nie tylko Polski. Wybory w Holandii wygrała partia zbudowana na protestach rolników, we Włoszech mamy protesty przeciw unijnej dyrektywie wywłaszczeniowej. Im dalej eurokraci z Brukseli będą naciskać i zwiększać koszty naszego życia, tym więcej ludzi będzie niezadowolonych. Przyszłość świata nie jest zdeterminowana. Przyszłość nie jest jasno określona, wiele rzeczy może się jeszcze wydarzyć.

Wyobraża pan sobie Polskę poza Unią w perspektywie, powiedzmy, dekady?

Owszem, wyobrażam sobie. Zresztą w takim samym stopniu wyobrażam sobie, że za 10 lat nie będzie już Unii Europejskiej.

Na ile kwestie światopoglądowe będą określały wyborczy przekaz Konfederacji?

Nie zmieniamy swojego światopoglądu. Jesteśmy zadowoleni z większości obecnych uregulowań. Nie zamierzamy wywoływać teraz żadnej rewolucji, bardziej zależy nam na tym, żeby powstrzymać lewicową rewolucję.

Czy Konfederacja będzie optowała za całkowitym zakazem aborcji? W podobnym kierunku idą działania prawne podejmowane przez legislatury kolejnych konserwatywnych stanów w USA.

Grunt dla regulacji prawnych w Stanach, o których pan mówi, stworzyła decyzja Sądu Najwyższego, podważająca wyrok tego samego sądu w słynnej sprawie Roe vs. Wade z 1973 r., której skutkiem była legalizacja aborcji w USA. W Polsce również doszło do zmiany prawnej wskutek wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który uznał, że przepisy pozwalające na zabijanie dzieci nienarodzonych są niezgodne z konstytucją. Wyobrażam sobie zmiany prawa dotyczącego aborcji w tym kierunku, że w końcu uchwalona zostanie ustawa zgodna z naszą konstytucją.

Po 30 latach rządów obecnych polityków należy ich odesłać na emeryturę. Polacy nie chcą, żeby Tusk z Kaczyńskim dalej układali im życie

Wydaje się, że próba zohydzenia Polakom postaci i dziedzictwa Jana Pawła II, podjęta przez media sprzyjające Platformie Obywatelskiej i Lewicy, okazała się kontrskuteczna z punktu widzenia wyborczych rachub. Czy pomimo to plugawienie pamięci polskiego papieża będzie politycznym paliwem w trwającej kampanii wyborczej?

Z ataków na papieża na pewno wycofa się Platforma. Co zrobi Lewica, tego nie wiem. Mam nadzieję, że nie będzie atakować Jana Pawła II, a jeżeli podejmie takie ataki, to sądzę, że jej się to nie opłaci.

Jedną ze spraw, która wywołuje w Polsce dość żywą debatę, jest sprawa dostępu do broni. Jaki jest pański pogląd w tej kwestii?

Jestem za rozszerzeniem dostępu do broni.

Chętnie komunikuje się pan z wyborcami za pośrednictwem TikToka. Ta chińska platforma jest na celowniku regulatorów, m.in. w USA. Niedawno amerykański Kongres zakazał instalowania jej na urządzeniach rządowych. Nie ma pan problemu z chińskim rodowodem tej aplikacji?

To jest sprawa czysto polityczna. Stany Zjednoczone chcą, żeby wszystkie duże platformy społecznościowe były pod ich kontrolą. TikTok jest konkurencją dla Facebooka, Instagrama czy YouTube. Konkurencja w tym obszarze to część zimnej wojny, którą USA prowadzą z Chinami. Z polskiego punktu widzenia to temat drugorzędny. Nie mamy dużych polskich platform społecznościowych, TikTok nie jest dla naszych firm żadną konkurencją, więc nie widzę powodów, żebyśmy się w tę wojnę mieszali.

Czy polityczny projekt, którego jest pan współliderem, okrzepł już na tyle, że można zaryzykować twierdzenie, że nie będzie kolejną efemerydą na naszej scenie politycznej? Konfederacja Mentzena i Bosaka rozpoczęła długi marsz, którego celem jest przejęcie kiedyś władzy w Polsce?

Jesteśmy dużo młodsi niż nasi polityczni konkurenci. Jarosław Kaczyński skończył 73 lata, Donald Tusk 65, robiący w Platformie za młodego i obiecującego Rafał Trzaskowski jest po pięćdziesiątce. Jestem najmłodszym liderem partii politycznej w Polsce. Nasi wyborcy również są najmłodsi. Siedemdziesiąt pięć procent naszych wyborców nie ma 40 lat, tymczasem 55 proc. wyborców PiS jest po sześćdziesiątce, 45 proc. wyborców Platformy jest po sześćdziesiątce. Mamy najmłodszych polityków, najmłodszych liderów, najmłodszych wyborców, co w jednoznaczny sposób wskazuje, że jesteśmy partią przyszłości. Po 30 latach rządów obecnych polityków, którzy są już w wieku emerytalnym, należy ich odesłać na emeryturę, naprawić to wszystko, co zepsuli. Polacy nie chcą, żeby Tusk z Kaczyńskim dalej układali im życie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Polskie ubóstwo energetyczne

Łukasz Zboralski

Polacy coraz mocniej odczuwają w portfelach ceny energii. Czy latem trzeba będzie odkładać na prąd i gaz, by zapłacić za ciepły dom w następnym sezonie?

Sezon grzewczy dobiega końca, a do polskich domów trafiają ostatnie za niego rachunki. To trudny moment, bo i nie była to łatwa zima dla portfeli. Wydatki tych, którzy mają piece na węgiel, dramatycznie wzrosły już kilka miesięcy temu. Po 1 stycznia płacić więcej musieli także ci, którzy mają ciepło systemowe, ogrzewają mieszkania i domy prądem oraz gazem. Ci ostatni dostali największą podwyżkę – ich rachunki stały się wyższe o 23 proc.

Rząd nadal stosuje pewne mechanizmy, które mają chronić obywateli przed podwyżkami. Jednak mimo nich koszty energii – bez której we współczesnym świecie nie da się już funkcjonować – zaczynają być dla Polaków przygniatające. Zwłaszcza w okresie, w którym dwucyfrowa inflacja napędza wzrost cen właściwie w każdej sferze życia.

DROŻEJ I GORZEJ

Bartosz Kowalewski z Dzbonia pod Ciechanowem ma jednorodzinny dom i piec węglowy V klasy energetycznej – pieców o gorszych parametrach instalować już nie wolno. Jego rachunki za węgiel skoczyły ponad trzykrotnie.

– Przed wojną na Ukrainie płaciłem za tonę ekogroszku 900 zł – opowiada pan Bartosz. – Czasem kupowałem też za 1,3 tys. zł tonę polskiego ekogroszku, który był dużo bardziej kaloryczny. Wówczas 100 kg węgla spalałem nie w tydzień, a przez osiem dni. A w tym sezonie, z tzw. pomocy gminnej, kupiłem z dofinansowaniem węgiel kolumbijski za 2,2 tys. zł. Był tak mokry, że składuję go w kotłowni i dopiero po dwóch tygodniach mogę nim palić. A po wyschnięciu worek, który miał mieć rzekomo 25 kg, waży… 23 kg – denerwuje się.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e2030e6019

Rodzina Kowalewskich i tak uważa się za szczęściarzy. – Bo na początku węglowego szaleństwa wzięliśmy udział w internetowej loterii w PGG. Logowaliśmy się na stronie internetowej i udało nam się wylosować możliwość zakupu dwóch ton polskiego, dobrego ekogroszku po 1250 zł za tonę. Wygląda na to, że może na przyszły sezon będziemy musieli tylko trochę czegoś dokupić – zakłada pan Bartosz.

Pan Leszek, emeryt spod Świecia nad Wisłą, miał trudniej. Internetowe loterie nie były w jego zasięgu, nie potrafił wiziąc w nich udziału. – Z gminy, po złożeniu wniosku, kupiłem węgiel z Kolumbii. Nie dość, że słabo się pali, to jeszcze kosztował trzy razy tyle, co kiedyś węgiel z Polski – opowiada. – Dlatego ja przestawiłem się w gruncie rzeczy na drzewo. Jestem w domu, więc mogłem częściej dokładać do pieca. Oczywiście drzewo też było droższe w ubiegłym roku, ale i tak dużo tańsze niż węgiel – tłumaczy.

POWRÓT PODATKU

Ogrzewający mieszkania i domy gazem ziemnym mieli sytuację bardziej komfortową. Paliwo było dostępne, a rząd zdecydował się też na zamrożenie cen. W dodatku w ubiegłym roku obowiązywała zerowa stawka VAT. To już jednak przeszłość. Od stycznia paliwo gazowe znów obciążane jest 23-procentowym podatkiem.

Tu przypomnijmy – rządowa tarcza antyinflacyjna w ubiegłym roku redukowała VAT na ciepło systemowe, energię elektryczną do poziomu 5 proc., a na gaz do 0 proc. Bruksela wskazała, że ta ostatnia nie może być tak niska, bo KE dopuszcza minimalnie stawkę 5 proc. Polska miała więc dwa rozwiązania: przywrócić stawkę 23 proc. VAT na gaz albo ustalić nową, nie niższą niż 5 proc. Gdy zajął się tym parlament, to Senat wniósł poprawki, które pozwoliłyby płacić za gaz, ciepło systemowe i energię elektryczną pięcioprocentowy podatek. Sejm jednak te poprawki odrzucił. I od stycznia energia dla Polaków wzrosła o 23 proc.

Jest to jedna z najwyższych stawek podatku na gaz w Unii Europejskiej. We Włoszech, w Chorwacji, Hiszpanii i Portugalii stawka podatku VAT na gaz wynosi 5 proc.; w Grecji, Belgii i Austrii – 6 proc.; w Niemczech – 7 proc., w Bułgarii, Estonii, Irlandii – 9 proc.; w Słowenii – 9,5 proc. Dwucyfrowy VAT na to paliwo jest na Łotwie i w Holandii, ale i tak niższy niż w Polsce – 21 proc. Większe stawki od Polaków mają jedynie Węgrzy (27 proc.) i Szwedzi (25 proc.).

Dla Polaków ogrzewających domy gazem wzrost ceny o jedną piątą oznacza poważny problem i zaczynają szukać jego rozwiązań

Dla Polaków ogrzewających domy gazem wzrost ceny o jedną piątą oznacza poważny problem i zaczynają szukać jego rozwiązań. – Gdy już trwała wojna na Ukrainie, zainwestowałem w fotowoltaikę – opowiada „Do Rzeczy" pan Rafał z Nowej Iwicznej, który w jednorodzinnym domu ma kocioł gazowy. – Od końca ubiegłego roku mam więc własny prąd. W bojlerze ogrzewającym wodę mam teraz także grzałkę na prąd i tym sposobem oszczędzam gaz. W salonie mam również kozę, namiastkę kominka, i w najzimniejsze dni tym sobie dogrzewałem – opisuje.

JAKA POMOC?

Nie wszyscy z ogrzewaniem gazowym mogą sobie pozwolić – zwłaszcza przy zwiększających się kosztach życia – na inwestycję w odnawialne źródła energii. Tu znów pewną, choć nieznaczną ulgę zapewnia państwo. Cena za sam gaz została zamrożona także na ten rok.

„Zgodnie z postanowieniami ustawy o szczególnej ochronie niektórych odbiorców paliw gazowych w 2023 r. w związku z sytuacją na rynku gazu w 2023 roku sprzedawcy gazu, w tym PGNiG Obrót Detaliczny, mają obowiązek stosowania w rozliczeniach z odbiorcami końcowymi, uprawnionymi do ochrony taryfowej, ceny maksymalnej w wysokości 200,17 zł za MWh, czyli dokładnie takiej, jaka była stosowana w 2022 roku – informuje »Do Rzeczy« biuro prasowe PGNiG. – Z zamrożonych cen gazu w PGNiG Obrót Detaliczny korzysta ponad 7 milionów gospodarstw domowych, jak również ponad 36 tysięcy odbiorców wrażliwych, takich jak spółdzielnie i wspólnoty mieszkaniowe, placówki oświatowe (szkoły, żłobki, przedszkola), szpitale, przychodnie, Ochotnicze Straże Pożarne czy też podmioty prowadzące działalność kulturalną".

Przedstawiciele PGNiG podkreślili, że gospodarstwa domowe i inne podmioty korzystają z ceny maksymalnej w wysokości 200,17 zł za MWh, choć w ubiegłym roku ceny gazu na giełdach – w tym na Towarowej Giełdzie Energii w Warszawie, gdzie zaopatruje się PGNiG Obrót Detaliczny – sięgały nawet 1,5 tys. zł/MWh. Nawet po ostatnich, tegorocznych spadkach ceny gazu na giełdach cena dla odbiorców jest nadal niższa niż giełdowa (na kwiecień wynosiła 273,59 gr/kWh, a na maj 221,72 gr/kWh – w kontraktach miesięcznych).

Rząd zaplanował też inny rodzaj pomocy dla gospodarstw, dla których głównym źródłem ogrzewania jest piec gazowy. Najbiedniejsi dostaną zwrot VAT za gaz. Ustalono progi dochodowe. Z takiej ulgi w przypadku gospodarstwa jednoosobowego skorzystają ci, którzy nie przekraczają 2,1 tys. zł dochodu, a w przypadku wieloosobowych gospodarstw próg ten wynosi 1,5 tys. zł.

W innej sferze – produktów żywnościowych – rząd utrzymał zerową stawkę podatku VAT przez pierwszą połowę tego roku. Wszystko wskazuje jednak na to, że taka stawka utrzymana zostanie do końca 2023 r.

Na horyzoncie – nieco dalszym – zbierają się jednak kolejne ciemne chmury. Pisał o nich niedawno na łamach naszego tygodnika Tomasz Cukiernik („Do Rzeczy" nr 11/2023). Parlament Europejski przygotował rozporządzenie, w którym zaplanowano znaczne obniżenie emisji metanu przez kopalnie. Od 2027 r. wydobyciu 1000 t węgla ma towarzyszyć emisja nie wyższa niż 5 t metanu, a od 2031 r. nie wyższa niż 3 t. Tymczasem obecnie górnośląskie kopalnie emitują ok. 8–14 t metanu na 1000 t wydobywanego węgla. Wejście w życie unijnych regulacji oznaczać będzie jedno: droższy węgiel. Bo albo kopalnie płacić będą kary i wydobywanie węgla będzie dużo bardziej kosztowne, albo wydobywanie węgla w Polsce stanie się nieopłacalne. Wówczas skazani zostaniemy wyłącznie na import.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Ekspert od propagandy

Jan Fiedorczuk

W ostatnich miesiącach Stanisław Żaryn stał się twarzą rządu w walce z rosyjską dezinformacją. Jednak straszak kremlowskiej propagandy coraz częściej staje się w jego rękach narzędziem do dyskredytowania zarówno przeciwników politycznych, jak i dziennikarzy krytykujących poczynania polskich władz

Ciężko znaleźć urzędnika, który w ostatnich miesiącach byłby równie aktywny oraz medialny jak Stanisław Żaryn – pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP oraz sekretarz stanu w KPRM. Nie ma dnia, aby młody polityk nie informował o poczynaniach rosyjskich mediów, nie brał pod lupę, jak ich przekaz „rezonuje w polskim społeczeństwie", czy też nie przestrzegał Polaków przed „transferowaniem do debaty publicznej" treści miłych Władimirowi Putinowi.

Można zaryzykować tezę, że w czasie rosyjsko-ukraińskiej wojny, gdy oba wielkie obozy polityczne nawzajem oskarżają się o bycie rosyjską agenturą, gwiazda Żaryna rozbłysła mocniej niż w przypadku jakiegokolwiek innego polityka. Kim jest ten młody pogromca rosyjskiej propagandy?

Z MEDIÓW DO POLITYKI

Z wykształcenia Żaryn jest politologiem (studiował na Uniwersytecie Warszawskim), aczkolwiek jego kariera zawodowa była początkowo związana nie tyle z polityką, ile z mediami – portalem wpolityce. pl oraz tygodnikiem „Sieci" (jego ojciec, Jan, jest redaktorem naczelnym miesięcznika „W Sieci Historii" oraz byłym senatorem PiS). To ważny etap w życiu obecnego pełnomocnika rządu do spraw bezpieczeństwa i warto przynajmniej pobieżnie przyjrzeć się jego twórczości, która ukazywała się na łamach mediów braci Karnowskich.

Wczesną publicystykę Żaryna cechowały ostre pióro i swoboda w ferowaniu niezwykle mocnych sądów. Jego twórczość zdominowała krytyka rządzącej

eprasa.pl e2030e6019

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

wówczas Platformy Obywatelskiej i szeroko rozumianych elit III RP. Jednak obok całkiem zasadnej krytyki ekipy Donalda Tuska Żaryn stawiał również wręcz absurdalnie brzmiące tezy, których jedynym celem było zdyskredytowanie PO (np. w jednym z tekstów przekonywał, że ówczesny rząd „grozi śmiercią każdemu", a władza „niszczy Polskę i Polaków").

Z jego artykułów z lat 2010–2015 wyłaniał się obraz państwa znajdującego się w ostatniej fazie agonii, gdzie władza i skoligacone z nią media wiedzione „zwierzęcą nienawiścią do PiS" ogłupiają Polaków. Bo i o samym polskim społeczeństwie Żaryn nie miał najlepszej opinii, ubolewając, że „liczy się dla niego pełna micha, pieniądze w kieszeni i wpływy na konto", a w imię „realizacji ekonomicznych potrzeb" Polacy są gotowi popierać rząd „jawnie godzący" w interesy kraju.

Trudno powiedzieć, by antyplatformerskie pióro Żaryna z biegiem lat złagodniało, jednak jego publicystykę z czasem zaczął dominować inny temat – chodzi o kwestie bezpieczeństwa państwa. W felietonie z 2013 r. przekonywał, że kraj „może zostać podbity, zdobyty bez jednego wystrzału", a w innym artykule z tego roku oceniał, że politycy PO zdradzili Polaków i po katastrofie smoleńskiej „złożyli hołd" Władimirowi Putinowi. Rok później natomiast pisał, że może się okazać, że Polska rękami sojuszników NATO, Unii Europejskiej oraz premiera Donalda Tuska „jest wpychana w rosyjską strefę wpływów, że jest powolnie oddawana Rosji". To jedynie kilka cytatów oddających apokaliptyczny ton ówczesnej publicystyki Żaryna.

AGENCI I PROPAGANDA

W bieżącą politykę Żaryn zaangażował się po 2015 r., obejmując stanowisko rzecznika ministra koordynatora ds. służb specjalnych oraz dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego KPRM. Jednak dopiero po 2021 r., w związku z kryzysem na granicy polsko-białoruskiej, a następnie rosyjską inwazją na Ukrainę, jego kariera nabrała rozpędu. W ubiegłym roku premier Mateusz Morawiecki powołał go na funkcję sekretarza stanu w kancelarii premiera, jednocześnie wyznaczając go na pełnomocnika rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP.

Przypomnijmy, że rok 2021 był czasem, w którym politycy opozycji jawnie występowali przeciwko państwu polskiemu, podważając konieczność ochrony naszej wschodniej granicy. Żaryn wówczas był jedną z twarzy rządu, broniących konieczności wprowadzenia stanu wyjątkowego na obszarze graniczącym z Białorusią, oraz wdawał się w ostre dyskusje z politykami opozycji. Przykładem może być jego spór z posłem KO Dariuszem Jońskim, który stwierdził, że przy granicy Polski z Białorusią mogło umrzeć 70 migrantów. „W czasie ataku hybrydowego na Polskę takie słowa to skrajna nieodpowiedzialność" – ripostował Żaryn, domagając się od posła wycofania ze swych wypowiedzi.

W podobne dyskusje Żaryn wchodził z Robertem Biedroniem czy Janiną Ochojską. Polityk, co zrozumiałe, zawsze stawał w obronie polskich instytucji oraz funkcjonariuszy, co budowało jego wizerunek państwowca. Wytykanie opozycji, że jej przekaz jest tożsamy z narracją Kremla, dobrze współgrało z taktyką Zjednoczonej Prawicy. W kolejnych miesiącach Żaryn dalej eksplorował tę niszę, czyniąc z niej niemal swój znak rozpoznawczy.

WOJNA INFORMACYJNA

Po ataku Rosji na Ukrainę polską politykę ogarnęła „gorączka agentury" – obie strony konfliktu, PiS i PO, zaczęły sobie zarzucać prorosyjskie sympatie, dopatrując się w szeregach przeciwnika agentów Władimira Putina. – Ja wiedziałem, że tu jest agentura Putina, ale nie wiedziałem, że aż tak liczna – przemawiał Jarosław Kaczyński podczas burzliwego wrześniowego posiedzenia Sejmu. Te słowa dość trafnie oddają atmosferę, która zapanowała w polskiej polityce.

Żaryn, jako państwowy urzędnik, nie może pozwolić sobie na wypowiedzi o charakterze zbliżonym do tych z czasów jego kariery dziennikarskiej, dlatego

Wczesną publicystykę Żaryna cechowały ostre pióro i swoboda w ferowaniu niezwykle mocnych sądów

też nie zarzuca wprost politycznym przeciwnikom agenturalności, raczej ostrzegając przed politykami oraz niektórymi uczestnikami debaty publicznej. Unika jasnych sformułowań, w zamian posługując się sugestiami i niedopowiedzeniami co do „współgrania" przekazu przeciwników politycznych z narracją rosyjską.

To, że Kreml posługuje się propagandą, a obok działań stricte wojennych prowadzi tzw. wojnę informacyjną, jest

eprasa.pl e2030e6019

oczywiste. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że obóz rządzący wykorzystuje ten proceder do stricte partyjnej polityki. Dobrze to widać właśnie na przykładzie działalności Żaryna, którego uwagi czasem bywają jak najbardziej zasadne (jak choćby w przypadku krytyki kuriozalnych wypowiedzi Janiny Ochojskiej), czasami jednak przybierają wręcz karykaturalną formę.

Mogliśmy tego doświadczyć całkiem niedawno, gdy słynny aktywista LGBT Bartosz Staszewski udostępnił nagranie Jarosława Kaczyńskiego z uroczystego przemówienia Joe Bidena w Warszawie. Prezes PiS miał stwierdzić na filmie, że amerykański prezydent „nic nie powiedział" (w domyśle – nic istotnego), co bardzo szybko wykorzystała opozycja. W sprawie natychmiast interweniował Żaryn, który w oficjalnym komunikacie zapewniał, że materiał został zmanipulowany, Kaczyński nigdy nic takiego nie powiedział, a sam Staszewski próbuje „destabilizować relacje PL-USA" i „polaryzować społeczeństwo w Polsce".

„Działania rodzimych prowokatorów oraz nierzetelnych i nieuczciwych komentatorów to przykład destabilizowania przestrzeni informacyjnej RP. Takie działania są korzystne dla nieprzyjaciół RP, którzy korzystają z takich mechanizmów do atakowania PL" – zapewniał we wpisie na Twitterze. To klasyczny przykład strategii Żaryna, który nie zarzuca Staszewskiemu agenturalności, ale jednocześnie nie pozostawia wątpliwości co do tego, kto korzysta na działalności młodego aktywisty. Sprawa jest o tyle kuriozalna, że rzeczone nagranie jest po prostu średniej jakości i trudno orzec, co Kaczyński właściwie powiedział. Pewność Żaryna jest równa pewności polityków Platformy Obywatelskiej i raczej świadczy o próbie zakrzyczenia przeciwnika politycznego niż o czymkolwiek innym.

Na marginesie możemy postawić pytanie, jak to świadczy o polskich służbach, jeżeli aktywista zdolny „zdestabilizować relacje polsko-amerykańskie" został dopuszczony na imprezę tej rangi, którą jest przemówienie prezydenta Bidena, i jakim cudem miał możliwość nagrywania najważniejszej osoby w państwie polskim. Pojawia się oczywiście obawa, czy samo stawianie tych pytań nie zostanie potraktowane jako prowokacja „rezonująca z rosyjską propagandą".

CZAS PROPAGANDY

Te wątpliwości nie są bezzasadne, gdyż Żaryn w przeszłości dawał do zrozumienia, że część przekazu medialnego niekorzystnego dla PiS jest miła Kremlowi. Nawiązuję tutaj do afery sprzed kilku tygodni, gdy rzecznik bezpośrednio zaatakował nasz tygodnik. Problemem oczywiście nie była sama krytyka z ust polityka, ale sposób argumentacji.

„Wzrasta poziom przenikania do debaty w Polsce tez współbrzmiących z rosyjską propagandą. Identyfikowane działania informacyjne mogą rzutować negatywnie na bezpieczeństwo przestrzeni informacyjnej RP oraz bezpieczeństwo Polski" – ostrzegał na Twitterze. Istotna była jednak grafika, którą Żaryn wybrał do przyozdobienia swojego komunikatu. Obok zdjęcia europosła Radosława Sikorskiego i dr. Leszka Sykulskiego pojawiła się fotografia… redaktora naczelnego „Do Rzeczy" Pawła Lisickiego oraz naszego felietonisty Wojciecha Cejrowskiego (zdjęcie z programu „Antysystem").

W marcu Stanisław Żaryn przekazał, że rząd rozważa „różne możliwości karania za dezinformację"

Co więcej, Żaryn w serii wpisów zasugerował, że Lisicki i Cejrowski przekonują, iż „Polska nie powinna angażować się w działania na rzecz Ukrainy, Polacy mieli interes w wysadzeniu Nord Stream, Polska rozważała atak na Ukrainę, RP nie powinna być częścią NATO". Rządowy ekspert od dezinformacji na żadne z tych kuriozalnych oskarżeń oczywiście nie przedstawił choćby cienia dowodu. Trudno zatem to traktować w innych kategoriach niż jako przekaz partyjny. Żaryn zastosował tutaj dokładnie tę samą metodę, którą stosował w przypadku nagrania Staszewskiego – nie zarzucił nic wprost, ale jednocześnie zestawiając zdjęcie redaktorów „Do Rzeczy" z tezami o ataku na Ukrainę i opuszczeniu NATO, nie pozostawił wątpliwości, kto rozprzestrzenia takie tezy.

Warto zwrócić w tej sprawie uwagę na jeszcze jeden drobny szczegół. Chodzi o tytuł odcinka „Antysystemu", który widniał na grafice wykorzystanej przez Żaryna – „Cejrowski: Rząd powinien się spowiadać. Lisicki: Kto pyta, ten zostaje ruską onucą". Obrazek zatem wybitnie wymowny, gdyż Żaryn swoją partyjną nadgorliwością potwierdził jedynie tezy Lisickiego i Cejrowskiego – kto ośmiela się stawiać rządowi jakiekolwiek trudniejsze pytania, kto domaga się od władz informacji, ten może zostać oskarżony o wspieranie rosyjskiej narracji. Jak widać, między walką z propagandą a kolportowaniem propagandy partyjnej jest cienka granica.

Sprawa jest dość poważna, gdyż nie dotyczy tylko niezbyt eleganckiego zachowania ministra. Powyższa sytuacja jest odzwierciedleniem szerszej tendencji w polskim rządzie, który walkę z agenturą coraz częściej zdaje się wykorzystywać do celów politycznych. W marcu Stanisław Żaryn przekazał, że rząd rozważa „różne możliwości karania za dezinformację". Polityk poinformował, że do wakacji zostaną opracowane pewne założenia tego pomysłu (być może nawet w formie ustawy). Nie wykluczał jednocześnie, że za „dezinformację" może czekać kara więzienia.

Te doniesienia muszą budzić wiele obaw, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że całkiem niedawno, z do dzisiaj niewyjaśnionych przyczyn, cenzura zablokowywała portal dwutygodnika „Najwyższy Czas!". W Internecie pojawiły się od razu plotki, że serwis w jednym z tekstów rozprzestrzeniał dezinformację „rezonującą" z rosyjską propagandą. Pewności jednak nie ma, gdyż szef portalu Tomasz Sommer nadal nie otrzymał oficjalnych wyjaśnień.

Zapowiedzi Żaryna nie można zatem czytać w oderwaniu od tych faktów. Jest to projekt dojrzewający w konkretnej sytuacji politycznej, a ta staje się w ostatnich miesiącach coraz bardziej niepokojąca. Polski rząd walkę z rosyjską dezinformacją traktuje coraz częściej jako temat zastępczy, a nawet narzędzie do prowadzenia polityki partyjnej. Sam Żaryn jest tutaj jedynie tubą władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Już 17 kwietnia w „Do Rzeczy” dodatek

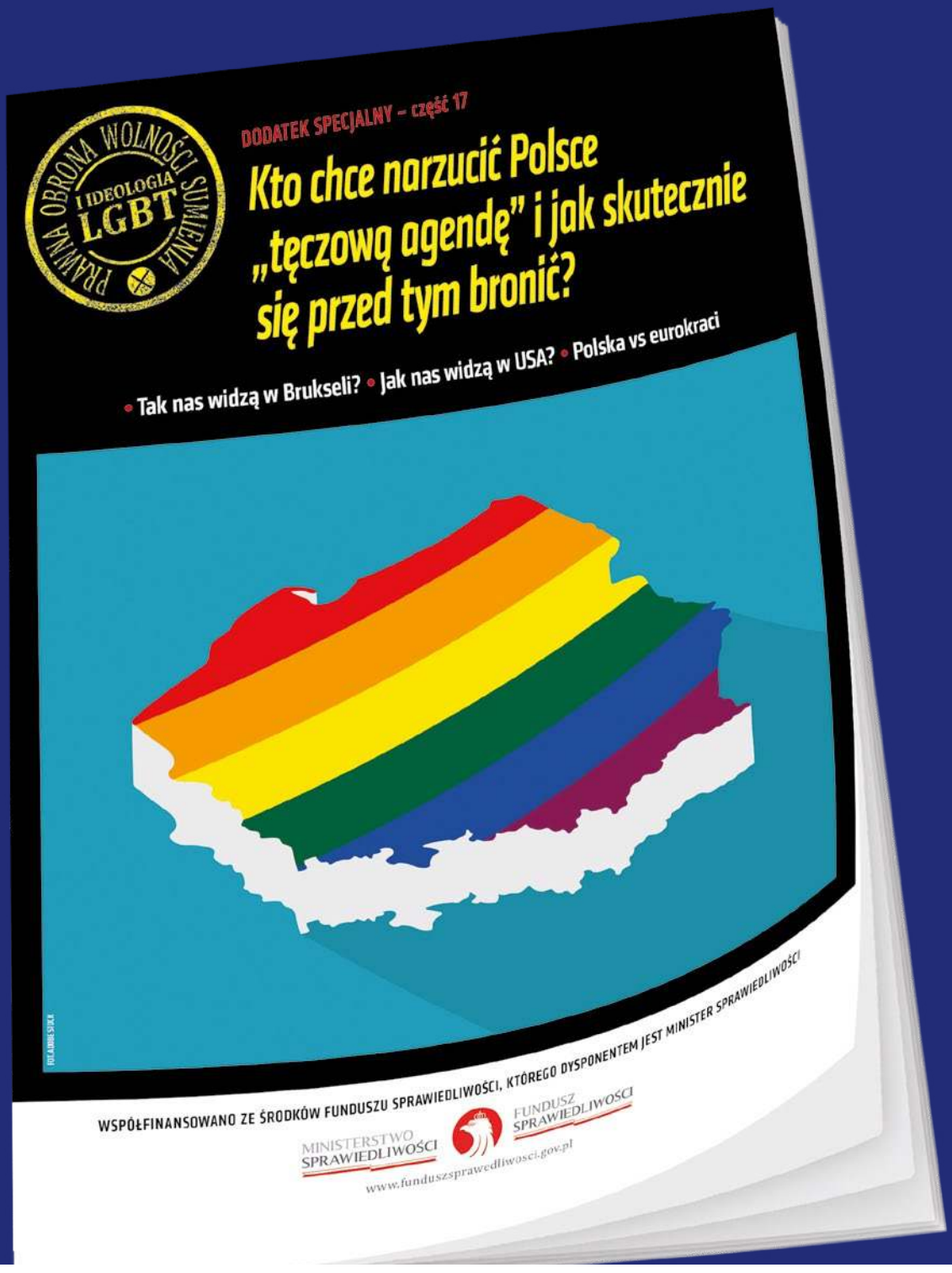

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl e2030e6019

Z Karolem Nawrockim, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej
rozmawia Tomasz Rowiński

Historyczna łączność między pokoleniami

FOT. IPN

TOMASZ ROWIŃSKI: W dniach 13–15 kwietnia na stadionie PGE Narodowym im. Kazimierza Górskiego w Warszawie obędzie się po raz pierwszy – pod hasłem „Historia mówi przez pokolenia" – Kongres Pamięci Narodowej, organizowany przez Instytut Pamięci Narodowej. Skąd pomysł na takie wydarzenie?

KAROL NAWROCKI: W drugiej połowie 2022 r. na zlecenie IPN zostały przeprowadzone największe od czasów odzyskania przez Polskę suwerenności w 1990 r. badania społeczne na temat świadomości historycznej Polaków. Objęły próbę blisko 6 tys. osób: uczniów szkół średnich, nauczycieli i dorosłych. Na tej podstawie powstał raport „Edukacja dla Pamięci". To właśnie zawarte w nim wyniki zainspirowały nas do zorganizowania kongresu. Dodatkowo w 2016 r., kiedy byłem naczelnikiem Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Gdańsku, zorganizowaliśmy pierwszy Pomorski Kongres Pamięci Narodowej skupiający edukatorów, naukowców, działaczy społecznych i weteranów. Tamto lokalne wydarzenie okazało się sukcesem, więc chcemy je powtórzyć w skali ogólnopolskiej. Ta synergia działań jest niezbędna, by efektywnie i skutecznie krzewić postawy patriotyczne, a także by zachęcić młodych do poznawania historii swojego kraju.

Co skłoniło IPN do zlecenia takich badań?

Wśród osób znających wagę narodowej tradycji historycznej jest dość powszechne przekonanie o małej znajomości historii Polski, zwłaszcza historii najnowszej, wśród młodzieży. Skutkiem tego jest np. wprowadzenie przez Ministerstwo Edukacji i Nauki nowego przedmiotu szkolnego – historia i teraźniejszość. Można jednak odnieść wrażenie, że nie jest tak źle, bo warszawski Marsz Niepodległości gromadzi od wielu lat nawet ponad 100 tys. osób, a takie marsze, choć o mniejszej skali, odbywają się też w innych miastach. W całym kraju dużym odzewem społecznym cieszy się Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, dość popularne są inicjatywy grup rekonstrukcji historycznych. Chcieliśmy wiedzieć, jak jest naprawdę, jak to wygląda w konkretnych liczbach i jaka jest wiedza Polaków na konkretne, bardzo szczegółowe tematy. Teraz już wiemy.

Czy to znaczy, że wyniki wspomnianych badań będą najważniejszym elementem kongresu?

Wyniki badań są diagnozą, bez której być może kongresu by nie było, ale są jedynie diagnozą. Na stadionie PGE Narodowym podzielimy się nią, ale przede wszystkim pokażemy, jak można wzmacniać stan naszej świadomości historycznej. My, Polacy, tak jak w piłce nożnej, w tej kwestii mamy duże ambicje, średnią formę i ogromny potencjał. Nie chodzi jednak o futurologię rozwiązań

eprasa.pl e2030e6019

czy gdybanie. Pokażemy coś, co już działa, podzielimy się ponad 20-letnim dorobkiem instytutu, a zwłaszcza tą jego częścią, która może mieć największy wpływ na zwiększenie naszej świadomości historycznej. Ten ignorowany przez niektórych aspekt ma ogromy wpływ nie tylko na tożsamość narodową, lecz także na siłę państwa, jego kulturę, gospodarkę, a w efekcie na komfort życia, bogactwo i bezpieczeństwo. Chyba zbędne jest mówienie, co Amerykanie czy Brytyjczycy osiągnęli dzięki filmom historycznym takim jak „The Crown", „Braveheart" czy „Szeregowiec Ryan".

Film, zdaje się, dla IPN także nie jest dziedziną obcą.

Oczywiście naszymi filmami nie rozbijamy banku, bo jesteśmy instytucją państwową i naszą twórczość prezentujemy nieodpłatnie. Potrafimy za to rozbić szklane sufity, nawet międzynarodowe, i to w tak trudnej tematyce jak dotycząca Polaków ratujących Żydów. Pokazaliśmy na całym świecie – z ciepłym przyjęciem wśród społeczności żydowskiej – dwa filmy dokumentalne o polskich dyplomatach ratujących Żydów. Najnowszy materiał poruszający podobną tematykę – „Matusia" o franciszkankach Rodziny Maryi – po niespełna czterech miesiącach na kanale IPNtv w serwisie YouTube osiągnął ponad 100 tys. odsłon. To bardzo dobry wynik jak na pełnometrażowy film dokumentalny o trudnym temacie. Aktualnie istnieje już jego wersja w językach angielskim i hebrajskim. A w czasie kongresu odbędzie się IV Międzynarodowy Festiwal Filmowy o Totalitaryzmach „Echa Katynia", gdzie pokażemy produkcje z całego świata.

Aczkolwiek sięgamy po więcej niż film. Na kongresie odbędzie się po raz pierwszy tzw. Histhack, spotkanie programistów, których zadaniem będzie stworzenie scenariusza gry komputerowej opartej na wydarzeniach z historii Polski XX w. Z kolei w Strefie Nowych Technologii pokażemy „Grę szyfrów", opowiadającą o zmaganiach kryptologów podczas wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r., oraz aplikację „Szybowcowa '87", prezentującą konspiracyjną drukarnię Solidarności Walczącej we Wrocławiu, przeniesioną do wirtualnej rzeczywistości.

Wróćmy do głównego tematu kongresu...

Hasło kongresu to „Historia mówi przez pokolenia". Nakręciliśmy dwa wzruszające spoty obrazujące tę ideę. Jednak pozwolę sobie przytoczyć tu prawdziwą historię sztafety pokoleń z naszej wystawy „Pokolenia Wolności". Jedną z przedstawionych tam rodzin reprezentuje mjr Adam Lazarowicz, AK-owiec, a po drugiej wojnie światowej zastępca prezesa IV Zarządu Głównego Zrzeszenia WiN, ppłk. Łukasza Cieplińskiego. Razem zostali zamordowani przez komunistów w więzieniu przy ul. Rakowieckiej 1 marca 1951 r. Jego syn Zbigniew podążył szlakiem ojca w czasie wojny i w epoce Solidarności. Z kolei wnuk Romuald wraz ze swoimi przyjaciółmi zredagował i wydrukował pierwszą w Polsce niezależną gazetę w stanie wojennym, która już 14 grudnia była kolportowana w stolicy Dolnego Śląska. Dzięki tysiącom takich sztafet pokoleniowych dzisiejsza młodzież może obficie korzystać z owoców wolności. Z pomocą kongresu chcemy zapobiec przerwaniu historycznej łączności międzypokoleniowej, które może skutkować powrotem totalitarnych reżimów.

Nie da się nie zauważyć, że jednym z centralnych tematów Kongresu Pamięci Narodowej będzie zagadnienie reparacji wojennych. Czego możemy się spodziewać w debatach poświęconych temu tematowi?

Mam nadzieję, że przenikliwej analizy i dobrych pomysłów na rozwiązania problemów. Tego należy się spodziewać po polskich oraz zagranicznych ekspertach, takich jak prof. Stéphane Courtois, jeden z autorów „Czarnej księgi komunizmu", czy po amerykańskim profesorze Stephenie Hicksie.

Jeśli chodzi o szczegóły, to poznamy je, słuchając tych dyskusji. Pewne jest to, że Niemcy w 2010 r. wypłaciły Francji i Wielkiej Brytanii ostatnią ratę reparacji wojennych za pierwszą wojnę światową. Aktualnie spłacają swoje zbrodnie popełnione w Namibii w latach 1904–1908. To niezrozumiałe, dlaczego nie mieliby zadośćuczynić za wymordowanie milionów polskich obywateli i zniszczenie naszej ojczyzny w czasie drugiej wojny światowej. Ale być może paneliści będą mieli inne zdanie – zobaczymy.

Dlaczego na jeden z ważnych tematów kongresu wybrana została kwestia polskiej transformacji ustrojowej?

Temu tematowi będą poświęcone panele zaplanowane na 15 kwietnia, czyli ostatni dzień kongresu. Dyskusje na ten temat są wciąż bardzo żywe, a nawet dzielą Polaków na dwa obozy. Kto powinien być ikoną polskiej wolności poza Janem Pawłem II czy Anną Walentynowicz? Czy symbolami transformacji ustrojowej w Polsce są plakat wyborczy „W samo południe" z Garym Cooperem, zdjęcie z Magdalenki Tadeusza Mazowieckiego, Lecha Wałęsy i Adama Michnika wznoszących toast z Czesławem Kiszczakiem, szefem komunistycznego aparatu terroru, odpowiedzialnym w związku z tą funkcją za internowanie 10 tys. Polaków w stanie wojennym, za pobicia i skrytobójcze morderstwa, np. popełnione na ks. Jerzym Popiełuszce? Czy datą odzyskania niepodległości jest rok 1989 czy 1993, kiedy to wojska sowieckie opuściły Polskę? A może jest jeszcze inna data?

My, Polacy, tak jak w piłce nożnej, w kwestii świadomości historycznej mamy duże ambicje, średnią formę i ogromny potencjał

Jakie są spodziewane efekty kongresu?

Badania wykazały, że ok. 50 proc. Polaków zachowuje dystans do historii swojej ojczyzny. Kongres spełni swój cel, jeśli w wyniku jego działań przynajmniej część rodaków uda się zainteresować rodzimą tradycją historyczną. To będzie możliwe, jeżeli będziemy umieli owocnie wymienić doświadczenia, opinie, pomysły, a potem podejmiemy ich konsekwentną realizację na poziomie instytucji państwowych, społecznych czy też dzięki działaniom osobistym każdego z nas: rodziców, pasjonatów historii, blogerów, vlogerów czy nauczycieli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Akcja operacja

Zuzanna Dąbrowska

Powiększanie pośladków i piersi, liposukcja czy foxy eyes – to najpopularniejsze zabiegi chirurgii plastycznej, które przechodzą polscy celebryci. Wielu z nich po „nowe ciało" leci do Turcji. Niekiedy kończy się to tragicznie

Nie mogłam chodzić, nie mogłam jeść, nie mogłam nawet sama się załatwić. Kiedy chciałam się umyć, to potrzebowałam pomocy mojego byłego faceta. Więc sobie wyobraźcie, co czuje kobieta, którą facet musi umyć albo, za przeproszeniem, podetrzeć jej d.pę, bo sama nie może tego zrobić. Najgorsze jest to, że jak tam leżałam, to czułam taki dziwny zapach ode mnie, ja nazywam to zapachem śmierci – relacjonowała na Instagramie Ewelina Kubiak, znana w sieci jako „Ewel0na".

Sławę zdobyła, biorąc udział w programie „Warsaw Shore". Dziś jest rasową influencerką z 600 tys. obserwatorów. Do jednej z tureckich klinik medycyny estetycznej wybrała się ze swoim ówczesnym partnerem w ramach kontraktu. Kubiak zdecydowała się na liposukcję. W sumie lekarz zgodził się na przeprowadzenie sześciu (!) zabiegów. Wyraził sprzeciw wobec zaledwie jednego, uznając, że to byłoby już nadmierne ryzyko. – Darmowe zabiegi na reklamę – wskazuje gwiazda. – Zazwyczaj jest tak, że po jednym dniu wychodzi się z kliniki do willi, ja czułam, że coś jest ze mną nie tak. Byłam mega, megasłaba, nie mogłam oddychać, leżałam pod tlenem. [...] Pamiętam, że oni mnie budzili, a moje pierwsze słowa to było: „I can't take a breath, nie mogę złapać oddechu" i tak krzyczałam panicznie – opowiada. – Pojechałam na zdjęcie drenów i oni mi zostawili dren na plecach, oni już wiedzieli, że coś jest nie tak. Widziałam, że z tego drenu cały czas mi coś leci [...]. Na następny dzień pojechałam na zdjęcie tego drenu i ze mnie lała się ropa, ropa tak śmierdząca, że tego nie da się w ogóle opisać, był to najgorszy smród, jaki w życiu czułam – wspomina.

„Ewel0na" wróciła na własne żądanie do Polski, gdzie otrzymała solidną opiekę. Opowiada, że polscy medycy walczyli o jej życie, ponieważ było naprawdę źle. – Stwierdzono, że zostałam zarażona bakterią, miałam leki sprowadzane z zagranicy, to nie chciało ustąpić. Byłam tak wykończona, że nie mogłam jeść, leżałam w pampersie [...]. Na żywca mnie nacinali, robili nowe rany, żeby tylko tę ropę spuścić, bo się rozprzestrzeniała. [...] Miałam martwicę skóry – poinformowała influencerka.

Kobiecie udało się wyjść ze stanu krytycznego, jednak przez długi czas ukrywała przed internetowymi fanami, co się z nią działo. Jak przyznaje, nie mogła opowiedzieć o swoim dramacie przez obowiązującą cały czas umowę z kliniką. Gdy zobowiązania wygasły, ujawniła prawdę. Według relacji Kubiak turecka placówka nie poczuwa się do odpowiedzialności. – Dostałam wiadomość, że można znowu przyjechać do kliniki po „darmowe ząbki" – kpi celebrytka i zapowiada, że ma zamiar walczyć o sprawiedliwość w sądzie. Jednocześnie ostrzega swoich fanów przed nabieraniem się na reklamy kliniki, które na Instagramie można spotkać na każdym kroku.

„EKSPLODUJĄCY TYŁ GŁOWY"

Historia gwiazdki „Warsaw Shore" wywołała niemały odzew. Kubiak zaczęła publikować na Instagramie anonimowe wiadomości od innych osób, które również chciały w tej samej klinice poprawić urodę, a zostały oszpecone. Jednocześnie odezwało się kilku influencerów, którzy bronią ośrodka, przekonując, że po pierwsze, to wina „Ewel0ny", bo nie stosowała się do zaleceń lekarzy, a po drugie, im nikt nie dał niczego za darmo, ponieważ za wszystko płacą sami. Tymczasem na ich profilach można znaleźć pełne oznaczeń reklamowych posty zachwalające pobyt w klinice. Kubiak odpowiada, że bronią tego ośrodka, ponieważ albo są wciąż związani kontraktami, albo faktycznie w ich przypadku nie stało się nic złego i po prostu liczą na dalszą współpracę, czyli kolejne darmowe operacje.

Tiktokerka Weronika, funkcjonująca pod nickiem „Polish_99", jest fanką

eprasa.pl e2030e6019

FOT. ADOBE STOCK

operacji plastycznych. Na jej profilach w mediach społecznościowych skrupulatnie relacjonuje kolejne. Przeszła korektę nosa, BBL (brazylijski lifting pośladków), a do Turcji poleciała, aby zrobić sobie lifting oczu (tzw. foxy eyes) oraz lifting szyi. Na jednym z tiktoków pojawiła się z fioletowymi siniakami i w czarnej opasce na głowie. Okazało się, że podczas powrotu samolotem do Polski „tył jej głowy eksplodował od ciśnienia". Zabieg „foxy eyes" miał unieść obszar w okolicach oczu. Przy wypisie ze szpitala konsultowała podróż samolotem do domu wraz ze swoim chirurgiem. Influencerka wyjawiła, że lekarz był zadowolony z procesu rekonwalescencji i zgodził się wydać jej zaświadczenie o tym, że może podróżować samolotem. Ostatecznie lekarz zapomniał jej go wręczyć. Odwiedziła więc drugiego lekarza, już na lotnisku. Ten także nie widział przeciwwskazań do lotu i wydał potrzebny dokument. – Nikt nie popełnił błędu, chirurg ani lekarz na lotnisku w szpitalu. Wszystko było w porządku, gdy wsiadłam do samolotu – zapewniała Weronika. Coś jednak poszło nie tak. – Czułam ból za lewym uchem, moje ucho również bolało i pomyślałam: Jak to możliwe? Jeszcze nie czuję swoich uszu. Wszystko naprawdę mnie bolało, poszłam do toalety i usłyszałam trzask. Krótko mówiąc, skończyłam z zainfekowaną dziurą, z której sączyła się krew, ale teraz już wszystko się oczyszcza, po prostu muszę być ostrożna – podsumowała influencerka.

LEKARZE BIJĄ NA ALARM

System jest prosty – grupka influcencerów promuje kliniki, w których zabiegi otrzymuje za reklamę. To reklama „kompleksowa" – nie tylko bowiem piszą o ośrodku w samych superlatywach, dumnie prezentując „nowe ząbki" czy „nowe piersi", lecz także podają dokładne namiary na osobę załatwiającą formalności, mówiącą po polsku (tureckie ośrodki są nastawione przede wszystkim na Polaków i Rosjan). Jeśli coś pójdzie niezgodnie z planem, to obserwatorzy, jak w przypadku Kubiak, szybko się o tym nie dowiedzą, ponieważ taki celebryta jest związany umową. PR klinik chirurgii plastycznej w Turcji opiera się na wizji rodem z filmów. Przed zabiegiem i po nim pacjenci mają do dyspozycji luksusowy apartament, niekiedy z basenem, i pełne wyżywienie. Wakacje ultra all-inclusive z operacją w pakiecie.

Turcja to „ziemia obiecana" nie tylko dla Polaków, którzy chcą wpisywać się w internetowy kanon piękna. Kraj ten, ze względu na niskie ceny, wybierają też Brytyjczycy zmagający się z otyłością. Koszt zmniejszenia żołądka wynosi w Turcji ok. 2 tys. funtów, co przy 10 tys. funtów za taki sam zabieg w Wielkiej Brytanii wydaje się świetną okazją. Istotnym czynnikiem są też krótkie terminy i to, że tureccy lekarze dość liberalnie podchodzą do kwalifikacji pacjenta do operacji. Jednak jak wynika z raportu BBC, skala powikłań po tego typu zabiegach jest znacząca. W Wielkiej Brytanii zmniejszenie żołądka jest oferowane osobom, których wskaźnik masy ciała (BMI) wynosi 40 lub więcej. Tymczasem aż sześć z 27 tureckich klinik, z którymi skontaktowali się dziennikarze, zgodziło się zmniejszyć żołądek osobie z BMI 24,5 (jest to wskaźnik pozostający w normie). Według raportu stacji od 2019 r. siedmiu Brytyjczyków zmarło z powodu powikłań po operacji zmniejszenia żołądka dokonanej w Turcji.

Katie miała więcej szczęścia. Jak opisuje BBC, w październiku 2021 r. zdecydowała się na operację w tureckiej klinice. Po zabiegu źle się czuła, jednak lekarze tłumaczyli to „uwięzionymi w żołądku gazami". Po powrocie do Wielkiej Brytanii ból nie ustępował. Kobieta udała się do szpitala, gdzie okazało się, że ma sepsę i zapalenie płuc. W trakcie leczenia Brytyjka sześć razy zachorowała na sepsę. Konieczne było usunięcie całego żołądka. – To najgorszy błąd, jaki kiedykolwiek popełniłam. To zrujnowało mi życie – wspominała pacjentka.

Lekarze biją na alarm. – Do szpitali trafiają już po powrocie do kraju. Podczas leczenia okazuje się również, że wielu z nich przeszło zupełnie inne operacje niż te, za które zapłacili – przekazał dr Ahmed Ahmed, chirurg i członek rady Brytyjskiego Towarzystwa Otyłości i Chirurgii Metabolicznej, podkreślając, że oferowanie osobie zdrowej tego typu interwencji jest niezgodne ze sztuką lekarską.

WPATRZENI W CELEBRYTÓW

Nie wszyscy wyjeżdżają za granicę. Agata Fąk, znana jako „Fagata", choć ma zaledwie 22 lata, już dwukrotnie poddała się zabiegowi BBL. Za pierwszym razem nie była zadowolona z efektu. Niejasno wspominała, że operacja wykonana przez polskiego lekarza nie poszła tak, jak powinna. Przy drugiej powiększyła pośladki, odsysając tłuszcz m.in. z brody, co jak zapewniała gwiazdka z gigantyczną jak na polskie warunki bazą 1,3 mln obserwujących, pozwoli jej pozbyć się odwiecznego kompleksu.

Problem jest coraz poważniejszy. Z jednej strony mamy kliniki (przede wszystkim zagraniczne, choć trafiają się też te w Polsce), co do których fachowości można mieć duże zastrzeżenia, promujące się za pomocą łaknących popularności, próżnych influencerów. Z drugiej, są setki tysięcy, najczęściej nastoletnich, obserwatorów, którzy wpatrzeni w ekrany smartfonów, nasiąkają treściami budującymi w nich kompleksy i poczucie bycia niewystarczająco pięknymi. A to wszystko w dobie rekordowej liczby prób samobójczych wśród nieletnich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Wiesław Chełminiak

Wielka hipnotyzerka

Od czasu, gdy debiutowała w świecie filmu, minęło już 100 lat, ale jej fenomen nie przestaje zadziwiać. Jakim cudem Greta Gustafsson, pulchna cudzoziemka z podstawowym wykształceniem i z mizernym dorobkiem aktorskim, stała się królową Hollywood?

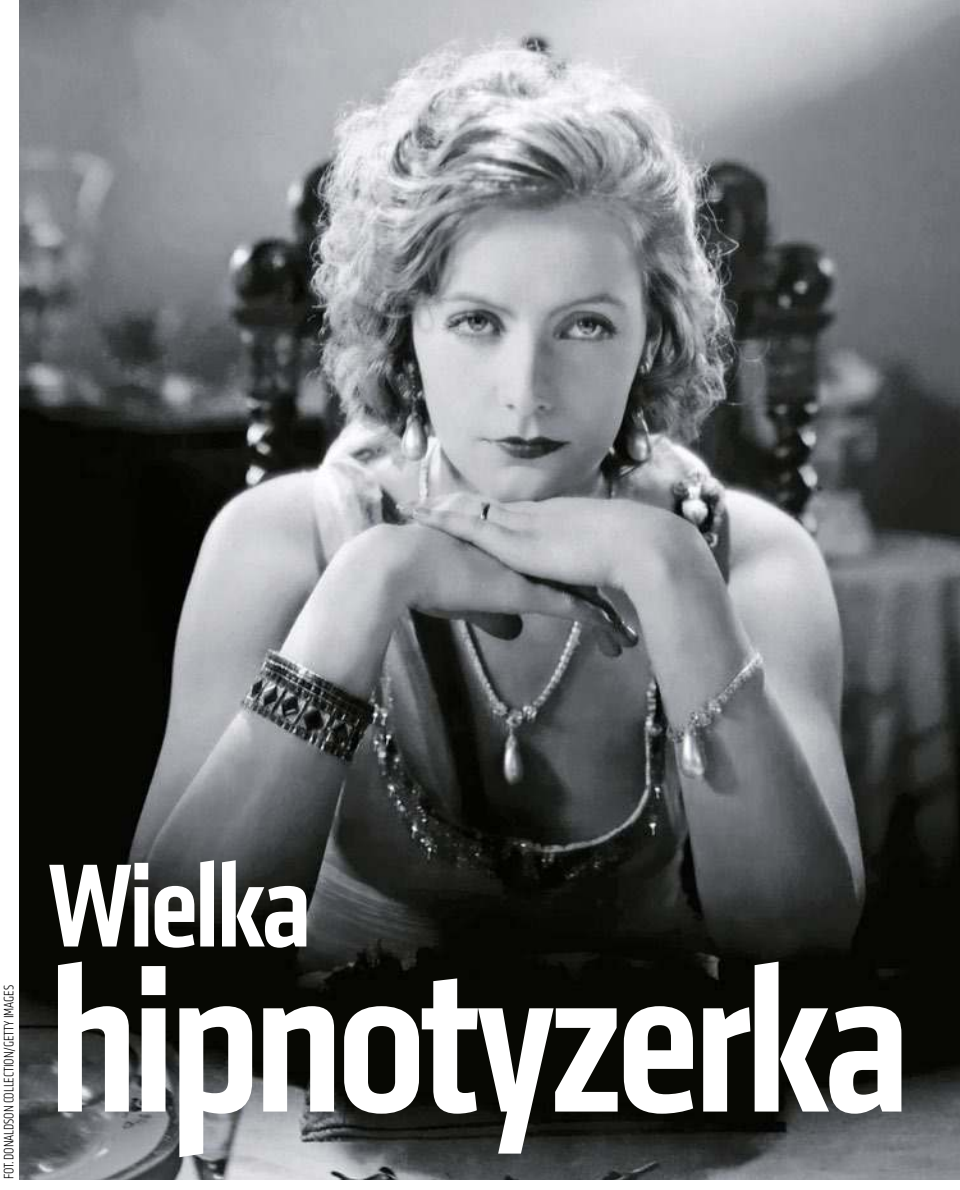

FOT. DONALDSON COLLECTION/GETTY IMAGES

Nie ulega wątpliwości, że dźwigniami kariery „boskiej Garbo" były uroda i niesamowita fotogeniczność. Na temat idealnych rysów twarzy Szwedki wylano morze atramentu. Nazywano ją kobietą sfinksem i Mona Lisą XX w. Kamera kochała Gretę. Wyglądała zjawiskowo nawet w najbardziej idiotycznych scenach. Autor nowej biografii gwiazdy, Robert Gottlieb, przytacza sprzeczne opinie. Jedni dostrzegali w jej oczach melancholię i twierdzili, że nigdy nie zadzierała nosa. Honorowego Oscara trzymała w szafie. Była naturalna, prostoduszna, odporna na blichtr, obojętna na luksusy, praktyczna, punktualna, wysportowana i miła dla każdego.

Na innych czar Garbo jednak nie działał. Uważali ją za sknerę, prostaczkę i nudziarę. Milczącą, gdyż nie miała nic ciekawego do powiedzenia. Oziębłą egoistkę, niezdolną do prawdziwej przyjaźni i miłości. Oprócz aktorskiego dostrzegali u gwiazdy MGM również talent do wykorzystywania ludzi. Mało wydawała, bez skrupułów korzystając z hojności przygodnych znajomych. Zawsze znalazł się ktoś marzący, by choć przez chwilę znaleźć się w blasku jej sławy, gotów ugościć lub zapłacić rachunek.

SEKRET ENIGMY

„Najpiękniejsza kobieta świata" była chodzącym paradoksem. Z natury nieśmiała z dnia na dzień stała się bożyszczem milionów. Choć pozbawiona poczucia humoru, to potrafiła być zabawna. Lubiła dzieci, ale własnych mieć nie chciała. Będąc ikoną mody i uosobieniem stylu glamour, na co dzień ubierała się byle jak, paradując w trampkach, spodniach i zużytych szarych swetrach. Nie przyjmowała do wiadomości, że z chwilą podpisania hollywoodzkiego kontraktu stała się osobą publiczną. Unikała wywiadów i oficjalnych wystąpień. Pożądana przez miliony mężczyzn prywatnie była raczej aseksualna.

Ekranowy wizerunek femme fatale całkowicie przesłonił realną pannę Gustafsson. Ta w kalifornijskiej fabryce snów, do której trafiła, nie mając nawet 20 lat, czuła się jak w więzieniu. Miała problemy z aklimatyzacją. Pisała do koleżanki mieszkającej w Szwecji: „Ameryka jest brzydka, okropna, wszędzie wokół maszyny". Gottlieb uważa, że w nowym otoczeniu kompleksy związane z dorastaniem w biedzie i brakiem wykształcenia uległy spotęgowaniu. Greta od dziecka marzyła o sławie, jednak jej objawy napawały ją przerażeniem. Reakcją na stres było zdziecinnienie. Stała się „rozkapryszona, uparta i potrzebująca opieki".

Ekstrawaganckie stroje, projektowane przez Adriana Greenburga, podkreślały wyjątkowość Garbo. Od nordyckiej Wenus wiało jednak chłodem, unikała okazywania emocji. Brak zaufania do ludzi skutkował obsesją na tle prywatności. Chcąc zachować kontrolę nad swoją karierą, wymusiła zmiany w kontrakcie. Boss MGM, Louis B. Mayer, tolerował samodzielność i dziwactwa największej gwiazdy studia – dopóty, dopóki jej filmy przynosiły zyski. Pozycja i zarobki przybłędy ze Sztokholmu wzbudzały zawiść innych aktorek. Marlene Dietrich kolportowała paskudne plotki z nadzieją, że zaszkodzą rywalce.

ZASTRZELIĆ HITLERA

Dwadzieścia cztery amerykańskie produkcje z udziałem Garbo oglądane

eprasa.pl e2030e6019

dziś nużą i śmieszą, choć to z reguły melodramaty. Próbę czasu najlepiej zniosła komedia „Ninoczka". Tytułowa bohaterka jest fanatyczną komunistką, która po przyjeździe do Paryża zaczyna doceniać uroki zgniłego Zachodu. Zmienność to znak firmowy boskiej Grety. Umiała wyrazić pełną skalę emocji, wznieść się ponad fatalne dialogi i przerabiane po wielokroć scenariusze. Czyniła to w sposób nader powściągliwy, co w epoce rozmiłowanej w gwałtownej, teatralnej ekspresji musiało robić wrażenie piorunujące. Widzowie wpatrywali się w ekran jak zahipnotyzowani, wierząc, że obcują z esencją kobiecości: Ewą, Kleopatrą i Joanną d'Arc.

ROBERT GOTTLIEB „GARBO. NAJBARDZIEJ TAJEMNICZA GWIAZDA HOLLYWOOD" KRAKÓW 2022, TŁUM. MONIKA BUKOWSKA, WYD. ZNAK

Szwedka była aktorką nowoczesną, bo instynktowną. Przymknięte powieki upodobniały ją do lunatyczki. To działało, nie tylko na mężczyzn.

Wytwórnia z rozmysłem kreowała pannę Gustafsson na wampa, lecz ona przewyższyła inne hollywoodzkie kusicielki. Ów z trudem poddający się analizie magnetyzm przesądził o długowieczności legendy. Gdy w roku 1963 włoska telewizja emitowała cykl filmów z Garbo, tamtejsze kina odnotowały gwałtowny spadek frekwencji.

Jak na pustelnicę panna Gustafsson była dość towarzyska. Często widywano ją na hollywoodzkich imprezach. W gronie znajomych czuła się swobodnie: śpiewała i grała na fortepianie. O czasu do czasu odwiedzała ojczysty kraj. Szwecja nie brała udziału w wojnie, lecz gwiazda przezornie ściągnęła rodzinę do Ameryki. Co charakterystyczne, utrzymywała z nią tylko sporadyczne kontakty.

Od polityki Greta trzymała się z daleka, choć wyznała przyjacielowi, że żałuje, iż nie skorzystała z propozycji Hitlera (który był jej wielkim fanem), by go odwiedzić. Mogła przecież zastrzelić Führera z pistoletu schowanego w torebce, bo z pewnością nikt by jej wcześniej nie zrewidował.

ŁOSOSIOWA KOLEKCJA

Kariera Garbo w Hollywood trwała 16 lat. Nie podzieliła losu wielu gwiazd kina niemego, których udźwiękowienie skazało na bezrobocie.

Wybuch wojny zwiastował jednak początek nowej epoki również w show-biznesie. Wytwórnie inwestowały w młode pokolenie. Po niewypale, którym okazała się farsa „Dwulicowa kobieta", Mayer bez żalu pożegnał się z asertywną Szwedką. Miała nakręcić dla MGM jeszcze jeden film (o bohaterskiej sanitariuszce z Leningradu), ale studio zwątpiło w sens tego przedsięwzięcia i kontrakt został za obopólną zgodą rozwiązany.

Swoją drogą, Gretę z reguły obsadzano w rolach cudzoziemek. W amerykańskim debiucie zagrała hiszpańską wieśniaczkę, potem bywała Włoszką, Francuzką, Niemką, Węgierką, Austriaczką, Holenderką i – najczęściej – Rosjanką. Raz wcieliła się w szwedzką królową i w Polkę – panią Walewską (to był jedyny film Garbo, który przyniósł straty). Chciała też wystąpić jako Maria Skłodowska-Curie. Niestety, studio oprotestowało scenariusz napisany przez jej przyjaciółkę.

Długo pozwalała się łudzić fanom, że powróci na ekran. W rzeczywistości 36-letnia aktorka nie miała ochoty starzeć się przed kamerą, więc odrzucała nawet najbardziej kuszące propozycje comebacku. A mogła zagrać m.in. George Sand, św. Teresę z Ávili, carycę Katarzynę, Kirke i Penelopę, Doriana Graya oraz Piotrusia Pana. Kronikarz złotej epoki Hollywood Mark A. Vieira twierdził, że Garbo sparaliżowało „połączenie lenistwa, lęku i narcyzmu".

Jak na ironię zniknięcie bardzo przysłużyło się mitowi „szwedzkiej syreny". Mnożyły się hipotezy o prawdziwych przyczynach rozbratu. Spragnionym nowych wieści o idolce sprzedawano bajki o jej romansach i działalności szpiegowskiej na rzecz aliantów. Śladem Grety nadal podążały chmary reporterów i paparazzich. Ona zaś, niedostępna dla maluczkich, obracała się w gronie VIP-ów. Sława otwierała przed nią wszystkie drzwi. Lato spędzała w domu na Lazurowym Wybrzeżu, miała do dyspozycji apartamenty w Beverly Hills i w Nowym Jorku. Krążyła po świecie, chętnie korzystając z gościny bogaczy. W hotelach przedstawiała się jako Harriet Brown.

W 1951 r. przyznano jej obywatelstwo USA. We wniosku w rubryce zawód napisała: „niepracująca aktorka filmowa". Motywy tej decyzji były czysto praktyczne. Garbo do końca życia czuła się Szwedką. Jako Amerykanka mogła swobodniej inwestować w nieruchomości, papiery wartościowe i dzieła sztuki. Najchętniej wybierała obrazy utrzymane w jej ulubionych kolorach: różowym i łososiowym. Ludziom, którzy zajmowali się jej finansami lub pomagali w zakupach, nie płaciła ani centa, uważając że mieści się to w kategorii przyjacielskiej przysługi. Życie na cudzy koszt zawsze było jej specjalnością. Zostawiła po sobie majątek, wyceniany na ponad 50 mln dol.

SAMOTNOŚĆ NAD EAST RIVER

Nawet będąc na przedwczesnej emeryturze, Garbo pielęgnowała swój wizerunek niedostępnej bogini. Wiedząc, że będzie fotografowana, zakładała kapelusze i wielkie ciemne okulary. Od mężczyzn nie stroniła. Z kompozytorem Leopoldem Stokowskim zwiedzała Italię, widywano ją u boku pisarza Ericha Marii Remarque'a i fotografa Cecila Beatona. Przez ponad 20 lat cieniem Grety był mąż Valentiny Schlee – słynnej projektantki mody ukraińskiego pochodzenia. Obsesja na tle zdrowego stylu życia kazała jej korzystać z usług dietetyka. Trudno uwierzyć, że wszystkie te związki były platoniczne.

Teorie o lesbijskich skłonnościach „najpiękniejszej kobiety świata" raczej należy włożyć między bajki. Gottlieb sugeruje, że interesowały ją wyłącznie takie znajomości, które przynosiły profity. Chcąc znaleźć się blisko Grety, trzeba było przystąpić do zmowy milczenia. Potrafiła zrywać nawet wieloletnie przyjaźnie, gdy ktoś ujawniał jej tajemnice. Ostatnie lata spędziła w całkowitej izolacji w nowojorskim apartamencie z widokiem na East River.

Prochy Garbo pochowano na cmentarzu w Sztokholmie dopiero w 1999 r., dziewięć lat po jej śmierci. Szwedzka telewizja transmitowała pogrzeb na żywo. Spadkobiercy odmówili pomocy gospodyni i opiekunce gwiazdy, która z pewnością pochwaliłaby to skąpstwo. Mniej spodobałoby się jej skomercjalizowanie nazwiska. Pomijając początki kariery, notorycznie odmawiała występów w reklamach, twierdząc, że byłoby to poniżej godności. Aktorki ze Skandynawii próbujące szczęścia po drugiej stronie Atlantyku do dziś muszą się mierzyć z cieniem boskiej Grety.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Zbyt inteligentny, by pisać powieści

FOT. SOPHIE BASSOULS/SYGMA/GETTY IMAGES

Piotr Gociek

„Zawsze miałem problemy, żeby uzasadnić swój podziw dla Borgesa" – mówił Mario Vargas Llosa w roku 1967. Książka „Pół wieku z Borgesem" pokazuje, że problem zniknął

Nawet nobliści się mylą. Miło, gdy potrafią się do tego przyznać. Oto w roku 1967 Mario Vargas Llosa podczas publicznej debaty z Gabrielem García Márquezem nie szczędzi gorzkich słów Borgesowi. Rozmowa dotyczy literatury, ale szybko zamienia się w dialog o polityce, historii i obowiązkach twórcy. Pisarstwo Borgesa określa Márquez mianem „literatury uniku", Llosa mówi: „Zawsze miałem problemy, żeby uzasadnić swój podziw dla Borgesa". Obaj czytają dzieła twórcy „Alefa", lecz wspomniany podziw łączy się z niechęcią i pretensjami. Pada z ust Llosy słowo „kosmopolityczny", które brzmi jak ciężka obelga. Zapis dyskusji znamy z książki „Dwie samotności". Polscy pisarze powinni się z nią zaznajomić, mam nadzieję, że ci, którzy marzą o tworzeniu literatury „uniwersalnej" (przez co rozumieją taką jak najbardziej od Polski i jej historii oderwaną), ze zdumieniem odkryją, jak dwóch przyszłych noblistów ma pretensje do geniusza literatury, że jest za mało argentyński, że za mało w jego pisaniu Ameryki Łacińskiej, a za dużo uniwersalności.

CZŁOWIEK BIBLIOTEKA

Rozmaite są strategie autorskie – Llosa i Márquez domagali się, by pisarz aktywnie zmieniał świat, piętnował społeczną niesprawiedliwość, był sumieniem narodu. Nic nie mogło być dalsze od takiego podejścia niż twórczość Borgesa, zanurzonego w labiryntach bibliotek wspaniałego stylisty bliższego antycznym filozofom. Człowieka, który sam właściwie jest biblioteką. Ale oto minęło kilka dekad i w książce „Pół wieku z Borgesem" Mario Vargas Llosa przyznaje się do błędu. Co prawda, zaznacza: „Niewielu jest pisarzy dalszych niż Borges od profilu twórcy, który uformowały moje demony: powieściopisarza zatrutego rzeczywistością i zafascynowanego historią", ale przyznaje od razu: „Piękno i inteligencja świata, który stworzył, pomogły mi odkryć ograniczenia mojego świata, a doskonałość jego prozy uświadomiła mi niedoskonałości mojej". Centralny punkt książki, na którą składają się teksty rozproszone związane z Borgesem, to esej „Borgesowskie fikcje", który jest jednym z najwspanialszych hołdów, jakie stworzyć może jeden pisarz dla drugiego. I Mario Vargas Llosa nie ma już pretensji do Borgesa, że jego książki nie są zwierciadłem, które obnosi się po gościńcu, tylko przyznaje: „W przypadku Borgesa można zaryzykować stwierdzenie, iż jest on najważniejszym zjawiskiem, jakie przydarzyło się nowożytnej literaturze

eprasa.pl e2030e6019

w języku hiszpańskim, i jednym z najwybitniejszych artystów współczesnych".

Nie znaczy to jednak, że Llosa porzuca swą rolę zaangażowanego społecznika (czy nawet polityka – wspomnijmy, że kandydował kiedyś na prezydenta Peru). Zatem jego pochwały płyną dwutorowo. Z jednej strony docenia elegancję i krystaliczną czystość języka, narzędzia, które Borges opanował do perfekcji, wyjątkowy styl, który czyni perły Borgesa unikatowymi. A jednocześnie wychwala go za to, że swym oderwaniem od „zatrutej rzeczywistości" latynoamerykańskiej wyświadczył jednocześnie jej niezwykłą przysługę. Zaistnienie fenomenu Borgesa i jego światowa popularność oznaczały bowiem „przełamanie pewnego kompleksu niższości, który – w sposób podświadomy, rzecz jasna – blokował w nas podejmowanie pewnych tematów i zamykał w granicach świata prowincjonalnego. Przed nim przechadzki po kulturze powszechnej, rzecz typowa dla Europejczyka czy Amerykanina z USA, wydawały nam się zbyt śmiałe". Znów podkreślał będę i tę cześć wywodów autora „Wojny końca świata". Nie tylko Polska zmaga się ze swoją peryferyjnością i kompleksami niższości.

FORMA SENSACYJNYCH OPOWIASTEK

Niemal jednocześnie z książką Llosy ukazuje się w Polsce wznowienie pierwszej ważnej książki Borgesa, którą był zbiór opowiadań „Powszechna historia nikczemności". Wydana w roku 1935 doczekała się wersji rozszerzonej dwie dekady później. Pisarz był już wówczas wobec swoich wczesnych dokonań bardzo krytyczny: „Są one nieodpowiedzialną rozrywką człowieka nieśmiałego, który nie odważył się na pisanie opowiadań i który zabawiał się fałszowaniem i przeinaczaniem (czasami bez uzasadnienia estetycznego) cudzych historii". Wyrzucał sobie samemu sprzed lat styl nadmiernie barokowy, który „ociera się o własną karykaturę" (wstęp do wydania z 1954 r.). Barok, wedle Borgesa, sam wyczerpuje swoje możliwości, a zainfekowana nim książka jest tylko pozorem, wrzawą, pod którą nic się nie kryje. Ale krytycy nie podzielają surowości autora – nie dalej jak rok później w eseju „Magical Realism in Spanish American Fiction" Angel Flores wskaże właśnie na „Powszechną historię nikczemności" jako na pierwsze dzieło latynoamerykańskiego realizmu magicznego.

Borges ma rację – opowiadania z „Powszechnej historii nikczemności" wydają się bardziej błahe od utworów z „Fikcji" czy „Alefa". Ale jednocześnie nie ma racji, bo esencja Borgesa już w nich jest. Cóż z tego, że zamiast wybrać tak uwielbianą przez siebie czystą, w pełni oryginalną kreację, sięgnął po formę sensacyjnych opowiastek o życiu rozmaitych nikczemników? Nie chodziło mu o prawdę; sam przyznaje, że przekręcał, zmyślał, dopisywał. Sam Borges objaśnia, że „przedstawiane tu życiorysy niegodziwców ukazywały się w sobotnim dodatku pewnej popołudniówki", a w polskich przypisach dopowiedziane zostaje wprost: Borges nadawał opowiadaniom „ostentacyjnie malowniczy rys, łącząc śmiertelną powagę (bez grama moralizatorstwa) z ironią i subtelnym żartem".

Był to chyba pierwszy i ostatni raz, kiedy Borges chciał się czytelnikowi masowemu przypodobać, ale śmiem twierdzić, że swojej wyjątkowości ukryć nie zdołał. Ani grama moralizatorstwa nie znajdziemy przecież także w jego późniejszej twórczości – jest on mędrcem obserwatorem, kronikarzem estetą. W pewnym sensie okaże się lustrem na gościńcu, jednak nie będzie odbijał wrzawy codzienności, lecz istotę ludzkiego losu i kierujących nim paradoksów. Zaczynamy lekturę, jakby rzeczywiście były to opowieści „true crime". Pożyczył sobie Borges bohaterów z prawdziwego życia, pamiętajmy jednak, że ich biografie już zostały przefiltrowane przez innych autorów, czyli pociągnięte warstwą… fikcji. Udając, że destyluje prawdę, dołożył do tego własną imaginację i narracyjne talenty. Zatem to, co pozornie jest kroniką wypadków nikczemnych, w istocie mogłoby też nosić tytuł „Fikcje".

DRZWI DO MAGICZNEGO REALIZMU

Granica nie przebiega pomiędzy wczesnym Borgesem a późnym Borgesem, między realistą a fantastą, między pisarzem barokowym i ascetycznym. Drzwi do magicznego realizmu otwarte zostają w chwili, gdy dokonuje Borges pierwszego aktu kreacji (lub jak kto woli – fantazji). Gdy spojrzymy na sprawę w ten sposób, okaże się, że np. spór o to, czy Borges był mistrzem literatury fantastycznej, nie ma sensu. Każda literatura jest dziełem fantastycznym od momentu, kiedy dokonamy jakiegokolwiek odstępstwa od świata realnego. A potem mamy już do czynienia tylko z różnymi stopniami fantastyczności. Nazbyt jest surowy Borges dla swych wczesnych opowiadań, bo są one przykładem uwielbianych przez niego paradoksów – te opowieści stają się odrealnione, surrealistyczne właśnie przez to, że u ich podstawy leży realność. Pouczające jest także porównanie opowiadań najpóźniejszych, dołączonych już w 1954 r., z tekstami wcześniejszymi. Zmienia się nieco styl, ale nie zmienia się ton. Zmienia się stopień kondensacji tej prozy, ale nie zmienia się skład kondensatu.

Jest więc „Powszechna historia nikczemności" czymś w rodzaju drzwi w murze kryjącym tajemniczy, magiczny ogród, ale drzwi, z których prawdziwego znaczenia nie zdajemy sobie sprawy w chwili, gdy je otwieramy i przekraczamy. To, co po drugiej stronie muru, wydaje się takie samo, ale już takie nie jest. „Zbyt inteligentny / by pisać powieści / zwielokrotnił się w opowiadaniach / niezwykłych / doskonałych, cerebralnych / i zimnych jak okręgi" – pisze Mario Vargas Llosa w wierszu „Borges, czyli dom zabawek", otwierającym jego książkę. „Dokumentował cudze nikczemności / do kobiecego pisma / a potem został klasykiem / (nieśmiertelnym, genialnym)" – pokpiwa noblista, składając zarazem hołd. Uważna lektura „Powszechnej historii nikczemności" pokaże, że choć te pierwsze kroki bywały niepewne, to były jednak krokami na właściwej drodze. Wyjątkowej drodze – nikt prócz Borgesa nią nie chadzał i nikt inny chadzał nie będzie.

★★★★★☆
JORGE LUIS BORGES „POWSZECHNA HISTORIA NIKCZEMNOŚCI"
PIW 2023

★★★★☆☆
MARIO VARGAS LLOSA „PÓŁ WIEKU Z BORGESEM"
ZNAK 2023

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Projekt Robert

Domowe taśmy wideo zawsze wzruszą. O, tu ta choinka, która zawsze stała w dużym pokoju. Tu koszulka, która się potem szybko podarła. A tu Robercik, jeszcze mały i chudy. A tu zapomniany prezent. Oczywisty szantaż emocjonalny bywa przedstawiany jako dochodzenie do prawdy, publika żądna jest obrazów zza kulis życia ludzi znanych i podziwianych. Wzór, wedle którego uszyto dokument „Lewandowski. Nieznany", jest więc oczywisty. Od pierwszych kopnięć futbolówki z rocznikiem o dwa lata starszym, przez Lecha, Borussię, Bayern, do wielkiej Barcelony. Są bliscy, są koledzy, są dawni trenerzy i nawet fani czasem się wypowiadają. Proszę mnie nie zrozumieć źle: to jest ważna opowieść. Brakuje nam takich opowieści, opowieści o sukcesie. O ludziach, którzy z przeciętności wydobyli się uporem, talentem, pracowitością i jeszcze mieli szczęście w postaci dobrej rodziny.

A jednocześnie wszystko to jest po prostu wielkim marketingowym klipem, gładkim i eleganckim jak oświadczenie doświadczonej agencji PR, jak drobiazgowo przygotowane o Robercie hasło w Wikipedii (po samym stylu pisania widać, że nie dzieło internautów, tylko zawodowców). Na chwilę cień prawdziwej emocji widzimy, gdy Lewandowski opowiada o zbyt wcześnie utraconym ojcu, wątek trenera Kloppa jako ojca zastępczego jest arcyciekawy, ale nie pociągnięty. Bo film „Lewandowski. Nieznany" nie stoi na tej samej półce, co rewelacyjne dokumenty o Maradonie czy Pele. Jest to raczej manifest piłkarza i jego otoczenia: „Patrzcie, co macie, a nie doceniacie". Którą to pretensję zresztą rozumiem i zgadzam się w pełni ze słowami Thierry'ego Henry'ego, który wytyka fanom, że nie doceniają skali talentu Lewego. Łatwo wskoczyć na top na momencik. Ale być tam rok po roku, ponad dekadę? To już osiągnięcie godne arcymistrza.

Jednocześnie rację miał Zbigniew Boniek, gdy po premierze dokumentu mówił, że film byłby lepszy, gdyby powstał po zakończeniu kariery Roberta. Brakuje w nim domknięcia, podsumowania, głębszej refleksji, bo przygoda wciąż trwa. Mnie uderzyła inna rzecz: w półtoragodzinnym filmie ani razu nie mówi Lewy o tym, że kocha piłkę, że nie potrafi bez tego żyć. Jakby tylko realizował projekt „sukces". Lewandowski pozostaje równie skryty i wycofany jak w dzieciństwie, choć mięśni i pieniędzy ma więcej. Może dlatego częściej jest podziwiany niż kochany. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. MACIEJ KOWALCZUK
„LEWANDOWSKI. NIEZNANY"
POLSKA 2023

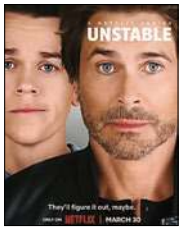

NOWE SERIALE: „NIESTABILNY"

Rob Lowe, idol nastolatek z lat 80., powraca jako narcystyczny bogacz z branży bio-tech, który przeżywa ciężkie chwile po śmierci żony. Z ratunkiem śpieszy jego dorosły, ale mocno wycofany i nienawykły do światowego życia syn, którego zresztą gra prawdziwy syn Lowe'a – John Owen Lowe. Nowy sitcom Netflixa zabiera nas na znajome wody tzw. workplace comedy. Widzieliśmy już niejednego bogatego ekscentryka na ekranie, reszta zależy od tego, czy ujmie nas charyzma aktorów, bo scenariusz jest na trójkę z plusem. ***Piotr Gociek***

- *sezon 1* ***„Niestabilny"****, USA 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 5* ***„Wspaniała pani Maisel" („The Marvelous Mrs. Maisel")****, USA 2023* — prime video
- *miniseria* ***„Florida Man"****, USA 2023*
- *sezon 1* ***„Grease: Rise of the Pink Ladies"****, USA 2023* — sky SHOWTIME

eprasa.pl e2030e6019

Dni radia

player

Zmierzamy prostą drogą do pajdokracji, ale nie trzeba się bać, ponieważ wynikną z tego same dobre rzeczy. Kto wątpi, niech obejrzy najnowszy film Mike'a Millsa. Gwiazdor kina arthousowego udowadnia, że dzieci myślą swobodnie, dorośli są zaś więźniami przesądów, kompleksów i odgrywanych ról społecznych. Główny bohater, dziennikarz radiowy z Nowego Jorku, jeździ od miasta do miasta, by zadawać nieletnim podchwytliwe pytania typu: „Jak sobie wyobrażasz przyszłość?" i „Czego chciałbyś nauczyć swoich rodziców?". Owa zbożna misja zostaje zakłócona, gdy przychodzi mu zaopiekować się siostrzeńcem z Kalifornii. Jesse, nad wyraz rezolutny dziewięciolatek, potrafi być irytujący. Odmawia udziału w ankiecie. Ba, przechodząc do kontrofensywy, sam indaguje wujka, nie pomijając najbardziej drażliwych kwestii. Jak łatwo się domyślić, codzienne zmagania z rozwydrzonym dzieciakiem ożywczo wpływają na introwertycznego, zmęczonego życiem radiowca. Greta Thunberg lubi to! Dydaktycznej treści towarzyszy adekwatna forma. Czarno-biała Ameryka ma zdecydowanie więcej wdzięku niż kolorowa. Chcąc czerpać satysfakcję z obcowania ze slow movie, trzeba jednak odnaleźć w sobie pokłady prostoduszności lub przynajmniej stoicyzmu. Wtedy przełkniemy każdy banał. W przeciwnym wypadku seans będzie zwykłą stratą czasu. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. MIKE MILLS
„C'MON C'MON"
USA 2021

wyst. Joaquin Phoenix, Woody Norman, Gaby Hoffmann

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZOBACZYĆ PARYŻ I...

KINO

Zabili go czy uciekł? Teoria, że parzyste edycje „Johna Wicka" są słabsze, znalazła przewrotne potwierdzenie. Mamy do czynienia z imponującą maskirowką. Balet śmierci stał się 169-minutową operą, w której mgławicowość fabuły idzie w zawody z jej odrealnieniem. Gdzie te czasy, gdy tytułowego bohatera napędzała zwykła chęć ukarania winnych zgonu ukochanego czworonoga? Dziś Baba-Jaga wojuje z całym przestępczym światem, doskonaląc się w sztuce survivalu. Twórcy cyklu popadli zaś w skrajny snobizm, cytując Dantego tudzież ustawiając kamery w miejscach, które wielbiciele „Lawrence'a z Arabii" i komedii romantycznych znają na pamięć. O natrętnym eksponowaniu obrazów Delacroix i Caravaggia nawet nie wspomnę. Wszystko to jednak furda, bo w czwartej odsłonie „Johna Wicka", podobnie jak w ostatnim „Mad Maxie" ważne jest tylko zawrotne tempo. Były kaskader odkrył kamień filozoficzny kina akcji. ©℗

★★★★☆☆
REŻ. CHAD STAHELSKI
„JOHN WICK 4" („JOHN WICK: CHAPTER 4")
USA 2023

wyst. Keanu Reeves, Donnie Yen, Bill Skarsgård

FAŁSZ I NOSTALGIA

YouTube

Sto lat temu urodził się Jerzy Passendorfer, reżyser „Janosika" i „Zamachu". Niestety, na co dzień uprawiał kino wojenno-propagandowe, wysnute z załganej prozy Czeszki i Żukrowskiego. „Powrót" powstał na podstawie powieści pomyślanej jako epilog „Kolumbów". Po 15 latach były powstaniec, obecnie emigrant, wpada z wizytą do Warszawy. Szuka ulic, których już nie ma. Kamera z dumą eksponuje nowe dzielnice. Film nakręcony gwoli napiętnowania tych, którzy „wybrali wolność" na Zachodzie, zamiast podnosić kraj z ruin, mimowolnie ociera się o życiową prawdę. Nie dlatego, że odtwórcy głównych ról – Łapicki i Janicka – brali udział w powstaniu. „Powrót" pokazuje zmierzch pokolenia, które w kwiecie wieku z bohaterstwa nawróciło się na konformizm. Mało kto uwił sobie w PRL wygodniejsze gniazdko niż autor scenariusza Roman Bratny. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
JERZY PASSENDORFER
„POWRÓT"
POLSKA 1960

wyst. Andrzej Łapicki, Alina Janowska, Józef Nowak

GRA TYGODNIA: „WWE 2K23"

Król wrestlingu powraca i jest w życiowej formie. Na solidnym fundamencie udanej zeszłorocznej edycji zbudowano grę, która daje nadzieję, że seria na licencji najpopularniejszej wrestlingowej światowej organizacji World Wrestling Entertainment zmierza w dobrym kierunku. Prawdziwi zawodnicy (Nie interesujesz się? Nie szkodzi. Dla takich jak my jest Hulk Hogan. Któż nie zna?) wyglądają dobrze jak nigdy. Bogactwo trybów od sandboksowego Universe przez Showcase, gdzie w roli głównej jest John Cena, aż do menedżerskich wyzwań. I więcej. ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *Sportowe*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, PC*
- ***Producent, dystrybutor PL:*** *Visual Concepts/2K Games; Cenega*

eprasa.pl e2030e6019

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

„Odpominanie” Zofii Romanowiczowej

PRL-owski cenzor, dopuszczając „Przejście przez Morze Czerwone” do druku w 1961 r., wyraził nadzieję, że ponieważ rzecz jest „napisana w sposób trudny […], przeciętny czytelnik nie zorientuje się, o co autorce powieści chodzi”. Dopowiedzieć można, że gdyby Zofia Romanowiczowa pisała w sposób bardziej „łopatologiczny”, o publikacji książki nie mogłoby być mowy. W końcu autorka była znaną postacią emigracji, fragmenty „Przejścia przez Morze Czerwone” drukowała „Kultura”, a książka swój pierwodruk miała rok wcześniej w paryskiej Libelli. Co więcej, zdążyły ją nagrodzić londyńskie „Wiadomości” i Radio Wolna Europa. Ale, jako się rzekło, cenzor uznał powieść za „trudną”, z ulgą stwierdził także, że Zofia Romanowiczowa nie podjęła w niej „żadnej problematyki społeczno-politycznej”, w szczególności nie dokonując „analizy i ocen współczesnej społeczno-politycznej rzeczywistości”. Bo też w pisarstwie interesowało ją zupełnie co innego.

Właściwie całą jej twórczość zdominowała tematyka obozowa. Miała osiemnaście lat, gdy – jeszcze jako Zofię Górską – aresztowało ją gestapo w Radomiu. Była łączniczką Związku Walki Zbrojnej i cudem uniknęła śmierci, ale wysłano ją do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, z adnotacją „powrót niepożądany”. Po trwającym 1,1 tys. dni obozowym koszmarze przedostała się do Turyngii znajdującej się w amerykańskiej strefie okupacyjnej, skąd trafiła do Włoch, gdzie zaopiekował się nią Melchior Wańkowicz, który wyleczył ją, nakarmił, ubrał, poznał z wieloma ciekawymi ludźmi, m.in. z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, a wreszcie sprezentował jej maszynę do pisania, patronując debiutowi literackiemu przyszłej autorki „Przejścia przez Morze Czerwone”. Debiutem tym było opowiadanie „Tomuś” wydrukowane w „Orle Białym”, piśmie 2. Korpusu.

Swoje relacje ze sławnym pisarzem i reporterem, którego była sekretarką w trakcie pisania przez niego pierwszego tomu „Bitwy o Monte Cassino”, przedstawiła po latach w książce „Sono felice”. Temat ten rozwinęła również Aleksandra Ziółkowska-Boehm w eseju „Powroty Zofii Romanowiczowej”.

Po zdaniu matury we Włoszech młoda adeptka sztuki pisarskiej chciała się uczyć dalej i po nielegalnym przekroczeniu granicy podjęła studia romanistyczne, a właściwie prowansalistyczne na paryskiej Sorbonie. W 1948 r. wyszła za mąż za Kazimierza Romanowicza, który zorganizował i prowadził polską księgarnię w Paryżu, na Wyspie Świętego Ludwika. Już w duecie prowadzili i księgarnię, i wydawnictwo Libella, i galerię Lambert. Zasługi Romanowiczów (oboje zmarli w 2010 r.) dla kultury polskiej są ogromne.

„Przejście przez Morze Czerwone” miało kilka przekładów; powieść dobrze przyjęto we Francji i w Niemczech, niezauważona została w USA i Izraelu. Historia konfliktu dwóch byłych więźniarek, z których jedna swoim powojennym życiem przeczy dawnym ideałom, druga zaś nie potrafi wyzwolić się z obozowej rzeczywistości, wznosi się ponad standardy przykładane do tego rodzaju literatury. W parze z treścią idzie tu forma; autorka niewątpliwie ulegała wpływom francuskiego nouveau roman, a stylistką była jeśli nie wyborną, to z pewnością interesującą. Do tego dochodzi wprawdzie delikatnie sugerowany, ale wyraźny wątek homoerotyczny, w czasie powstawania powieści więcej niż rzadki.

Jest jeszcze kilka tytułów Zofii Romanowiczowej wartych przypomnienia, choćby „Groby Napoleona” z 1972 r., w których pisarka podjęła, raczej wyjątkową dla siebie, próbę wyjścia z kręgu więzienno-obozowego. Niemniej monotematyczność tej prozy nie jest mankamentem. Anna Jamrozek-Sowa w dołączonym do obecnego wydania „Przejścia przez Morze Czerwone” szkicu „Za murami” pisze m.in.: „Literaturoznawcy i dziennikarze niejednokrotnie zadawali Romanowiczowej pytanie o sens nieustannego literackiego przetwarzania doświadczeń obozowych. Sugerowali, że ciągłe »odpominanie« ogranicza rozwój, więzi piszącego w klatce traumatycznych doświadczeń. Romanowiczowa niezmiennie podważała ten tok myślenia. Jej riposty były utrzymane w żartobliwym tonie i zarazem kategoryczne. Do Renaty Gorczyńskiej powiedziała: »[…] Kochanie, niech pani żałuje – gdyby pani przeszła obóz, byłaby pani innym człowiekiem, pod warunkiem że znalazłaby się pani w dobrym towarzystwie«”. ©℗

★★★★☆☆

ZOFIA ROMANOWICZOWA „PRZEJŚCIE PRZEZ MORZE CZERWONE” PIW, WARSZAWA 2023

eprasa.pl e2030e6019

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wszystko o Alicji

Bohater powieści Alana Sasinowskiego ma pecha, ale na pecha trzeba sobie zasłużyć. Z tylu ciekawych kobiet na świecie musiał trafić akurat na Alicję, osobniczkę ze skłonnością do przemocy, uszytą z popkulturowych odniesień socjopatkę. Jednakże nikt go nie zmuszał. Wydarzyło się to, co jest plagą współczesnych czasów: zostali parą, bo tak jakoś wyszło, bo było wygodnie. Kiedy odmawiamy brania odpowiedzialności za swoje życie, kiedy nie dokonujemy świadomych wyborów, wtedy nie miejmy pretensji, że unik i wygodnictwo skończyć się mogą źle.

Alicji poświęca autor osobną część opowieści i jest to jeden z najbardziej przerażających portretów psychopaty, które znajdziemy w literaturze polskiej ostatnich lat, bez podziału na mainstream i powieści gatunkowe. Nakreślenie takiego portretu nie było łatwym zadaniem, ale Sasinowski spisał się świetnie, nie wpadł ani w uproszczenia, ani w tandetność horroru. Choćby dla tych stron warto przeczytać „Chłopca w ogniu". Odczytuję ten tytuł jako szyderstwo – żaden wielki ogień w naszym bohaterze nie buzuje, czego dowodzą zresztą dzieje jego kolejnego związku. Kiedy w jego życiu pojawi się następna sympatia (wkrótce i żona), nie stanie się to w wyniku ani wybuchu miłości nie do odparcia, ani jakiegoś przemyślanego wyboru. Chłopiec bez właściwości nie potrafi lepić swojego życia, za to sam staje się gliną, którą lepi ktoś inny. To też nie może skończyć się dobrze.

Wątki Alicji i Heleny okażą się połączone ze sobą, choć w sposób bardzo zaskakujący i nieoczywisty. Swoją medytację o relacjach damsko-męskich ubrał bowiem Sasinowski w kostium nie tyle thrillera (co sugeruje notka na okładce), ile kryminału. Piotra poznajemy w chwili, gdy ma usłyszeć poważne zarzuty i szykuje się do ciężkiej sądowej batalii. Czym zawinił? To pytanie kluczowe dla całej książki, odpowiedź zaś nie ma nic wspólnego z paragrafami. Bo to nie kryminał, tylko ponury obraz współczesnej intymności.

„Chłopiec w ogniu" to dobra książka, ale mogła być bardzo dobra. Zabrakło moim zdaniem osobnej części, która przybliżyłaby nam Helenę równie wnikliwie jak Alicję. Tłumaczenia o opowieści „kunsztownie zamkniętej", a zarazem „z premedytacją urwanej" (notka Andrzeja Skrendy) nie kupuję. Widzę w takiej konstrukcji jednak unik. A przecież jak ciąć, to do kości. ©℗

★★★★☆☆
ALAN SASINOWSKI „CHŁOPIEC W OGNIU" PIW 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Panorama naszej epoki szkicowana w odcinkach publikowanych co tydzień w prasie – znany pisarz i filozof o czasach postprawdy, nihilizmu przebranego w Realpolitik i memento mori lat pandemii.

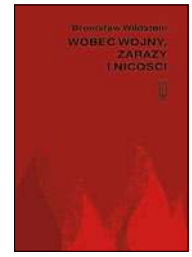

BRONISŁAW WILDSTEIN „WOBEC WOJNY, ZARAZY I NICOŚCI" PIW

Potrzebna obrona Sienkiewicza, niepotrzebna – Tokarczuk, nieszablonowo o Pilchu. Można nie zgadzać się z prof. Koziołkiem, ale warto czytać, bo to zbiór esejów z czystej miłości do literatury.

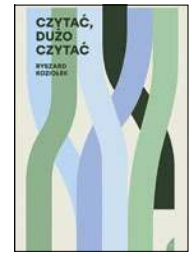

RYSZARD KOZIOŁEK „CZYTAĆ, DUŻO CZYTAĆ" WYDAWNICTWO CZARNE

Mniej znana i ceniona powieść noblisty lepiej zniosła próbę czasu niż niektóre jego opowieści macho. Może dlatego, że poczucie niespełnienia to jeden z wielkich tematów XXI w. Nowy przekład.

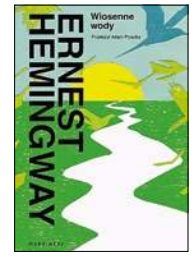

ERNEST HEMINGWAY „WIOSENNE WODY" MARGINESY

Od szczęśliwego użytkownika, przez cyfrowego bliźniaka, do kontrolowanego przez algorytmy niewolnika i transhumanizmu. Zmarły niedawno prof. AKSiM w Toruniu łączył refleksje fizyka i kognitywisty.

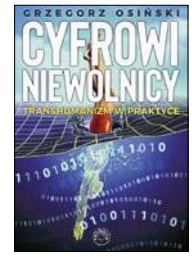

GRZEGORZ OSIŃSKI „CYFROWI NIEWOLNICY" WYDAWNICTWO PROHIBITA

KOMIKS TYGODNIA: „PUSTYNNE SKORPIONY"

Polskie tropy w twórczości włoskiego mistrza komiksu – jeden z tomów serii „Corto Maltese" inspirowany był książką Ossendowskiego o Ungernie, teraz możemy poznać pięć tomów (wydanie zbiorcze) przygód polskiego oficera walczącego przeciw Niemcom i Włochom w Afryce. Porucznik Koinsky służy w brytyjskim oddziale Long Range Desert Group i odznacza się i pomyślunkiem, i straceńczą odwagą. Całość uzupełnia esej Umberta Rossiego.

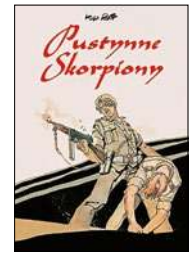

HUGO PRATT „PUSTYNNE SKORPIONY" EGMONT 2023

eprasa.pl e2030e6019

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Warszawa zgruzowstała

Warszawa powstała z gruzów. W tym stwierdzeniu nie ma cienia przesady. Nie ma metafory. Po drugiej wojnie światowej Warszawę pokrywało ponad 22 mln m sześc. gruzu. Kolejne 4,5 mln m sześc. w ruinach do wyburzenia. Spróbujmy to sobie zwizualizować. Do wywiezienia takiej ilości gruzu trzeba by załadować do pełna 2 mln wagonów – podawał Eugeniusz Olszewski w pierwszym numerze „Skarpy Warszawskiej". Inżynier Kazimierz Kamiński przeliczał: „Wywiezienie gruzu z Warszawy wymaga przez 10 lat 20-tu pociągów dziennie po 500 ton gruzu każdy". Kazimierz Tyszka podawał w 1948 r., że „ciężar gruzów zalegających miasta Polski stanowi równowartość 3,5-letniego wydobycia węgla".

FOT. ALFRED FUNKIEWICZ/MUZEUM WARSZAWY

To wokół gruzu skonstruowana jest narracja wystawy „Zgruzowstanie Warszawy 1945–1949". Gruzu, który stał się materiałem budowlanym. Nie tylko do podnoszenia miasta z ruin. Gruz z Warszawy posłużył np. do uregulowania Wisły na odcinku 361 km – od Puław do Torunia. ©℗

GDZIE? *Muzeum Warszawy*
KIEDY? *do 3 września*

FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

JAPOŃSKA STYLISTYKA

Pierwsza w Polsce autorska wystawa jednego z najbardziej uznanych na świecie japońskich projektantów – Kenya Hary. Trzon wystawy stanowią wybrane przez artystę plakaty i książki. „W niemal wszystkich pracach autor przywiązuje ogromną wagę do tradycji kulturowej swojego kraju, którą umiejętnie transponuje na nowoczesny język plakatu i inne dziedziny projektowania" – podkreśla kurator wystawy. ©℗

GDZIE? *Muzeum Narodowe w Poznaniu*
KIEDY? *do 30 lipca*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Natchniona nostalgia

W 2020 r. Amerykanin Bruce Lampcov postanowił serią koncertów uczcić 50. rocznicę ukazania się albumu „Bitches Brew" Milesa Davisa. Pandemia uniemożliwiła występy, ale za to do studia nagraniowego trafił 12-osobowy kolektyw jazzmanów z południowego Londynu.

W studiu zagościły wibracje z Karaibów, Afryki Zachodniej i Południowej oraz Indii. Martin Terefe, szwedzki producent nagrodzony Grammy, nie tyle chciał nagrać nowy „Bitches Brew", ile odtworzyć proces twórczy, dzięki któremu Miles wydobył nieprawdopodobną kreatywność ze swoich współpracowników. Londyńczycy wychodzili w improwizacjach od prostych pomysłów, jak tempo, groove czy schemat akordów. Fundamentami dla poszczególnych kompozycji były sample i pętle z oryginalnych nagrań sporządzone przez Benjiego B. Dodatkowo Terefe zmienił skład instrumentalny zespołu. Dodał skrzypce (Raven Bush), trąbkę Milesa zastąpił dwoma saksofonami tenorowymi (Nubya Garcia i Shabaka Hutchings), a rolę klarnetu basowego Benniego Moupina przejęła tuba Theona Crossa. Natomiast ciężkie, zniekształcone riffy gitarowe Dave'a Okumu tną z równą intensywnością, co pół wieku temu Johna McLaughlina.

Otrzymaliśmy natchniony album. „London Brew" jest cudownie eklektyczny, pięknie zrealizowany i pobudza wyobraźnię. ©℗

★★★★★★
LONDON BREW
„LONDON BREW"
CONCORD JAZZ

★★★★★☆
PINK FLOYD
„LIVE AT WEMBLEY 1974"
PINK FLOYD

Z okazji 50. urodzin „Ciemnej strony Księżyca" pojawił się luksusowy, potwornie drogi boks. Oddzielnie ukazał się w przystępnej cenie album koncertowy. Wykonanie „na żywo" z 1974 r. nie dorównuje studyjnemu, ale magia dzieła pozostała. Gratka dla fanów.

★★★★☆☆
THE WHO
„LIVE AT WEMBLEY"
GEFFEN

Zespół The Who jest od 55 lat światową instytucją. W czerwcu grupa rusza na europejskie tournée wraz z 57-osobową orkiestrą. Album zawiera zapis koncertu symfonicznego sprzed czterech lat. Rozbudowane aranżacje naprawdę robią wrażenie.

eprasa.pl e2030e6019

Telewizyjny kadłubek

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Masłoń

Świat się zmienił, ale obyczaje telewizyjne niekoniecznie

W czasach coraz częściej uznawanych za prehistoryczne telewizja na święta szykowała, co tylko miała najlepszego, a co w praktyce okazywało się wybranymi filmami amerykańskimi, jak również przedwojennymi polskimi produkcjami, nie bez słuszności uznawanymi za wyjątkowo atrakcyjne dla telewidzów przez okrągły rok katowanych przodującymi dziełami kinematografii rzekomo zaprzyjaźnionych z nami państw, ze Związkiem Sowieckim na czele. W świątecznym telekinie obrazów Mosfilmu na szczęście nie było.

Telewizyjni decydenci z tamtych lat głównie jednak zajmowali się tym, by przekonać odbiorców o świeckim charakterze dni przez oświecone kręgi społeczeństwa nazywane dziś Spring Holidays, co nie udawało się nigdy. Pod tym względem zresztą większe możliwości dawały święta zimowe, kiedy to usiłowano przebić tradycyjne kolędowanie popisami bigbitowców wyśpiewujących pastorałki jakoby w prostej linii wywodzące się z rodzimego folkloru, z religią, a już zwłaszcza religią rzymskokatolicką, niemające nic wspólnego. Pieśni rezurekcyjne do podobnego liftingu zupełnie się nie nadawały.

Od tamtego czasu świat się zmienił, ale obyczaje telewizyjne niekoniecznie. Ponieważ, chcąc nie chcąc, zaakceptowana została religijność wolnych od pracy dni wiosennych, stosowny akcent znaleźć się musiał nawet w ofercie ze wszech miar postępowego TVN, który wprawdzie Wielki Piątek uczcił wyświetleniem po raz tysięczny „Harry'ego Pottera", ale już w Wielką Sobotę zaserwował widzom „Boże Ciało". Na oko to niby inne święta, ale grunt, że bohater nosi sutannę, a że księdzem nie jest, bo udaje tylko duchownego, to i nie ma się o co spierać.

Polsat, co boskie, Bogu oddał w postaci wielkopiątkowej „Pasji", prawdziwe mocne uderzenie szykując na lany poniedziałek, świętując stulecie powstania wytwórni filmowej Walta Disneya. W przygotowanym na tę okoliczność koncercie głos dali nasi zasłużeni piewcy, a to m.in.: Kayah, Cleo, Szpak czy Górniak, która mimochodem wyznała, że postać Pocahontas, z którą zżyła się dzięki disnejowskiej animacji, „niesie piękne przesłanie, wartości i wiedzę o otaczającym świecie" i że z indiańską księżniczką połączyła ją „miłość od pierwszego spotkania". I, oczywiście, przedstawiła nową wersję „Kolorowego wiatru", szczęśliwie wciąż z tymi samymi frapującymi pytaniami: „Czy wiesz, czemu wilk tak wyje w księżycową noc? I czemu ryś tak zęby szczerzy rad?".

Telewizja publiczna pod względem koncertowym spisała się należycie, pieśniami wielkopostnymi wykonywanymi w klasztorze na Świętym Krzyżu ubogacając program w Wielki Piątek, później jednak skupiła się raczej na filmach takich jak nieśmiertelny „Pan Wołodyjowski", „Ben Hur" (z roku 2016, a nie – jak można się było spodziewać – z 1959), a jeśli ktoś już przy wielkanocnym śniadaniu włączył telewizor, to dodatkowo zaliczył western „Vera Cruz" z 1954 r.!

Z jednej strony dopieszcza się telewidza w wieku 70+, z drugiej jednak trudno nie dostrzec błyskawicznie postępującej infantylizacji programowej, i to wszystkich telewizyjnych anten. W TVP dziatwa już nie tylko poddawana bywa ocenom dorosłych w takim np. „The Voice Kids", lecz także sama zamienia się w jurorów, jak w świątecznym wydaniu „Szansy na sukces", w którym wyrokowała o tym, czy lepszy jest Krzysztof Janczar czy raczej Tomasz Stockinger, a może i inni ulubieńcy mas.

W TVN od pewnego czasu rządzą nastolatki, nominalnie kasą – jak głosi tytuł rozrywkowego (?) programu, ale sądząc po innych świątecznych propozycjach z ulicy Wiertniczej – bodaj wszystkim, co tam się dzieje. Gdy w Polsacie ledwie kończyła się projekcja „Stuarta Malutkiego", to zaczynały się TVN-owskie „Trolle 2", po „Piotrusiu Króliku 2" mieliśmy „Shreka Trzeciego" itd. Jedno jednak trzeba przyznać: przez dwa dni tegorocznych Spring Holidays można było odpocząć od Polsatowych „Trudnych spraw" i „Dlaczego ja" oraz od TVN-owskich „Sekretów życia" i „Ukrytej prawdy". Ale już „Rolnika szukającego żony" Jedynka nie pożałowała sobie. Bo niby świąteczna telewizja inna jest od tej codziennej, prezenterzy są wyelegantowani i jeszcze bardziej zadowoleni z siebie i swoich dowcipów, od baranków, kurczaczków i zajączków roi się na ekranie, kiedy się jednak człowiek przypatrzy, to okazuje się, że ten zajączek bez nóżek jest, bez rączek, zwyczajny kadłubek bez żadnych ozdóbek. A jak nawet ta ostatnia przydarzy się, to może lepiej, by jej nie było. ©℗

eprasa.pl e2030e6019

Z prof. Bohdanem Cywińskim, badaczem kultur politycznych krajów Europy Wschodniej
rozmawia Piotr Semka

Szańce kultur nadal płoną

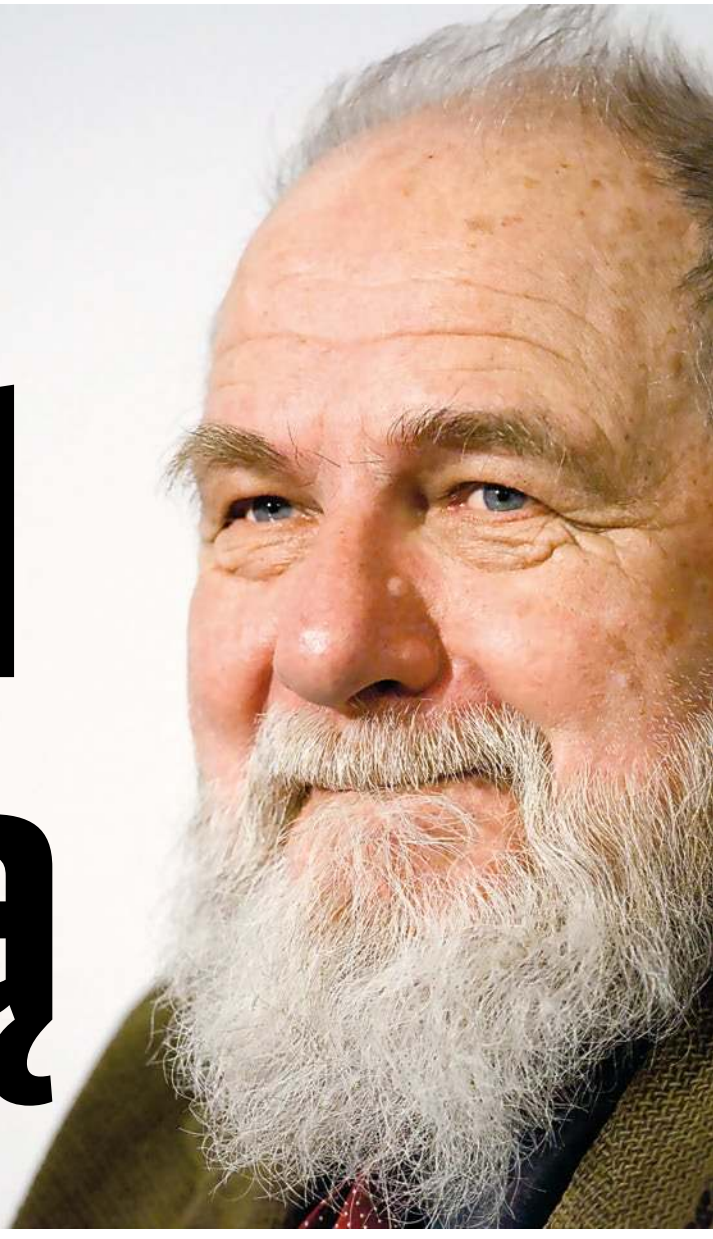

PIOTR SEMKA: Panie profesorze, zacznę od fragmentu z pana książki z 2017 r. „Szańce kultur". „Tożsamość narodowa Ukrainy stanowi dla Rosjan zagadnienie pierwszorzędne. Rozumienie i przeżywanie ukraińskości określają to, czym jest Rosja, i zwłaszcza to, czym nie jest. Idzie o dziedzictwo Rusi Kijowskiej". Przyznają się do niego obie kultury: rosyjska i ukraińska. Mam wrażenie, że to trochę przypomina spór, który toczą od wieków wyznawcy wielu religii o Jerozolimę. Coś, co jest pięknym symbolem zanurzonym głęboko w historii i co każdy chciałby mieć na wyłączność, a ponieważ nie da się tego podzielić, to dochodzi do krwawych konfliktów. Czy ten spór stał u zarania obecnej wojny ukraińsko-rosyjskiej?

PROF. BOHDAN CYWIŃSKI: Myślę, że nie tylko jest początkiem tej obecnej wojny rosyjsko-ukraińskiej, lecz także jest elementem całej historii nowożytnej rosyjsko-ukraińskich kontaktów. Od XVII w. co najmniej, a może jeszcze i od XVI w., Rosjanie ciągle niepokoją się, czy nie zaistnieje Ukraina. Bo Ukrainy ma nie być. I tutaj te kilkaset lat ma zupełnie inną historię polityczną, bo począwszy od połowy XVII w., Ukraina popada w ruinę, a potem przestaje istnieć jako byt polityczny. A przecież jeszcze w XVII i do połowy XVIII w. kulturowo Ukraina jest bardzo silna. Od połowy XVIII w. i już bardzo efektywnie w XIX w. Rosjanie niszczyli odrębność ukraińską w sposób jak na tamtą epokę bardzo staranny.

I to jest też okres, kiedy Ukraina traci iluś swoich geniuszy na rzecz kultury rosyjskiej, bo i Gogol przyjmuje ten płaszcz rosyjski, i Szostakowicz, i Czajkowski. Są to ludzie, którzy wybrali rosyjskość i odeszli od ukraińskości jako czegoś lokalnego, mniej wartościowego.

To jest kwestia, praktycznie rzecz biorąc, przede wszystkim językowa. W połowie XVIII w. następowała ukrainizacja Rosji. W Petersburgu, który się wtedy budował, i w Moskwie, i we wszystkich

eprasa.pl e2030e6019

FOT. KAROL SEREWIS/EAST NEWS

ośrodkach intelektualnych rosyjskich, była moda na ukraińskość i uczono się języka ukraińskiego. Gdzieś od połowy XVIII w. sytuacja się zmienia.

Ukraiński zaczyna być uważany za język pospolity, nienadający się do wyrażania w nim wyższych uczuć?

Tak. I to jest aż śmieszne. Z punktu widzenia naukowego można patrzeć na to jako na wyjątkowo dziwną reakcję intelektualną Rosjan, którzy tej ukraińskiej mowy zaczynają nienawidzić. I to trwa w gruncie rzeczy do dziś. Jeżeli widzimy takie posunięcia jak wychwytywanie dzieci, wywożenie ich do Rosji i bronienie im rozmawiania między sobą po ukraińsku, to przecież to jest dokładnie to samo, tylko na dalszym, lepszym, precyzyjniej wycelowanym etapie działania. Ciąg dalszy dogmatu, że Ukrainy ma nie być. I to jest właśnie to, od czego zaczęliśmy rozmowę. Ukraina jest dla Rosji niezwykle ważnym problemem.

Ale gdyby z nami siedzieli tutaj przedstawiciele np. takiej typowej galicyjskiej emigracji ukraińskiej starszego pokolenia, to powiedzieliby pewnie, że w państwie polskim, w Koronie Polskiej – przy zdawałoby się o wiele mniej brutalnej polityce – ta ukraińskość z kolei rozpłynęła się w kulturze polskiej. Stanisław Szeptycki, brat władyki świętojerskiego Andrzeja Szeptyckiego, był polskim generałem i uważał się za Polaka. Ukraińcy mogliby powiedzieć tak jak Litwini: „Wy się do nas uśmiechaliście, ale te wasze uśmiechy spowodowały, że ukraiński cukier rozpuszczał się w polskiej herbacie".

Tak. Właśnie. Uśmiechanie się jest metodą przybliżania mniejszości narodowej, kulturowej, językowej, wyznaniowej do jakiejś większości. I tak bywa zawsze. Ale rosyjska polityka wobec mniejszości – od Finów do Gruzinów – była inna. Nie przybliżanie się, tylko tępienie. I jak to zwykle bywa, jest to skuteczne na samej górze elit kultury i życia publicznego i zupełnie nieskuteczne na niższych kulturowo partiach. Był taki jakiś Polak, może pan pamięta, który powiedział, że naród jest jak lawa…

Adam Mickiewicz…

Niemożliwe, wie pan? Więc właśnie: „Wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi".

Czy sugeruje pan, że te elity Księstwa Halickiego wchłonęła polskość, ale została ta lawa w postaci kozaczyzny?

Inaczej bym to widział. Księstwo Halickie najpierw się zhungaryzowało. Węgrzy byli tam pierwsi. Polacy byli dopiero drugą wersją europejskiego Zachodu, który się tam pojawił, ale wersją dużo silniejszą i dużo skuteczniejszą.

No i bliższą językowo.

Bliższą językowo, oczywiście, i bardziej wkraczającą na tamte terytorium. Węgrów. Ale Madziarów było niewielu i byli na mniejszym terytorium.

Mniejszym? Państwo węgierskie docierało do słonecznego Adriatyku, podbiło Bośnię.

Tak, to parcie na południe u Węgrów było widoczne. Ale podbijanie terenów na północ od Zakarpacia było chyba dla nich mniej atrakcyjne. O wiele atrakcyjniejsze było podbijanie Chorwacji, Bośni czy kolonizowanie Siedmiogrodu. Natomiast Kozacy to zupełnie inny problem. Kozacy to najaktywniejsze jednostki najpierw w środowisku chłopskim, ukraińskim w XVI w. To byli ludzie bardzo często nie z samej Ukrainy z dziada pradziada, ale np. z Polski.

No ale stworzyli coś, co można nazwać pragenezą odnowy tożsamości Rusi Kijowskiej.

Tak, ale momencik. Żeby rozumieć tożsamość Kozaków, moim zdaniem trzeba sobie zdać sprawę z tego, że ta ludność uciekała przed polskim poddaństwem.

W połowie XVIII w. następowała ukrainizacja Rosji. We wszystkich ośrodkach intelektualnych rosyjskich była moda na ukraińskość i uczono się języka ukraińskiego

Przed polskim systemem feudalnym – powiedziałby jakiś marksista.

Otóż to, i tutaj miałby dużo racji. Uciekali przed feudalnym poddaństwem.

Dokładnie mówiąc, przed wynaturzeniami w poddaństwie.

Było tych wynaturzeń dużo. Uciekały przed poddaństwem na Ukrainę i wędrowały ku Morzu Czarnemu kolejne fale ludności wschodniej. A najgroźniejszym zagrożeniem w tym rejonie byli Tatarzy krymscy. Stanowili wielki problem dla ludności chłopskiej, która potrzebowała ochrony, obrony.

Czyli wyłonili się tacy protektorzy, trochę tak jak czasami w miastach gangsterzy mówią, że ochronią sklepik, ale trzeba płacić, tak?

W sumie tak. Byli to ludzie najsilniejsi, najoperatywniejsi, najbardziej pewni

eprasa.pl e2030e6019

siebie. Wsiadali na konika i chronili swoje otoczenie lokalne. Od tego zaczęła się kozaczczyzna. Jest XVI w. Z polskiego punktu widzenia istotne jest, że jest to ludność ostro, zdecydowanie prawosławna.

I dlatego nie udało się włączenie elit kozackich w obręb szeroko rozumianej struktury szlacheckiej Rzeczypospolitej?

Myślę, że w ogromnym stopniu to było najważniejsze. Z tym że trzeba sobie zdawać sprawę, że to jest prawosławie, które przyszło z Bułgarii, z Serbii poprzez Wołoszczyznę. Czyli nie rosyjskie.

Ale dlaczego Kozak rejestrowy potrafił zrywać pęta podległości królowi polskiemu, a potem po przejęciu Ukrainy przez Rosję Kozacy pod władzą carską bardzo posłusznie zdobywali Syberię, Kubań, Kaukaz i rzadko występowali przeciwko tej władzy rosyjskiej? Dlaczego ta Polska władza była zrzucana z kozaczyzny jak popręg przez konia, który ciągle ma w sobie narywy stepowe?

Myślę, że zadziałało tu prawosławie. Oczywiście nie sama wiara, nie sama organizacja Cerkwi, ale wytworzona wokół tej wiary i tej organizacji cerkiewnej pewna kultura, pewien sposób przeżywania świata. I jesteśmy wtedy paręset lat po rozłamie między łacinnikami a ortodoksami. I ta obcość jest już bardzo silnie utrwalona. Ma poza tym socjalne podłoże, ponieważ kariera, a zatem awans socjalny i kulturowy, zachęca do łacińskości, natomiast lud prosty siedzi przy swojej Cerkiewce lokalnej.

No dobrze, ale wydawało się, że tacy ludzie jak wojewoda Adam Kisiel czy hetman Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny mogli być prawosławni, a jednocześnie być szanowanymi politykami i dowódcami armii, która przychodziła w sukurs w Rzeczypospolitej w momentach kryzysów.

Cóż. O Kisielu to, przynajmniej ja, wiem tyle, ile mi opowiadał niejaki Sienkiewicz. I tam sienkiewiczowski Kisiel mówi, że zachowuje wiarę prawosławną i wobec państwa polskiego jest lojalny.

No właśnie.

Ale wypominają mu to i jedni, i drudzy. A Polacy kręcą nosem, że to prawosławny.

Gdyby takich jak Kisiel było więcej i byliby silniejsi, to wyrąbaliby sobie przestrzeń szacunku i akceptacji zarówno u jednych, jak i drugich?

Awans socjalny i kulturowy zachęca do łacińskości, natomiast lud prosty siedzi przy swojej Cerkiewce lokalnej

Problem w tym, że nie było ich tak wielu. Że zdecydowana większość kozaczyzny postanowiła bronić prawosławia na Ukrainie. A tego prawosławia trzeba było bronić, bo przyszła Unia.

Dlaczego Unia się nie udała?

Unia się nie udała na Ukrainie, którą nazywano potem Ukrainą lewobrzeżną. W wypadku Lwowszczyzny unia wydała wspaniałą elitę ukraińską.

Nie tylko tam...

Tak, wydała także ciekawą elitę w Wielkim Księstwie Litewskim. Jak się patrzy na białoruską część Wielkiego Księstwa Litewskiego, to tam widać i bardzo ciekawe postacie, i żywotność unii. Siedemdziesiąt procent prawosławnej ludności Wielkiego Księstwa Litewskiego przyjęło unię. Prawosławnych, którzy odrzucili unię, było ok. 20 proc.

I Rosjanie po rozbiorach udowodnili, że to jest proces, który można cofnąć. Kościół greckokatolicki na terenie Białorusi już po pierwszej wojnie światowej próbował jakiegoś odrodzenia, ale zgromadził kilka procent ludności Białorusi. I to spowodowało, że białoruskie elity były słabsze od galicyjskich elit ukraińskich, których liderami bardzo często byli kapłani wywodzący się z ludu. Tak jak na Litwie, gdzie z kolei księża z ludu wzięli w swoje ręce zadanie odrodzenia narodowego. Na Litwie się udało, na Ukrainie się udało, na Białorusi się nie udało.

Tak.

A jak wyglądało odrodzenie ukraińskie na terytoriach, na których nie było Unii? Gdzie ukraińskość skupiała się nie na odrębności religijnej, ale na odrębności etnicznej, językowej.

To bardzo trudne pytanie, przynajmniej ja nie umiem na nie odpowiedzieć do końca. Dziewiętnastowieczne odrodzenie ludowej wersji ukraińskości nastąpiło na Lewobrzeżu.

Taras Szewczenko był przykładem takiej ukraińskości ludowej.

Lewobrzeże z jednej strony, z drugiej strony politewski Wołyń. Pamiętajmy, że Wołyń to nie było Królestwo Polskie. To było Wielkie Księstwo Litewskie. I tam też ukraińska kultura jakoś była obecna, natomiast zupełnie nie widać było ukraińskiej kultury na Podolu.

Dlaczego?

Nie wiem. Pytałem o to dyrektora biblioteki uniwersyteckiej w Żytomierzu, a ściślej mówiąc – pytałem go o literaturę XIX-wieczną ukraińską na tamtym terenie. I okazało się, że ukraińskiej literatury tam tak naprawdę nie było. Jeżeli była literatura, to była to literatura polskojęzyczna.

Józef Korzeniowski, czyli Joseph Conrad na przykład. Był wytworem Podola ukraińskiego, prawda?

Tak. A potem próbowałem to sprawdzić, bo mi się wydało, że może on widząc, że rozmawia z Polakiem, chciał powiedzieć coś miłego dla mnie. Wziąłem podręcznik historii literatury ukraińskiej sprzed 10 lat, może 15, w każdym razie już długo po 1990 r., no i tam miałem może 12 sylwetek wielkich ludzi XIX-wiecznej literatury ukraińskiej. Dziewięciu z nich, z tej dziesiątki, to byli ludzie z Lewobrzeża, czyli ze wschodniej Ukrainy. Zza Dniepru.

No dobrze. A jak doszło do wskrzeszenia ukraińskości u schyłku pierwszej wojny światowej? Tu sprzęgły się dwa wektory. Po pierwsze, wybuchły aspiracje narodowe Ukraińców galicyjskich skierowane przeciwko Polsce, ale i w Kijowie pojawiły się elity na tyle silne, aby stworzyć Ukraińską Radę Narodową. To pokazuje chyba siłę witalizmu ukraińskiego poczucia narodowego.

Tak, tak. Kijowszczyzna, sam Kijów, od połowy XVII w. była pod władzą rosyjską. Tam występował problem rosyjsko-ukraiński i właśnie Kijów walczył z rusyfikacją.

Kijów ukraiński?

Tak.

Bo był Kijów polski, prawda?

Był Kijów polski, owszem, i zresztą oba te światy bardzo sobie nie wadziły. Przed pierwszą wojną światową w Kijowie nie było antagonizmu polsko-ukraińskiego.

eprasa.pl e2030e6019

Bo obie nacje były naciskane przez Rosję?

Oczywiście. I w Kijowie zresztą powstało, najciekawsze moim zdaniem w historii politycznej myśli ukraińskiej, środowisko, mianowicie Bractwo Cyryla i Metodego. To są wczesne lata 40. XIX w.

Na czym polegała jego waga?

To byli mesjaniści, ale mesjaniści ukraińscy. Główną osobą tam był historyk, pisarz i etnograf Mykoła Kostomarow. Zapatrzony w Mickiewicza i w mesjanizm Mickiewiczowski, sam jednak stworzył coś innego. Głosił mesjanizm skupiony nie na tej męce, która była i która jeszcze trwała, ale na przyszłym zmartwychwstaniu. Nie na podłożu narodowym ukraińskim, ale na podłożu braterstwa wszystkich narodów cierpiących pod Imperium Rosyjskim.

No dobrze, ale znowu gdyby siedział z nami Ukrainiec galicyjski, powiedziałby, że Kostomarow mógł sobie nie zauważać antagonizmu polsko-ukraińskiego, ale oni żyli we Lwowie. Mieście, w którym bardzo często mówiono, że nie ma żadnych Ukraińców, są tylko Rusini, wierni synowie Rzeczypospolitej. Ci Galicjanie ukraińscy powiedzieliby panu, że we Lwowie nie dałoby się uniknąć antagonizmu polsko-rosyjskiego. I ten antagonizm wybuchł w nocy z 31 października na 1 listopada 1918 r.

Tak.

To było nie do uniknięcia?

Myślę, że chyba było nie do uniknięcia. To znaczy, żeby to nie nastąpiło, powinny zadziałać siły nie tylko polska i ukraińska, lecz także nieco wcześniej zaborcza władza austriacka.

No ale Austria szykowała dla Ukraińców „Wasyla Wyszywanego", czyli Wilhelma Habsburga, który miał w nadziejach cesarskich urzędników stworzyć lojalną, kolejną część imperium austro-węgierskiego w postaci Ukrainy pod wodzą króla Wasyla I.

No ale wyszło z tego niewiele, czyli tyle, co z kilku innych wielkich idei austriackich.

Ale z tej idei zostali oficerowie strzelców siczowych, którzy potem stworzyli Ukraińską Organizację Wojskową. A potem z tego nurtu wyłoniło się już bardzo dzikie kłącze w postaci UPA nasycone bardzo agresywnym i toksycznym nacjonalizmem.

Niestety tak.

Jak dzisiaj widzi pan pojednanie polsko-ukraińskie po tej dziwnej przemianie, która nastąpiła w ciągu ostatniego roku? Gdybym np. zadał panu pytanie 10 lat temu, czy w razie ostrego konfliktu rosyjsko-ukraińskiego na Ukrainie w Polsce przeważać będą nastroje pewnego dystansu wynikającego z pamięci o tragedii wołyńskiej czy też życzliwość i zdolność do wzniesienia się ponad tragedie z lat drugiej wojny światowej, to nie wiem, czy pan by przewidział, że tak gładko przyjdzie absorpcja paru milionów uchodźców.

Oczywiście, że tego nie powiedziałbym. Co najwyżej byłbym umiarkowanym optymistą. Osiem lat temu wydałem króciutką książeczkę na ten temat.

„Myśląc o Ukrainie" się nazywała.

Tak jest. To, co się zdarzyło w polskiej świadomości, w ciągu ostatniego roku przerosło moje wyobrażenia wielokrotnie. Pięcio-, może dziesięciokrotnie. To zdumiewające, że w tak znacznym stopniu potrafiliśmy co najmniej odłożyć sprawy niezałatwionych rachunków między naszymi narodami na czas, kiedy nie będzie nikomu z nas groziła żadna siła imperium rosyjskiego.

Czyli coś jak Krzyżacy, którzy pojednali Polaków z Litwinami, mimo że Litwini wcześniej najeżdżali Polskie Królestwo przez chyba dobre sto lat. Ale jak pojawili się Krzyżacy, to wszyscy stwierdzili, że jednak są rzeczy ważne i ważniejsze.

Tak. I zainteresowało się tym mnóstwo ludzi z Mazowsza. Mazowszanie tworzyli elity w małych ośrodkach miejskich Wielkiego Księstwa Litewskiego.

No dobrze. Ale są pesymiści, którzy mówią, że, owszem, teraz Rosjanie nas zjednoczyli, ale potem ten demon, który skłócał Polaków, który Ukraińców zrażał do polskości, który wykreował wizerunek fałszywego „Lacha" – niby uśmiechającego się, a tak naprawdę chcącego odebrać Ukraińcowi tożsamość – może w końcu wrócić.

Może.

Ukraińcom nie należy mówić, że to oni mają przystąpić do istniejącej Europy, tylko trzeba im mówić, że mają razem z nami budować nową Europę

Co robić, aby ten demon nie wrócił?

Co innego muszą w tym kierunku robić Ukraińcy, co innego Polacy. Ukraińcy powinni uwierzyć, że ta Europa Środkowo-Wschodnia, która w tej chwili, w ciągu tego roku, bardzo wyraźnie się zarysowała od Skandynawii aż do Gruzji, to jest jakiś nowy podmiot polityczny i – nie lubię słów za mocnych, ale nie widzę, jak ich uniknąć – to podmiot duchowy, z którym warto się zjednoczyć w sensie duchowym. Że to jest siła, która może zahamować imperium moskiewskie i jednocześnie pokazać naszą odrębność Zachodowi. Specyficzną tożsamość naszej części kontynentu. Trzeba pamiętać, że Ukraińcy mają bardzo mocne powody, żeby Zachodowi nie wierzyć. I z pierwszej wojny światowej, i z wojny lat 1919–1920 z bolszewikami, i ze wsparcia zachodniego dla „białego" generała Antona Denikina. Zachód wolał wtedy mieć za partnera Rosję niż te małe, słabo określone, słabo zauważane z zachodu narody i narodki środkowo-wschodniej Europy. I oni na tym przerżnęli.

A jaka jest praca domowa Polaków do odrobienia w relacji z Ukraińcami?

Umiar. Umiar i odrzucenie stereotypu Ukraińca jako męża dzikiego, uzbrojonego w noże. Ukrainiec ma dla nas, w naszej tradycji, obraz bardzo sienkiewiczowski, a nasz ukochany pisarz – przy wszystkich jego wielkich zasługach – istoty ukraińskości nie rozumiał.

Dlaczego nie rozumiał?

W jego postrzeganiu Ukraińcy w większości byli „religionis nullius", jak pisze. Żadnej religii. A przecież jeszcze przed wojną 1648 r. i następnymi Kozacy zaporoscy występowali do Cerkwi prawosławnej jako jej protektorzy militarni i obrońcy prawosławia przed Unią. Jeśli się tego nie widzi, to się bardzo mało rozumie jakiekolwiek racje ukraińskie z tamtej epoki.

I jeszcze jedna rzecz: Ukraińcom nie należy z polskiej strony mówić, że to oni mają przystąpić do istniejącej Europy, tylko trzeba im mówić, że mają razem z nami budować nową Europę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Dariusz Wieromiejczyk

Od pierwszej wojny do trzeciej

Wybuch pierwszej wojny światowej jedni nazywają samobójstwem Europy, inni czynami lunatyków lub „szaloną" katastrofą. Czy nie to samo grozi nam w obecnym konflikcie?

Pierwsza wojna światowa wybuchła niespodziewanie, po okresie długiego, przerywanego jedynie konfliktami lokalnymi, pokoju w Europie. Poprzedzała ją epoka niezwykłych odkryć naukowych i gwałtownych zmian w stylu życia ludności Europy – nazywana dziś rewolucją przemysłową. Jednocześnie miał miejsce bezprecedensowy wzrost zamożności i długości życia mieszkańców Starego Kontynentu. Podobieństw z naszymi czasami jest w wypadku okresu sprzed wielkiej wojny tak dużo, że usprawiedliwione wydaje się postawienie pytania: Czego możemy się z dziejów tego konfliktu nauczyć?

Dla klarowności wywodu refleksje swoje przyporządkowałem kilku generalnym zasadom, których znaczenie postaram się pokrótce uzasadnić.

JEŚLI MOŻESZ OPÓŹNIĆ WEJŚCIE DO WOJNY, TO NIE WCHODŹ DO NIEJ WCALE

W większości ludzkich konfliktów daje się zauważyć klarowny podział na strony zwycięską i pokonaną. Ta pierwsza na stoczonej walce zyskuje – druga traci. W pierwszej wojnie światowej katastrofa – taka bądź inna – spotkała wszystkie potęgi, które weszły do wojny w jej początkowej fazie. Austro-Węgry się rozpadły. Rosja przeżyła krwawą rewolucję społeczną, ponosząc ogromne straty ludzkie, terytorialne i gospodarcze. Podobny los spotkał Cesarstwo Niemieckie. Francja, wykrwawiona i zdemoralizowana, wkroczyła na drogę prowadzącą do utraty statusu imperialnego, a wreszcie następnej klęski – ucieleśnionej w obrazie państwa Vichy. Wielka Brytania, poza utratą całego pokolenia młodych mężczyzn, oddała pozycję dominującego światowego mocarstwa, musiała się pogodzić z oderwaniem

eprasa.pl e2030e6019

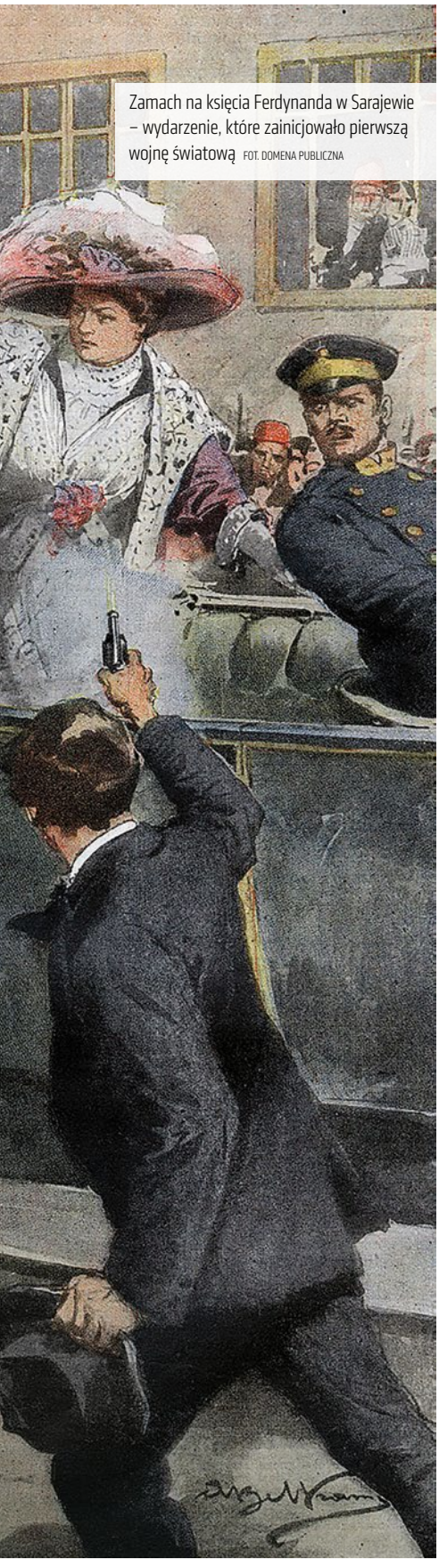

Zamach na księcia Ferdynanda w Sarajewie – wydarzenie, które zainicjowało pierwszą wojnę światową FOT. DOMENA PUBLICZNA

Irlandii i stopniowym rozkładem swojego imperium kolonialnego.

Jedynym w gronie mocarstw zwycięzcą wielkiej wojny okazały się Stany Zjednoczone. Zawdzięczały to przystąpieniu do wojny bardzo późno – dopiero w kwietniu roku 1917, wcześniej ograniczając się do nadzwyczaj intratnego handlu z walczącą Europą. Masowy udział amerykańskich żołnierzy w krwawej jatce rozpoczął się jeszcze później – latem roku 1918 r. Moment był znakomity – do zawieszenia broni pozostało już wtedy ledwie kilka miesięcy.

Żaden z małych krajów europejskich nie dokonał jednak wcześniej podobnej sztuki. Na rzucenie się w ogień nie było dobrego momentu. Włochy, których przystąpienie do walki nastąpiło dopiero w maju roku 1915, wyszły na tej decyzji fatalnie. Jej polityczny sprawca, minister Sidney Sonnino, miał odwagę przyznawać po latach, że Włochy mogły stanąć po każdej ze stron, a ostateczny wybór spowodowany był „korzystniejszą" ofertą ententy. Ta zaoferowała Włochom liczne terytoria należące do Austro-Węgier – bez oglądania się na kwestie narodowościowe czy wolę mieszkańców tych ziem. Po wojnie większość obietnic została złamana, powodując poczucie klęski w wyniszczonym wojną kraju. Pół miliona zabitych Włochów i ponad milion rannych i okaleczonych żołnierzy było już w oczach współczesnych ofiarą niezrozumiałą i daremną. Warto dodać, że armia włoska przystąpiła do konfliktu nieprzygotowana i poniosła w nim serię spektakularnych klęsk. Politycy, którzy wprowadzili Włochy do wojny – Sidney Sonnino i Antonio Salandra – uchodzą w zgodnej opinii potomnych za jedne z najciemniejszych postaci w XX-wiecznej historii Włoch.

Nie lepiej oceniła historia polityków rumuńskich, którzy skuszeni obietnicami ententy i zmyleni początkowymi sukcesami rosyjskiej ofensywy Brusiłowa wciągnęli do walki Rumunię w sierpniu roku 1916. Skończyło się to spektakularną klęską armii, okupacją całego kraju i cierpieniami ludności cywilnej. Podobna historia miała miejsce w Bułgarii, która dla odmiany opowiedziała się po stronie państw centralnych. Tu także miraże zysków terytorialnych i ambicje żonglujących podniosłymi frazesami polityków przyniosły narodową katastrofę i bankructwo elity politycznej. W każdym z tych państw udziału w światowej rzezi można było, przy znacznej dozie dyplomatycznej zręczności, uniknąć. Do wojny parli jednak kuszeni przez obce potęgi politycy, nierzadko kierując się przy tym najzupełniej prywatnym rachunkiem interesów.

WOJNĘ NALEŻY KOŃCZYĆ Z MOŻLIWIE NIENARUSZONYMI SIŁAMI WŁASNYMI, ZARÓWNO MILITARNYMI, JAK I GOSPODARCZYMI

Tylko własny, zachowany pomimo konfliktu, potencjał militarny i gospodarczy państw uczestniczących w wielkiej wojnie był czynnikiem decydującym o kształtowaniu powojennego ładu. Nawet najszczodrzej obdarowane obietnicami państwa zwycięskiej ententy zatrzymały z wojennych łupów tyle tylko, ile własnymi siłami zdołały zagarnąć, przełknąć i strawić. Przyrzeczenia dane Grecji kosztem pokonanej Turcji warte były nie więcej, niż mogła zawojować i obronić grecka armia.

Deklaracje składane Włochom w przededniu ich przystąpienia do walki już po kilku latach kwitował Lloyd George w brytyjskim parlamencie słowami: „Alianci obiecali Włochom olbrzymie tereny ekspansji. Daliśmy im? Cóż daliśmy? Włosi dobrze zdają sobie z tego sprawę". O fantastycznych zyskach obiecywanych jeszcze naiwniejszym partnerom, takim jak Arabowie, nie ma nawet co wspominać. Pamięć tak widowiskowego wystrychnięcia na dudka do dziś żywa jest w licznych krajach Bliskiego Wschodu.

Przykładami małych państw, które przynajmniej na mapie „dobrze wyszły" na pierwszej wojnie światowej, wydawać się mogą Rumunia i Serbia. Jest to jednak złudzenie. Oba kraje zostały w czasie wojny pobite, okupowane i zrujnowane przez przeciwników. Ich pokonane armie zmuszono do odwrotu na terytoria sąsiadów. Serbia straciła w wielkiej wojnie blisko 30 proc. wszystkich mieszkańców, straty wśród mężczyzn szacuje się na ponad 50 proc. Przy takiej rzezi nazwanie Serbii zwycięzcą wojennym zakrawa na okrutny żart. Żadne zyski terytorialne i „prestiżowe" nie zrekompensowały tym społeczeństwom gospodarczej ruiny i śmierci tak wielkiej części obywateli.

SOJUSZE SĄ ZMIENIANE PRZEZ WOJUJĄCE PAŃSTWA, NIEKIEDY NIESPODZIEWANIE DLA SĄSIADÓW

W trakcie pierwszej wojny światowej nawet jej najważniejsi uczestnicy brali

eprasa.pl e2030e6019

pod uwagę oferty składane przez obie strony konfliktu. Przystąpienie Włoch do wojny po stronie ententy było wynikiem wiarołomnych targów i kalkulacji, w trakcie których obie strony proponowały Włochom rozliczne terytoria – także te, należące do własnych (nie zawsze poinformowanych o tym fakcie) sojuszników.

Także Turcja była przed przystąpieniem do wojny obiektem dyplomatycznego przetargu – o dość zaskakującym dla wyznawców „polityki wartości" przebiegu. Jednym z powodów, dla których Rosja poczuła się egzystencjalnie zagrożona w ostatnich latach pokoju, był zakup przez Turcję w Wielkiej Brytanii dwóch supernowoczesnych, jak na tamte czasy, pancerników. Miały one dotrzeć do Turcji latem 1914 r., całkowicie zmieniając, na niekorzyść Rosji, bilans sił na Morzu Czarnym. Przez Morze Czarne i cieśniny tureckie przechodziła większość rosyjskiego eksportu. Ciekawe, że takiego „jeża w spodnie" wrzuciła Rosji, z chęci zysku, jej przyszła sojuszniczka – Wielka Brytania, która dopiero po wybuchu konfliktu zarekwirowała oba okręty.

Sama zaś Rosja, planując długo przed wojną dywersyjne działania wymierzone w Turcję, wspierała dostawami pieniędzy i broni zarówno tureckich Ormian („prawosławnych braci"), jak i muzułmańskich Kurdów. Zwolennikami wykorzystania jako sojuszników tych ostatnich byli dowódcy wojskowi stacjonujących na Kaukazie wojsk, uważający Kurdów za ludzi bardziej sposobnych do wojaczki. Dopiero interwencja rosyjskich dyplomatów, którym sojusz z Kurdami kłócił się zasadniczo z planami rozbioru Turcji i zajęcia cieśnin tureckich z wymarzonym Stambułem, „Carogrodem", przesądziła sprawę. Rozbiór Turcji miał być oczywiście przedstawiony opinii publicznej jako wyzwolenie uciskanych prawosławnych z rąk muzułmańskich ciemiężców.

Pozostałe państwa, jak wspomniana Rumunia, również flirtowały z obiema stronami konfliktu. Rumunia, po długim konkursie ofert, weszła do wojny po stronie ententy, potem zaś, pokonana, dołączyła do państw centralnych. Biorąc pod uwagę powojenne nabytki terytorialne, polityka ta mogłaby nawet uchodzić za udaną. Rumunia uzyskała po wojnie zarówno węgierski Siedmiogród, którym kusiła ją ententa, jak i rosyjską Besarabię – obiecywaną przez państwa centralne.

Nazywając rzecz po imieniu, o wyborze stron walki decydowały krótkowzroczne kalkulacje i zmienne, nieoczywiste interesy. Carska Rosja walczyła ramię w ramię z republikańską Francją i krajem, który przed dekadą zapoczątkował upadek imperium Romanowów – Japonią. Śmiertelny do niedawna rywal w geopolitycznej „Wielkiej Grze" – Anglia – ku zaskoczeniu wszystkich też został sojusznikiem Rosji. Jaka była w tym gronie wspólnota wyznawanych wartości?

W TRAKCIE WOJNY SZYBKO ZMIENIAJĄ SIĘ CELE WALCZĄCYCH PAŃSTW I KOALICJI

Fundamentalne różnice interesów zderzały się często nawet wewnątrz wojujących koalicji – rosyjska przewaga wpływów w rejonie Konstantynopola i cieśnin tureckich uzgodniona została (w zakulisowych negocjacjach) dopiero w roku 1916, po ewakuacji Anglików z Gallipoli i długotrwałych, zaciętych sporach Rosji z jej „aliantami".

Plany zwaśnionych potęg ulegały znamiennej eskalacji – apetyty ich rosły w miarę ponoszonych strat. Im bardziej wyniszczona była populacja walczącej Francji, Rosji czy Niemiec, tym brutalniejsze i bardziej zachłanne były cele ich elit. Przypominało to zachowanie przegrywających w kasynie hazardzistów – im większy „kapitał krwi" zostawiali w okopach rządzący, tym wyższe brali kredyty dla podniesienia stawki. W obliczu zdziesiątkowanych armii i zrujnowanych finansów powrót do stanu rzeczy sprzed wojny był już dla polityków niemożliwy, czego nie można chyba powiedzieć o żołnierzach. Zastanawiające, że w „zmilitaryzowanych" i „rządzonych pałką" Niemczech rozstrzelano w czasie wojny, z powodu dezercji i nieposłuszeństwa, 48 żołnierzy, liberalna monarchia brytyjska uśmierciła wyrokami sądów 346 swoich obrońców (przy znacznie mniejszej armii), republikańscy Francuzi zaś, według oficjalnych, zaniżonych statystyk, rozstrzelali ponad 600 odmawiających walki żołnierzy. Bunty w armii francuskiej objęły w roku 1917 niemal połowę jednostek, dane o egzekucjach zaś ukrywano przed opinią publiczną.

Podsumowując powyższe rozważania, dochodzimy do wniosków prostych, wręcz zdroworozsądkowych. Przypominają one odkrycie, że lepiej jest być zdrowym niż chorym, a bogatym łatwiej się żyje niż biednym. Jeśli część moich czytelników uzna je za wyważanie otwartych drzwi, to sprawi mi to tylko satysfakcję.

Obawiam się jednak, że dla licznych polskich polityków i publicystów przedstawione przeze mnie refleksje mogą być dalece nieoczywiste. Mam tu na myśli posłanki, fotografujące się w czołgu z podpisem „Na Moskwę", wysokich oficerów kreślących na łamach prasy brukowej sposoby powojennego zagospodarowania okręgu kaliningradzkiego oraz dziennikarzy, świętujących z powodu przekazania sąsiadowi jak największej ilości artylerii, czołgów i samolotów.

Liczę się z tym, że opis wielkiej wojny jako konfliktu toczonego w imię przyziemnych, szybko zmieniających się interesów światowych imperiów może wydać się jednostronny. Nie ma w nim miejsca na przywoływane przez propagandzistów i polityków „moralne" i „cywilizacyjne" wartości. W rzeczywistych kalkulacjach walczących stron nie odgrywały one większej roli.

Z początku ważne były krótkowzroczne gabinetowe rozgrywki, gromko wyrażane ambicje wojskowych, interesy przemysłowców i finansistów. Po pierwszym milionie poległych rządzący uciekali już tylko przed odpowiedzialnością, dopisując szlachetnie brzmiące uzasadnienia dla decyzji, z których obawa przed gniewem poddanych nie pozwalała się wycofać. Decyzje te były podejmowane na podstawie błędnych analiz oraz złego rozpoznania zarówno interesów własnych, jak i intencji strony przeciwnej. Nic dziwnego, że wybuch pierwszej wojny światowej jedni nazywają samobójstwem Europy, inni czynami lunatyków lub „szaloną" katastrofą. Było w tym kataklizmie miejsce na ludzkie cierpienie, poświęcenie i odwagę. Nie sposób się w nim jednak doszukać ani jasno zdefiniowanych i osiągniętych przez aktorów dramatu celów, ani uzasadniającej podjęte ryzyko kalkulacji strat i zysków. Obawiam się, że nie znajdziemy ich także w konflikcie, którego groźny cień nadciąga nad Europę naszych czasów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Sekret papieski

Wojciech Golonka

Przedsoborowe prawo Kościoła, przy zachowaniu totalnej dyskrecji, nie było systemem do tuszowania, ale do wymierzania bezwzględnej sprawiedliwości. I jeśli coś zawodziło – to biskupi, którzy nie egzekwowali tego, co prawo im nakazywało

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

W dyskusji o „tuszowaniu" przestępstw pedofilii duchownych przez członków hierarchii kościelnej umyka zazwyczaj wątek systemowej dyskrecji wprowadzonej przez Stolicę Apostolską w 1886 r., zwanej sekretem papieskim; a jeśli już się on pojawia, to towarzyszy mu raczej niezrozumienie, jeśli nie wręcz karykatura właściwej jurysdykcji i procedur Kościoła. Ponadto sama ewolucja papieskiego prawodawstwa od 2001 r., z bardzo widzialnym zwrotem za pontyfikatu Franciszka ku władzy świeckiej, sugeruje niedociągnięcia biskupich trybunałów w egzekwowaniu sprawiedliwości. Innymi słowy – analiza zmian prawnych względem przedsoborowej legislacji, niesłusznie zwana instrukcją kard. Ottavianiego, wskazuje głównie na problem niewystarczającego wymierzania sprawiedliwości, a nie wadliwość samej reguły maksymalnej dyskrecji. Jeśli ta ostatnia została przez Franciszka w 2019 r. w praktyce uchylona, to właśnie z powodu potrzeby przeniesienia ciężaru wymierzania sprawiedliwości na władze cywilne.

Zarówno techniczność prawa kanonicznego, jak i pewna zawiłość założeń natury wręcz dogmatycznej kolidują z charakterem polityczno-społecznej publicystyki, nie mówiąc już o możliwości popełnienia błędów i zbytnich uproszczeń przez samego publicystę, gdy styka się ze zbyt specjalistycznym tematem. Jednakże, skoro temat, oskarżenia, a zwłaszcza dyskusja o tych wątkach stały się na przestrzeni ostatnich lat dość powszechne, to pogłębianie tej kwestii o istotne niuanse jest nie tylko wskazane, lecz także wprost konieczne celem uporządkowania gruntu i ram prowadzonej publicznie dyskusji. Ponadto nawet rzeczy zawiłe muszą w katolicyzmie dać się sprowadzać do pewnej prostoty ewangelicznej, wszak cała „nadbudówka" prawa kościelnego jest dla dobra

eprasa.pl e2030e6019

Kościoła i dusz, nie zaś Kościół i dusze dla dobra prawa.

CONTRA SEXTUM

Pierwszy istotny do zaznaczenia wątek: przestępstwa pedofilii (czy homoseksualizmu, a nawet zoofilii) ze strony duchownych były aż do XXI w. w zasadzie osądzane przez analogię do przestępstw namawiania penitentów w trakcie spowiedzi lub wokół spowiedzi do grzechów przeciw czystości; grzechów contra sextum (przeciw szóstemu przykazaniu) rozumianych szeroko, nie tylko w postaci niemoralnego współżycia. Brak specyficznej dla samej pedofilii legislacji i rozpatrywanie jej, skądinąd pełne potępienia, przez porównanie do grzechów solicytacji [prób nakłonienia lub sprowokowania penitenta podczas spowiedzi do niemoralnych lub nieprzyzwoitych czynów – red.] nie oznaczały lekceważenia tematu, ani brak postępowań kościelnych w tym zakresie, ale pewne uporządkowanie dóbr, z których najwyższym jest ochrona zaufania do samego sakramentu pokuty i jego nadprzyrodzonej godności, pogwałconych przez kapłana wykorzystującego okazję konfesjonału i pozycję spowiednika do niecnych czynów, deprawujących penitenta. Kwestii tej poświęcił w 1741 r. odrębną konstytucję apostolską Benedykt XIV, papież, który zasłynął ze swego zamiłowania, a także geniuszu do przejrzystego normowania w Kościele wątków prawnych, obyczajowych i doktrynalnych. Konstytucję tę uzupełnił w 1886 r. Pius IX, narzucając zachowywanie sekretu papieskiego, czyli najściślejszej poufności pod groźbą surowych kar kościelnych, z ekskomuniką włącznie, w procedurach postępowania przewidzianych przez swego poprzednika. Warto zaznaczyć, że decyzja Piusa IX miała miejsce po likwidacji państwa kościelnego, w dobie wszelkiej maści kulturkampfów mających totalnie zwasalizować Kościół katolicki wobec władzy państwowej, kiedy wszystkie skandale obyczajowe wśród duchowieństwa były dobre do nagłaśniania celem odarcia go z właściwej mu swobody działania.

KANON 2359

Następnie uporządkowanie na początku XX w. przez św. Piusa X prawa kościelnego i zestawienie go w jednym przejrzystym kodeksie prawa kanonicznego, dokończone w 1917 r. przez jego następcę Benedykta XV, uwzględniło i napiętnowało w odrębnym kanonie (2359) przestępstwa pedofilii ze strony duchownych, definiowane jako przewinienia wobec szóstego przykazania z udziałem nieletnich poniżej 16. roku życia, a także gwałty, cudzołóstwa, akty bestialstwa, sodomii, zachęcania do prostytucji czy kazirodztwa… – przykry katalog, który jednak świadczył o realizmie i doświadczeniu Kościoła w kwestii możliwej degeneracji także wśród duchownych.

Ma się rozumieć, pojawił się problem stosowania w praktyce przewidzianych w kanonie różnych kar, od w zasadzie systematycznej suspensy do możliwości wydalenia ze stanu kapłańskiego w przypadku jednostek gruntownie zdeprawowanych, stąd już w 1922 r. pojawiło się papieskie rozporządzenie, dokument „Crimen sollicitationis" przygotowany przez ówczesnego sekretarza Świętego Oficjum kard. Rafaela Merry'ego del Vala i podpisany przez jej prefekta w osobie samego papieża Piusa XI – głową Świętego Oficjum był bowiem zawsze sam papież, zważywszy na najwyższą rangę zadań tej kongregacji. Dokument ten znów dotyczył głównie przestępstw solicytacji w ramach sakramentu spowiedzi, w oddzielnym rozdziale omawiał jednak casus właśnie przestępstw pedofili, bestialstwa i sodomii wśród duchownych, nazywanych zresztą „najgorszymi przestępstwami" (crimen pessimum). Dokument ten, rozesłany do wszystkich biskupów diecezjalnych, był ściśle tajny – do tego stopnia, że jest bardzo rzadko wspominany w literaturze i omówieniach tego tematu. W zasadzie co bardziej wnikliwe analizy przywołują dokument o tej samej nazwie, przygotowany w 1962 r. przez kard. Alfreda Ottavianiego, ostatniego sekretarza Świętego Oficjum, i ratyfikowany przez tegoż prefekta w osobie Jana XXIII. Tymczasem dokument Ottavianiego był co do istoty identyczny z instrukcją Merry'ego del Vala (główny dodatek polegał na uwzględnieniu procesów członków zakonów religijnych), co oznacza, że Kościół przez praktycznie cały XX w., aż do reform pod koniec pontyfikatu Jana Pawła II, kierował się rozporządzeniem przygotowanym przez zapomnianego dziś, ale wybitnego kardynała, prawą rękę św. Piusa X, który został pochowany w ścisłym sercu bazyliki św. Piotra.

> **„Crimen sollicitationis" był dokumentem ściśle tajnym, jest bardzo rzadko wspominany w literaturze**

KATALOG KAR

„Kościół kierował się", ale w teorii, ponieważ tu właśnie zaczyna się zasadniczy problem, nie tyle odnośnie do samego prawa, ile do jego egzekwowania przez poszczególnych biskupów, na których spoczywał obowiązek wymierzania sprawiedliwości wobec duchownych przestępców w sferze seksualnej i zapobiegania ich dalszej szkodliwości wobec ludzi. Instrukcja Ottavianiego – do jej tekstu dotarłem i na niej się opieram, ale według znawcy tematu dominikanina Thomasa Doyle'a jest ona identyczna z rozporządzaniem Merry'ego del Vala – przewidywała, oprócz właściwych kar, wiele środków dyscyplinarno-penitencjarnych, które należy tu wymienić, kiedy pojawiają się głosy o „systemowym tuszowaniu" pedofilii w Kościele.

Co zatem przewidywał system karny Kościoła, obok kanonicznego sankcjonowania samego winnego? Dodatkowe pokuty, najczęściej izolację w dość surowych warunkach i wymagającym trybie życia (forma kościelnego więzienia, tyle że bez nazwy), a w przypadku potencjalnych recydywistów i recydywistów – specjalny nadzór, izolację, oddzielenie od bliskich okazji grzechu (czyli od potencjalnych ofiar ich degeneracji). Kary nałożone przez sędziego na poziomie diecezjalnym mogły być wycofane bądź pomniejszone jedynie przez Stolicę Apostolską za pośrednictwem Świętego Oficjum – biskup wydawszy przez swego sędziego wyrok, nie miał zatem możliwości złagodzenia kary za „dobre sprawowanie" czy uwzględniając „zaistniałe, nieznane dotąd okoliczności".

Na biskupów był także nałożony ścisły obowiązek przekazywania informacji właściwym podmiotom i osobom, w za-

eprasa.pl e2030e6019

leżności od sytuacji: informowania Stolicy Apostolskiej o samym fakcie donosu o przestępstwie solicytacji, informowania właściwego ordynariusza, jeśli donos dotyczył księdza z innej diecezji, informowania Świętego Oficjum o werdyktach rozstrzygniętych procesów; natychmiastowego informowania ordynariusza innej diecezji, jeśli kapłan skazany lub nawet tylko upomniany w związku z nieudowodnionym przestępstwem solicytacji zmieniał swoją rezydencję na teren innej diecezji; a także informowania władz innej diecezji bądź przełożonych zakonnych, jeśli kapłan pozbawiony prawa do spowiadania udawał się tam w celach kaznodziejskich. Instrukcja konkludowała: „Wszystkie te oficjalne komunikaty powinny zawsze być dokonywane »pod klauzulą tajemnicy Stolicy Apostolskiej«, a ponieważ są one [obowiązek informowania] największej wagi dla dobra Kościoła, obowiązek ten jest wiążący pod grzechem ciężkim" – innymi słowy, biskup, który zaniechałby tych obowiązków informacyjnych, cokolwiek zamiatając pod dywan, popełniał grzech śmiertelny.

W końcu, co najważniejsze dla tego rozważania, kolejny, piąty rozdział instrukcji o wspomnianych już „najgorszych przestępstwach", w tym pedofilii ze strony duchownych, informował, że wszystkie (!) postanowienia dotyczące przestępstw solicytacji mają zastosowanie także w przypadku tychże przestępstw, z wyjątkiem obowiązku kanonicznej denuncjacji (od czasów Benedykta XIV każdy penitent, który miał do czynienia w konfesjonale z kapłanem zboczeńcem, miał obowiązek denuncjować go do biskupa bądź Świętego Oficjum – chodziło zatem o obowiązek denuncjacji przestępstw solicytacji do grzechów nieczystych w ramach spowiedzi). Zatem ze wspomnianej instrukcji jasno wynika, że w przypadku oskarżeń o przestępstwo pedofilii biskup musiał informować o tym fakcie Stolicę Apostolską, informować o wyniku procesu, informować w razie potrzeby innych ordynariuszy etc.

Patrząc całościowo na te normy, trzeba przyznać, że przedsoborowe prawo Kościoła, przy zachowaniu totalnej dyskrecji – wszystkie oskarżenia, zeznania, werdykty składane w ramach sekretu papieskiego trafiały do specjalnego sejfu w kurii biskupiej zarezerwowanego dla tej rangi dokumentów – nie było systemem do tuszowania, a do wymierzania bezwzględnej sprawiedliwości według kościelnej jurysdykcji przy zachowaniu maksymalnej dyskrecji. Dekret Kongregacji Nauki Wiary „Secreta continere" z 1974 r., precyzując naturę i zakres sekretu papieskiego, nie zmienił tegoż prawa ani też sam nowy kodeks prawa kanonicznego z 1983 r., który w kanonie 1395 podtrzymał zapisy dotychczasowego kanonu 2359.

Na swój sposób istotna zmiana zachodzi dopiero w 2001 r.: wraz z motu proprio „Sacramentorum sanctitatis tutela" Jana Pawła II biskupi zostali (znów!) zobowiązani do sygnalizowania najcięższych przestępstw pedofilii Kongregacji Nauki Wiary, która to następnie decydowała, czy pozostawi danemu ordynariuszowi dalsze prowadzenie procedury wobec podejrzanego czy zajmie się nią osobiście.

Ta pierwsza wyraźna centralizacja samych procesów zmusza do pytania – na ile biskupi diecezjalni rzeczywiście stosowali się do potwierdzonego przez Jana XXIII rozporządzenia z 1922 r., w tym na ile informowali oni Stolicę Apostolską w myśl nałożonego na nich pod grzechem ciężkim obowiązku o przestępstwach pedofilii w ich diecezjach. Dziesięć lat później Benedykt XVI dokonał rewizji motu proprio swego poprzednika, zobowiązując dodatkowo krajowe episkopaty do uchwalenia szczegółowych własnych dyrektyw i reguł współpracy z władzami cywilnymi w tym zakresie.

W 2019 r. Franciszek wydał z kolei motu proprio „Vos estis lux mundi" – wobec informacji o nadużyciach biskup lub przełożony zakonny otwiera z automatu dochodzenie i informuje o jego rozstrzygnięciu Stolicę Apostolską; duchowni i zakonnicy, oprócz dotychczasowego moralnego obowiązku denuncjacji przestępstw natury seksualnej, mają teraz także obowiązek prawno-kanoniczny (podlegają zatem sankcji za brak jego spełnienia); wprowadza się dodatkowe mechanizmy w przypadku oskarżeń dotyczących samego ordynariusza, w tym w randze metropolity. Trzeba przyznać, że meritum tych reform centralizujących sprowadza się w dużej mierze do egzekwowania istniejących już dawniej zapisów prawnych, do odgórnego wymuszenia funkcjonowania kościelnego systemu sprawiedliwości na poziomie diecezjalnym, gdzie zgłasza się ewentualna – uchowaj, Boże! – ofiara księdza degenerata.

NAJMOCNIEJSZY RUCH FRANCISZKA

Na częściową niewydolność tegoż lokalnego systemu sprawiedliwości wskazuje w końcu najmocniejszy ruch Franciszka, a mianowicie uchylenie w tym samym roku klauzuli tajemnicy papieskiej względem rzeczonych procedur, co nie oznacza ich upublicznienia, ale znosi wszelkie bariery w komunikowaniu akt postępowania kościelnego stronom oraz władzom cywilnym. Wprawdzie Franciszek nie zobligował duchownych do systematycznego zgłaszania informacji o nadużyciach wobec nieletnich świeckim organom ścigania, w praktyce jednak zapis ten obowiązuje w regułach postępowania ustalonych przez lokalne episkopaty, w oparciu o nałożony nań przez Watykan obowiązek zdefiniowania reguł współpracy z tymi organami.

Tu znowu, wraz z przeniesieniem ciężaru wymierzania sprawiedliwości z kościelnej jurysdykcji na świecką, widać pewien sceptycyzm władzy centralnej Kościoła co do powszechnej skuteczności lokalnych władz w tym zakresie. Owszem, obowiązująca onegdaj klauzula sekretu papieskiego czyni dla badaczy niezmiernie trudnym przeprowadzenie analizy postępowań w przypadku pedofilii duchownych, zarówno przed soborem, jak i po nim, jednak tam, gdzie dokonano podobnych audytów, jak w przypadku raportu zleconego niezależnej komisji przez Konferencję Episkopatu Francji, jedną z niebudzących wątpliwości konkluzji było, że w różnych przypadkach biskupi po prostu nie stosowali się do nałożonych na nich przez kościelne prawo ciężkich obowiązków. W takich przypadkach zawiedli sami pasterze abdykujący z ich obowiązku wymierzania sprawiedliwości i stosowania przewidzianego ku temu prawa, nie zaś towarzysząca przez przeszło 133 lata kościelnym procedurom karnym w tej dziedzinie ścisła, bezwzględna poufność o randze sekretu papieskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Z Elżbietą Cherezińską
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Szczecińska czarownica

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Najnowszą swoją książką „Sydonia. Słowo się rzekło" przenosi pani czytelników w wiek XVII, na Pomorze Zachodnie. To niespodzianka, biorąc pod uwagę, że zajmowała się pani wcześniej zdecydowanie bardziej odległymi epokami.

ELŻBIETA CHEREZIŃSKA: Przyzwyczaiłam czytelników do średniowiecza, a jak weszłam w Piastów, to zostałam z nimi na długie lata, ale teraz nadszedł czas na moje Pomorze. A „złoty wiek" Pomorza to wczesna epoka nowożytna i do niej tym razem zapraszam.

Chyba nieprzypadkowo powiedziała pani „moje Pomorze". Związała się pani z tym regionem choćby z racji miejsca zamieszkania.

Mieszkam w okolicach Kołobrzegu, najbliższą mi miejscowością jest Stary Borek, nomen omen związany z nazwiskiem mojej bohaterki – Sydonii von Bork. To moje miejsce zamieszkania od 30 lat i od dawna chciałam opowiedzieć jego historię. A tę ukazałam poprzez postać Sydonii, najbardziej znanej pomorskiej czarownicy. Do dzisiaj w rocznicę jej egzekucji w Szczecinie składane są kwiaty. I tak jak 400 lat temu na Pomorzu każde dziecko znało legendę o Sydonii, która rzuciła klątwę na Gryfitów, tak obecnie wiedza o niej jest pielęgnowana.

Wiemy dokładnie, gdzie zginęła. Zachowane zostało to miejsce?

Działo się to w Szczecinie, na Rabensteinie, tego Kruczego Kamienia już nie ma, ale miejsce straceń było przed dawną Bramą Młyńską, gdzie dzisiaj znajduje się jeden z oddziałów Muzeum Narodowego, w którym wisi słynny podwójny portret Sydonii von Bork. Jest to alegoryczne wyobrażenie żywej kobiety i legendy o niej. Na portrecie z przodu stoi młoda, uśmiechnięta Sydonia, a zza jej ramienia wygląda stara Sydonia, ta, która została oskarżona o czary, ścięta i po śmierci spalona.

Przedstawmy pani bohaterkę. Pochodziła z dobrego domu, była kobietą nietuzinkową, taką, o której się mawia, że nie da sobie w kaszę dmuchać. Jak to się stało, że oskarżono ją o czary? Czy to były jakieś partykularne względy czy sprawa polityczna?

Zaczęło się zwyczajnie, od intrygi i zemsty rodzinnej, ale w toku procesu przerodziło się w sprawę polityczną. Sydonia, istotnie, pochodziła z wybitnego pomorskiego rodu Borków, który – można przypuszczać – zaistniał na Pomorzu przed nastaniem dynastii Gryfitów. Mawiano nawet: „To jest stare jak Bork i diabeł". Przez setki lat przedstawiciele rodu towarzyszyli książętom Pomorza jako ich pierwsi panowie, ale równie często się przeciw nim buntowali, i stąd wzięła się ich rebeliancka legenda.

Kiedy moja bohaterka skończyła 20 lat, po śmierci matki – ojciec nie żył już od dawna – doszło do podziału majątku, w wyniku którego głównym spadkobiercą Wilczego Gniazda, czyli rodowej siedziby w Strzmielu, został jedyny brat Sydonii. Miał on zaopiekować się materialnie siostrami – Sydonią i Dorotą – zabezpieczyć je na przyszłość, wypłacić posagi. To były duże pieniądze. Przychodząc na świat, Sydonia mogła przypuszczać, że do końca swoich dni będzie mieszkać w pięknym zamku, nie musząc troszczyć

eprasa.pl e2030e6019

Sydonia von Bork to najbardziej znana pomorska czarownica

FOT. MUZEUM NARODOWE W SZCZECINIE

eprasa.pl e2030e6019

się o pieniądze i prowadząc życie takie, do jakiego się urodziła. Tak się nie stało.

Z winy brata?

Nie wywiązał się ze swoich zobowiązań, nie płacił alimentów, siostry musiały więc tułać się po krewnych, ale też wtedy Sydonia – wiedząc, że prawo stoi po jej stronie – pozwała brata. Raz, drugi, trzeci, trzydziesty, czterdziesty. Liczba pozwów była nieprawdopodobna; ludzie wtedy, jak my dzisiaj, procesowali się o wszystko, nie w tej skali jednak i – co najważniejsze – nie kobiety! A ona każdy proces wygrywała, wszystkie wyroki są na jej korzyść, tyle że prawo było nie do wyegzekwowania wobec kogoś takiego jak jej brat.

W końcu jednak Sydonia doprowadziła do czegoś, co wówczas nie mieściło się w głowach, a i dziś pachnie skandalem, a mianowicie do egzekucji komorniczej swego brata. To był wielki triumf tej kobiety i jednocześnie moment, w którym nawet najbardziej przyjaźni członkowie rodziny zaczęli się od niej odwracać. I później będą rzucać na nią oskarżenia. Ale pamiętajmy, że w legendzie o Sydonii czarownicy jest Gryfita, są miłość i złamane słowo.

W sumie wspaniała historia, ale aż nie chce się uwierzyć, że rzucono oskarżenie na osobę pochodzącą ze znamienitego rodu, poddano ją okrutnym torturom i spalono: taka krew i taka śmierć.

Rzeczywiście, szlachcianek zwykle nie sądzono o czary, a jeśli już do tego dochodziło, to ich nie skazywano. W przypadku Sydonii historia była skomplikowana i żeby ją zrozumieć, trzeba pojąć tło polityczne i mentalność ówczesnych Pomorzan. Świadomi byli układów zawartych z Hohenzollernami; wiedzieli, że jeśli Gryfici wymrą, to Pomorze stanie się częścią Brandenburgii, a w dynastii Gryfitów próżno wypatrywano potomka. Młodzi książęta zaczęli wymierać jeden za drugim i lęk o przyszłość Pomorza narastał. W takiej atmosferze pojawiło się oskarżenie Sydonii o spowodowanie śmierci księcia Filipa II. Moja bohaterka mieszkała wówczas w domu prowadzonym przez fundację dla samotnych panien i to one pomówiły Sydonię, twierdząc, że gdy nadeszła wiadomość o śmierci księcia, ona już wcześniej o tym wiedziała. Z pomówień tych naprędce utkano niebezpieczną sieć, w którą ją złowiono. Tyle że naprawdę zrobiono to, bo tak chcieli jej krewni, którym zależało na tym, żeby pozbyć się kobiety, która nie dała się stłamsić i nie dała zamknąć sobie ust.

Jej śmierć ukonstytuowała mit.

To prawda. Gdyby nie było śmierci, nie byłoby legendy, ale odwracając sytuację: Dlaczego musiała umrzeć? Aby legenda przetrwała? Oskarżono ją – i skazano za to – o spowodowanie śmierci panującego księcia, a proces nadzorował jego brat i następca, Franciszek, który, choć cieszył się świetnym zdrowiem, zmarł niespełna trzy miesiące po straceniu Sydonii. Wówczas już legendy, że Borkówna rzuciła klątwę na rod Gryfitów, nie dało się zatrzymać; śmierć oskarżyciela sprawiła, że ta plotka żyła już własnym życiem. A mnie, po przebrnięciu przez akta procesowe, zależało na tym, by opowiedzieć autentyczne dzieje tej kobiety. Tak że można przyjąć, że mamy do czynienia z prawdziwą historią czarownicy, ale nie mamy pewności, czy czarownica była prawdziwa.

To krewnym Sydonii zależało na tym, żeby pozbyć się kobiety, która nie dała się stłamsić i nie dała zamknąć sobie ust

Budzi zdumienie, że zachowała się dokumentacja sprawy Sydonii.

To zasługa samych Borków, do dziś bardzo prężnie działającej rodziny, olbrzymiego klanu, który w XIX w. zatrudnił archiwistę i historyka Georga Sello po to, żeby z akt rozproszonych i w Berlinie, i w Greifswaldzie zebrał wszystkie dokumenty traktujące o Borkach i zarchiwizował je. On nie tylko je zebrał i skatalogował, lecz także opatrzył komentarzem historycznym. Gdyby nie jego praca, taka książka jak moja nie mogłaby powstać, zawierucha wojenna sprawiła przecież, że mnóstwo archiwów, np. berlińskich, spłonęło. Nadmienię jeszcze, że z sześciu tomów dotyczących rodu Borków jeden poświęcony jest wyłącznie Sydonii.

Pani powieść jest solidnie podbudowana historycznie, co dotyczy nie tylko polityki i militariów, lecz także kulinariów czy mody. Musiała się pani konsultować z badaczami tamtej epoki?

Zawsze to robię. Najpierw sama drążę temat, stawiam pytania, a następnie zadaję je odpowiednim osobom. Tu przede wszystkim prosiłam o pomoc prof. Agnieszkę Gut, która dobrze zna realia procesów o czary. I Joannę Kościelną, znawczynię Gryfitów. A potem była praca z tłumaczem, z którym przeczytaliśmy całe akta Georga Sello, żeby uzyskać bezpośredni wgląd w dokumenty dotyczące mojej bohaterki. Trzeba było na to, czego się dowiedzieliśmy, spojrzeć poprzez tło epoki, gdyż inaczej wszystko wydawałoby się dziwaczne. A w wypadku Sydonii wiedza o innych procesach o czary pozwoliła mi ustalić, że w trakcie ostrego przesłuchania zastosowano wobec niej – wbrew cesarskiemu prawu zawartemu w Constitutio Criminalis Carolina – dwa narzędzia tortur, a nie jedno. Były to drabina-ławka do rozciągania ofiary i hiszpańskie buty ze śrubami skręcającymi jej stopy. W protokołach znajdują się dokładnie zapisane przez skrybę pytania sędziego i jego polecenia, by kat np. mocniej dokręcił śrubę. Jak się te zapisy zestawi, wyraźnie widać, po których pytaniach następuje zwielokrotnienie tortur i co najbardziej interesowało sąd książęcy. A chodziło mu przede wszystkim o to, czy Sydonia zabiła Filipa II; intrygująca była także dla niego jedna z rodzinnych spraw oskarżonej. Która? Odsyłam do książki.

Tortury Sydonia zniosła nadzwyczaj dzielnie.

O czary zwykle oskarżono kobiety samotne i stare. Uważane za kłótliwe, żyjące na uboczu społeczności i z nią zantagonizowane. Można uznać, że Sydonia odpowiadała modelowemu wyobrażeniu czarownicy, od którego odbiegała jedynie wysokim urodzeniem.

Dzięki czemu kat nie rwał jej ciała obcęgami – czego domagała się tłuszcza, dla której egzekucja Sydonii była atrakcją – a została ścięta, po czym ciało jej spalono. Nawiasem mówiąc, w osłupienie wpaść można, czytając, że skazana musiała płacić za drewno zużyte na stos, na którym miała spłonąć.

eprasa.pl e2030e6019

ELŻBIETA CHEREZIŃSKA
„SYDONIA. SŁOWO SIĘ RZEKŁO"
ZYSK I S-KA 2023

Prawo było bardzo drobiazgowe… W Meklemburgii inna oskarżona o stosowanie czarów kobieta po torturach straciła głos i w żaden sposób nie można było wydobyć z niej werbalnego przyznania się do zarzucanych jej czynów. A że prawo tego wymagało, proces przerwano i oskarżoną, pod nadzorem prokuratora, odesłano do domu. Dziś użyto by w takim wypadku elektronicznej obroży, wtedy ktoś przychodził do niej i sprawdzał, z kim się kontaktuje. Kobieta w końcu doszła do siebie, przyznała się i nie uniknęła pisanego jej losu. Procedury były ściśle określone: niepotrzebne było udowodnienie winy, niezbędne było przyznanie się.

Tak samo jak w procesach stalinowskich.

Zeznania Sydonii musiały rozczarować sądzących. Obowiązkowe w takich jak jej sprawach były pytania, od kogo nauczyła się czarów i z kim je uprawiała. Sydonia konsekwentnie wymieniała dwa nazwiska – Wolde Albrechts i Lene Schmedes. Obie nie żyły i w żaden sposób nie mogła już im zaszkodzić.

To znów przypomina śledztwa prowadzone przez komunistycznych czy hitlerowskich oprawców. Mieli się od kogo uczyć. A swoją drogą trudno nie zauważyć, że w sprawach o czary ofiarami padały głównie kobiety.

Mężczyźni też byli oskarżani i skazywani, ale zdecydowanie rzadziej. Inkwizytorzy doszli do wniosku, że kobiety parające się czarami musiały zawierać pakt z diabłem i obcować z nim.

Podejrzewam, że większość czytelników te inkwizytorskie zapędy łączy wyłącznie z Kościołem katolickim. A tu, proszę, protestanci – tacy światli, tak racjonalni, a też stawiali stosy, choć o tym jakoś się nie mówi.

Ponieważ mają lepszy PR. Warto jednak nadmienić, że to luteranie wprowadzili obowiązkową naukę czytania dla kobiet, choć ograniczoną do znajomości Biblii. Ale „Młot na czarownice" robił swoje. Nie ma sensu prowadzić dziś badań statystycznych i licytować się na liczbę stosów, w każdym razie tak, na tych ziemiach, w księstwach protestanckich, stosy płonęły. Pod tym względem niechlubnie zapisała się Meklemburgia. Dzisiaj podtrzymuje się pamięć o kobietach oskarżonych i spalonych, jak Muzeum w Penzlinie, gdzie na ścianach zamku umieszczono ich nazwiska. Tysiące nazwisk. A najlepszy, dwujęzyczny projekt o Sydonii powstał w Pommersches Landesmuseum w Greisswaldzie.

Sydonię stracono w 1620 r. Pomorskie księstwo Gryfitów zbliżało się już wtedy do swego kresu. Na czym polegała jego unikatowość?

Położone było między potężnymi sąsiadami, bo z jednej strony – Rzecząpospolitą, a z drugiej, poza pasmem księstw niemieckich, czyli Meklemburgią i Brandenburgią, rozpościerała się Dania. Ówczesne Księstwo Pomorskie, to, o którym piszę, sięgało aż do Rugii, daleko na zachód. A na północy była jeszcze Szwecja, ledwie przed chwilą bardzo słaba, ale dosłownie wraz z rozwojem akcji mojej powieści wyrastająca na wielkiego politycznego gracza. Unikatowość księstwa Gryfitów brała się z jego neutralności, którą panujący starali się zachować. Uznali ją nawet za swą dewizę. Czas nie sprzyjał im jednak. Wojna trzydziestoletnia wybucha niby daleko od Pomorza, bo pierwsze fermenty w 1618 r. zaczynają się w Czechach, później jednak angażują się w nią wszyscy. Była to wojna na tle religijnym, ale nie zapominajmy, że w pewnym momencie po stronie protestantów zaczęła walczyć, za poduszczeniem kard. Richelieu, katolicka Francja. Na Pomorzu na tę wojnę nałożyły się zawarte układy o dziedziczeniu, w wyniku których po śmierci Bogusława XIV i wygaśnięciu dynastii Gryfitów w roku 1637 Brandenburgia i właśnie Szwecja chwyciły to państwo w swoje szpony i rozszarpały je. I już nie było tamtego Pomorza, a – wręcz paradoksalnie – przed upadkiem panującego rodu przeżywało ono swój złoty wiek, który możemy mierzyć nieprawdopodobnym rozwojem architektury, sztuki, kultury. Skrzyło się Pomorze swoim bogactwem intelektualnym i artystycznym.

Również finansowym. Gdy król Polski Zygmunt August postanowił stworzyć flotę, pieniądze na to, których skądinąd nie oddał, pożyczył nie gdzie indziej, a w Szczecinie.

Od Loitzów. Wzbogacili się oni na handlu solą i śledziami, tworząc następnie wielki dom bankowy mający swoje kantory nie tylko na Pomorzu Zachodnim, lecz także w Gdańsku, w Polsce i w całych Niemczech. Nasz król wziął od nich gigantyczną pożyczkę, której rzeczywiście nie spłacił. Zmarł, a bank Loitzów upadł, a wraz z nim podupadło finansowo wiele pomorskich rodów, ponieważ Loitzowie pożyczyli Zygmuntowi Augustowi pieniądze, które Pomorzanie lokowali u nich. Bankierzy wyszli z tego cało, zabezpieczeni przez polskiego króla, który umożliwił im zrobienie karier urzędniczych. Można rzec, że się przebranżowili; taki klasyk historyczno-biznesowy.

A ostatni z Jagiellonów, może warto przypomnieć, o flotę zadbał ze względu na wojnę z Moskwą.

Zacytowałam nawet fragmenty listów wysyłanych przez niego do wszystkich europejskich władców z ostrzeżeniem, by nie ufali Iwanowi Groźnemu, bo tam, gdzie Moskwa postawi nogę, tam siądzie. I jeżeli otworzą porty bałtyckie do handlu z Moskwą, to ta wykorzysta je do przesyłania broni na wojnę z Rzecząpospolitą. Bardzo ciekawy jest ten inflancki aspekt historii; dziś, gdy mamy wojnę na Ukrainie, szczególnie, bo mamy wrażenie, że problemy tamtego świata powracają tu i teraz.

„Sydonia. Słowo się rzekło" jest powieścią, znakomicie udokumentowaną historycznie, ale powieścią. Jaki jest w niej procent fantazji?

Utkałam jej biografię z archiwaliów, nawet z fragmentów wypowiedzi Sydonii. Natomiast czy wyglądała tak, jak ją opisałam? Nikt tego nie potwierdzi i nikt temu nie zaprzeczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Elżbieta Cherezińska – pisarka specjalizująca się w literaturze historycznej, po fachu teatrolog. Autorka cykli powieściowych: „Północna droga", „Odrodzone królestwo" i „Harda królowa", książki pt. „Legion" (o losach Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych) oraz najnowszej „Sydonia. Słowo się rzekło".

eprasa.pl e2030e6019

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Szelest papierków”

Konspiracja i działalność podziemna w okupowanej Polsce w latach 1939–1945 to nie tylko partyzantka, akcje, strzelanie. Polskie Państwo Podziemne było szeroko rozgałęzione i prowadziło wszechstronną działalność. Oprócz walki zbrojnej konieczne było olbrzymie zaplecze – wywiadowcze, logistyczne, propagandowe. Wydawanie konspiracyjnej prasy (a także książek i broszur) wymagało fachowców, nie tylko technicznych (do obsługi drukarni i powielaczy), lecz także „ludzi pióra”, piszących obszerne artykuły, jak też krótkie notatki informacyjne. Dorobek Polski Podziemnej jest w tym zakresie naprawdę imponujący. Nie była to praca bezpieczna – Niemcy lokalizowali i niszczyli drukarnie oraz powielarnie, rozrywali sieci kolportażu, bardzo wielu ludzi zapłaciło za taką działalność cenę życia.

Po wojnie, gdy władzę w Polsce otrzymali z rąk Stalina „rodzimi” komuniści, chcieli i musieli stworzyć własną, czerwoną legendę. W związku z tym rozbudowali swe papierowe stany PPR i GL-AL do 100 tys. członków! W warunkach ostrej prewencyjnej cenzury nie było możliwości prostowania ich propagandowych wynaturzeń. W miarę upływu lat przybywało oddziałów i „brygad” liczących po kilkuset i więcej ludzi. Z małych potyczek i oddania kilku strzałów robiono wielkie bitwy partyzanckie, oczywiście zawsze zwycięskie. Wyprodukowana politgramota zalega półki w wielu domach w Polsce, jej treści wsiąkały i nadal wsiąkają w co bardziej prymitywne umysły. Młodzi ludzie próbują podejmować dziś polemiki w obronie „czerwonej konspiracji”, która jakoby nie jest odpowiednio doceniana.

Oto – na przykładzie komunistycznej redakcji organu „Głos Warszawy” – zobaczmy, jak zmieniano i preparowano historię tamtych lat. Towarzysz Jan Wesołowski (członek Komitetu Warszawskiego PPR) tak rzewnie to wspominał: „Kto pisał do »Głosu Warszawy«, mogliśmy tylko się orientować z charakteru pisma. Artykuły te dostarczał przeważnie Zbigniew Bieńkowski, nie zawsze jednak, bardzo często dostawałem je od »Wiesława« [Władysława Gomułki] albo od jego żony Zofii [Liwii Szoken]. Odbywało się to, mówiąc nawiasem, w dosyć śmiesznych warunkach, bośmy się umawiali w takim przyzwoitym i uczęszczanym ustępie na ul. Foksal, gdzie niby szelest papierków był uzasadniony, i podawaliśmy sobie przez przegródkę pomiędzy tymi komórkami, czy ja Zofii gotowe rzeczy, które były jej potrzebne, czy też ona mnie materiały”.

To bajki z zakresu, jak mały Jasio wyobrażał sobie okupację. Ta bajka jest wprost cuchnąca, dosłownie i w przenośni. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Hołd pruski

Chociaż zakon krzyżacki od 1466 r. był lennikiem Polski, to wzajemne stosunki układały się nie najlepiej, a gdy w 1511 r. wielkim mistrzem został Albrecht Hohenzollern (siostrzeniec Zygmunta Starego), stało się jasne, że dojdzie do zbrojnej konfrontacji. Krzyżacy zawarli sojusz z Moskwą i Brandenburgią, po czym wysunęli żądania zwrotu Pomorza i Warmii oraz wypłacenia odszkodowania za 50 lat polskiej okupacji.

Wojna, która wybuchła w 1519 r., toczyła się ze zmiennym szczęściem, wprawdzie wojska koronne zdobyły Kwidzyn i Pasłęk, ale Krzyżacy opanowali Braniewo i Chojnice. Spustoszyli też Mazowsze i Wielkopolskę, a co gorsza, uzyskali poparcie papieża, który uznał, że polski król podniósł rękę na chrześcijański zakon rycerski.

W kwietniu 1521 r. zawarto rozejm, a Zygmunt Stary okazał się bardzo łaskawy dla krewniaka. Nie narzucił siostrzeńcowi obowiązku hołdu, a o wyniku sporu miał zadecydować sąd arbitrażowy. Nigdy jednak do niego nie doszło, były to bowiem czasy reformacji i wielkiego fermentu umysłowego w Europie. Nowinki religijne głoszone przez Marcina Lutra były mile widziane przez niektórych książąt niemieckich i także Albrecht doszedł do wniosku, że potrzebne są radykalne zmiany. Zakon miano poddać sekularyzacji, Prusy miały zostać przekształcone w świeckie państwo, w którym on sam objąłby władzę książęcą. Oczywiście jako lennik Polski.

W Krakowie zdawano sobie też sprawę z tego, że Albrecht jako protestancki władca straci poparcie cesarza i papieża, pozostając na łasce królów Polski. Dlatego rokowania w Krakowie potoczyły się bardzo sprawnie. Podpisano porozumienie, na mocy którego Albrecht został pierwszym księciem „w Prusach”, a prawo dziedziczenia po nim otrzymali jego potomkowie lub rodzeni bracia. 10 kwietnia 1525 r. na krakowskim rynku odbył się uroczysty hołd Hohenzollerna, co uznano za wielki triumf Polski i przykład tolerancji religijnej nad Wisłą, gdyż po raz pierwszy katolicki król uznał za swojego lennika księcia protestanckiego. Fakt ten odbił się głośnym echem w całej Europie, ale po latach opinie badaczy są podzielone. Podkreśla się, że Zygmunt Stary nie wykorzystał szansy całkowitego zniszczenia państwa krzyżackiego nad Bałtykiem, przez co przyczynił się do późniejszych rozbiorów Polski. Jednak łatwo oceniać po stuleciach, a w historii nic nigdy nie jest czarne lub białe. Zygmunt Stary uważał, że pozbył się raz na zawsze problemu na północy i dzięki temu mógł zająć się obroną południowej granicy przed Tatarami. ©℗

eprasa.pl e2030e6019

FOT. EMMANUEL DUNAND/AFP/EAST NEWS

NIESKROMNA MINISTER NA OKŁADCE

Rozłożone nogi, kremowe body i napis na biuście (nawiązujący do regulacji pozwalającej rządowi narzucić parlamentarzystom przyjęcie prawa). Tak zaprezentowała się niedawno francuska sekretarz stanu ds. stowarzyszeń gospodarki społecznej i solidarnej. Marlene Schiappa pokazała się tak na okładce „Playboya", któremu udzieliła wywiadu na temat praw kobiet i LGBT. To nie spodobało się nie tylko członkom partii Schiappy – La République En Marche! Jej medialny występ skrytykowała też premier kraju Élisabeth Borne.

GRETA SAMA SIĘ OCENZUROWAŁA

Znana aktywistka klimatyczna Greta Thunberg skasowała swój tweet sprzed pięciu lat, w którym alarmowała, że ludzkość czeka zagłada, jeśli nie odejdzie od paliw kopalnych do 2023 r. Jak widać, ludzkość nadal trwa. Zapewne przyjdzie czas na kasowanie i innych ostrzeżeń.

WĘGRY „NIEPRZYJAZNE"

Choć Węgrzy są najbardziej chyba zdystansowanym państwem Unii Europejskiej wobec wojny na Ukrainie, to ambasador Rosji w Budapeszcie, Jewgienij Stanisławow, poinformował o wpisaniu tego kraju na listę państw nieprzyjaznych Rosji. W ten sposób Rosjanie mieli zareagować na to, że rząd Viktora Orbána poparł wszystkie dotychczasowe pakiety sankcji nałożone po napaści na Ukrainę. Szef MSZ Węgier zapewniał na konferencji, że mimo tego współpraca m.in. w zakresie energetyki „przebiega bez zakłóceń".

68-LETNIA CELEBRYTKA MAMĄ

W Hiszpanii oburzenie. Ana Obregon, aktorka znana z sitcomów, na okładkach hiszpańskiej prasy tuli noworodka, którego trzyma na rękach, wychodząc z amerykańskiej kliniki w Miami. 68-latka skorzystała z surogatki. W kraju jej pochodzenia korzystanie z takich usług jest zabronione. Media wskazują, że aktorka tworzy sobie „iluzję nowego życia" po tym, jak dwa lata temu na raka zmarł jej 27-letni syn.

PIĘCIOLATKA NA ZAKUPACH

Lila, pięcioletnia dziewczynka z Massachusetts, bawiła się telefonem mamy podczas podróży samochodem. W nocy matkę obudziło powiadomienie – informacja o realizacji zamówienia w serwisie zakupowym na 4 tys. dol.: 10 dziecięcych motocykli terenowych w kolorach różowym i niebieskim, dziecięce autko oraz 10 par butów. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polska krajem możliwości

Dokładnie 16 kwietnia 2023 r. minie 20 lat od czasu podpisania traktatu akcesyjnego, na mocy którego Polska została członkiem Unii Europejskiej.

Na rocznicę tę uwagę zwrócił niedawno dziennik „The Sunday Times", przypominając, że dwie dekady temu Polacy w nadziei na lepszą przyszłość szturmem ruszyli do Wielkiej Brytanii. Wśród ponad 6 mln wszystkich wniosków o status osoby osiedlonej na Wyspach aż 1,1 mln złożyli Polacy, którzy chcieli cieszyć się takimi samymi prawami po brexicie jak rodowici Brytyjczycy. Nasi rodacy wyprzedzili w tej kategorii Rumunów, Włochów, Portugalczyków czy Hiszpanów.

Od wielu miesięcy można jednak zaobserwować, że trend się odwrócił i że to do Polski ciągną teraz tysięce osób z Wielkiej Brytanii. Oczywiście jedną z przyczyn exodusu jest to, że zgodnie z licznymi zapowiedziami ekspertów Wielka Brytania znalazła się w potężnym kryzysie, mieszkańcy dawnego imperium doświadczają największego spadku poziomu życia od wielu dekad, a recesja lub co najmniej stagnacja mogą utrzymać się przez lata.

Polacy masowo wracają więc z Anglii do ojczystego kraju. Poziom życia nad Wisłą jest bowiem wyjątkowo wysoki, a polska gospodarka rozwija się w średnim tempie ok. 4 proc. rocznie. „Polska – nie Wielka Brytania – jest teraz europejskim krajem możliwości" – zauważył więc brytyjski „The Sunday Times". A cytowany przez dziennik Paweł Bukowski, polski wykładowca ekonomii na University College London, zauważa, że Polska „rośnie szybciej niż azjatyckie tygrysy". Pamiętając o naszej historii, dobrze byłoby, Drodzy Rządzący, tym razem tej szansy nie zmarnować... ©℗

eprasa.pl e2030e6019

Mężczyźni pakują kartony z rzeczami należącymi do Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego, Kijów, 24 marca 2023 r.

FOT. YAN DOBRONOSOV/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

Wojna o ławrę

Maciej Pieczyński

Ukraina przeszła do kontrofensywy na froncie religijnym. Eksmisja mnichów z ławry Peczerskiej to element walki z rosyjską agenturą wpływu. Uderzenie w Kościół zamiast w konkretnych kolaborantów budzi kontrowersje. Nie jest to jednak prześladowanie religii jako takiej – Kijów faworyzuje konkurencyjną ukraińską Cerkiew

Ławra Peczerska w Kijowie z połowy XI w. to jeden z pierwszych kompleksów klasztornych powstałych po przyjęciu chrześcijaństwa przez Ruś – wspólną kolebkę państwowości Rosji, Ukrainy i Białorusi. To właśnie kijowski książę Włodzimierz przyjął prawosławie, które później stało się nieodłączną częścią tożsamości i kultury trzech wschodniosłowiańskich narodów. Przez ostatnie 300 lat ławra należała do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. W czasach sowieckich jej oficjalnym właścicielem było państwo. Po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę teren klasztoru wydzierżawiono mnichom nowo powstałej Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego (UPC MP. Dopisek „Patriarchatu Moskiewskiego" ma charakter nieoficjalny, publicystyczny – sami duchowni UPC oburzają się za jego używanie).

Umowa obowiązywała do końca marca tego roku. Ukraińskie ministerstwo kultury i polityki informacyjnej postanowiło jej nie przedłużać. Cerkiew decyzję tę zaskarżyła w sądzie. W momencie, gdy

eprasa.pl e2030e6019

ten numer „Do Rzeczy" idzie do druku, mnisi odmawiają opuszczenia obiektu.

SZATAN, SZEWCZENKO I „PASZA MERCEDES"

Na terenie ławry zaczęli się gromadzić wierni UPC MP, aby zademonstrować solidarność z duchownymi. Przybyli też ich przeciwnicy, próbując wymusić na „moskiewskich popach" opuszczenie klasztoru. Dochodziło do gorszących scen. Na jednym z opublikowanych w Internecie nagrań widać, jak starsza kobieta klęczy i modli się z krzyżem w ręku, otoczona grupą młodych ludzi, którzy tańczą do płynącej z przenośnego głośnika patriotycznej piosenki popowej ze słowami: „Nam Szewczenko przykazał: nie kochać Moskali!". Kiedy indziej młody mężczyzna z wytatuowanymi pogańskimi runami na twarzy prowokował wiernych, głośno wyśmiewając ich modlitwy i wykrzykując: „Niech żyje szatan!". W odpowiedzi usłyszał: „Chrystus zmartwychwstał!".

„To nasza wiara z dziada pradziada! Jesteśmy na swojej ziemi!", „Grają na bandurach, z psami tańczą, w świętym miejscu! Zbezcześcili świątynię! Oni nie krzyczą »sława Bogu«, tylko »sława Ukrainie«! A co tu ma do rzeczy Ukraina?!" – oburzała się na przeciwników UPC MP jedna z prafianek przed kamerą portalu Ukraińska Prawda. Inna bohaterka reportażu trzymała w dłoniach transparent z napisem po ukraińsku: „Jesteśmy wiernymi UPC, kolebki kanonicznego prawosławia, z nami jest Matka Boża". Z dziennikarzem rozmawiała po rosyjsku. Stwierdziła, że władze ukraińskie, które zadecydowały o przejęciu ławry, to „ludzie niewykształceni, a poza tym są narodowości żydowskiej – więc o czym mamy z nimi w ogóle rozmawiać?!", czyniąc aluzję do pochodzenia Zełenskiego. Jej koleżanka stwierdziła, że za czasów Związku Sowieckiego „prawosławie miało się jak u Pana Boga za piecem", a gdy tylko komuniści przegrali, zaczęło się prześladowanie Cerkwi. Ocena ahistoryczna, świadcząca o podatności na propagandę kremlowską, przedstawia Rosję (a nawet ZSRS) jako przedmurze chrześcijaństwa.

Dziennikarz Ukraińskiej Prawdy zapytał obrończyń ławry, czy podczas nabożeństw słyszały narrację prorosyjską. Pierwsza początkowo zaprzeczyła. Druga, zdenerwowana, odpowiedziała: „Nasi dziadowie i pradziadowie walczyli za Ukrai… to znaczy za prawosławie – na śmierć i życie!". Wtedy pierwsza podchwyciła wątek: „Wojny były o prawosławie! Proszę poczytać Gogola!". Akurat Mikołaj Gogol, rosyjski pisarz ukraińskiego pochodzenia, przedstawiał Kozaków zaporoskich jako obrońców prawosławia przed „polskimi panami", ale jednocześnie jako patriotów „ziemi rosyjskiej". Do rozmowy włączyła się trzecia staruszka, również powołując się na autora powieści „Taras Bulba": „Kiedyś Kozacy nie rozróżniali, czy to Ukraina czy Rosja, byli po prostu prawosławni!". Tego typu wypowiedzi prostych wiernych UPC MP pozwalają częściowo zrozumieć, skąd nieufność Kijowa wobec hierarchów cerkiewnych…

Podziały między zwolennikami a przeciwnikami UPC nie są aż tak jednoznaczne, jak mogłoby się wydawać

Konflikt wyszedł poza mury samego monasteru. W należącej do UPC MP cerkwi w Chmielnickim księża pobili ukraińskiego żołnierza, który podczas nabożeństwa krzyczał do wiernych: „Ile jeszcze ludzi musi zginąć, żeby moskiewskie popy opuściły ławrę?!". Transparent o takiej treści (a także z hasłem: „Precz ze wszystkim, co rosyjskie") trzymały młode, zapewne nastoletnie dziewczyny, manifestujące dzień później na terenie klasztoru. Zaczepiła je prawdopodobnie nietrzeźwa zwolenniczka UPC. Zaczęła krzyczeć, że wojna jest zasłużoną karą za grzech sodomski – za to, że w stolicy Ukrainy odbywały się parady gejowskie.

Wielką popularność w Internecie zdobyło nagranie, na którym 11-letnia Dasza w tłumie obrońców ławry śpiewa na cały głos pieśni religijne. Znany ukraiński bloger o poglądach neobanderowskich Mykoła Oleszko stwierdził, że jest „chora psychicznie" i że należy ją odebrać rodzicom, którzy nią manipulują. Do 11-latki, otoczonej przez zwolenników UPC, podczas protestu podszedł jeden z przeciwników „moskiewskich popów". Łagodnie wyśmiał Daszę, wypytywał, kto jej kazał przyjść do ławry, jak długo tu stoi. – Tak długo, jak Bóg zechciał! Sama chciałam tu przyjść! Chcę być z Bogiem, a nie z diabłem, nie z panem! Nie z tymi, którzy urządzają tańce [w świętym miejscu – najpewniej o to chodziło, ale okrzyki tłumu zagłuszyły resztę zdania – przyp. M.P.] – krzyczała dziewczynka. Zrezygnowany przeciwnik UPC wycofał się żegnany gniewnymi okrzykami: „Satanista!". Zanim jeszcze stracił cierpliwość, towarzyszące Daszy starsze kobiety pojednawczo go zapewniały: „My nie Moskwa, my jesteśmy po stronie Ukrainy!". Jedenastolatka zresztą też w jednej dłoni trzymała ikonę z Chrystusem, w drugiej – ukraińską flagę. Mówiła też po ukraińsku.

Podziały między zwolennikami a przeciwnikami UPC nie są aż tak jednoznaczne, jak mogłoby się wydawać. Choć po stronie obrońców ławry przeważają albo sympatycy „rosyjskiego świata", albo ludzie, dla których prawosławie jest ważniejsze od podziałów narodowych i politycznych, to zdarzają się wśród nich również ukraińscy patrioci, którzy nie rozumieją oskarżeń ze strony Kijowa. „Nasi mnisi modlą się za naszych żołnierzy, za zwycięstwo nad Rosją!" – także takie opinie słychać ze strony wiernych.

Jeden z mnichów, zapytany przez reportera Ukraińskiej Prawdy o opinię na temat duchownych UPC, u których znaleziono paszporty Federacji Rosyjskiej i kremlowską propagandę, odpowiedział: „Ja mam na plebanii książki Gogola i Dostojewskiego. Nie będę ich palić. Ale trzymać paszporty FR podczas wojny z Rosją to już nie jest właściwe". „Wroga szukają, boją się iść na front, to wojują z batiuszkami" – komentował z kolei diakon Roman. Nie bał się wyrazić przed kamerą prorosyjskich poglądów: „Język ukraiński nie jest żadną podstawą do zjednoczenia. Tylko Bóg może jednoczyć ludzi. Naród ukraiński?! Jaki naród? A Chrystus to jakiej był narodowości?". Wśród obrońców ławry było wielu zawiedzionych wyborców Zełenskiego, który obiecywał, że nie będzie mieszał się do spraw wyznaniowych, a poza tym miał wizerunek polityka dążącego do porozumienia z Rosją.

Mnisi mają się wynieść z monasteru, a namiestnik ławry, metropolita wyszogrodzki i czarnobylski Paweł (przed

eprasa.pl e2030e6019

święceniami: Petro Łebid), dostał dwa miesiące aresztu domowego i nakaz noszenia bransoletki elektronicznej w związku z podejrzeniami o współpracę z Rosją. To bardzo barwna postać. Z powodu zamiłowania do drogich, luksusowych samochodów nazywany jest „Paszą Mercedesem". Kiedy w 2015 r. został zatrzymany za przekroczenie przepisów ruchu drogowego i policjant zażądał od jego prywatnego kierowcy okazania prawa jazdy, metropolita rzucił do funkcjonariusza, że może sprawdzić dokumenty tylko za jego pozwoleniem. Swoim mercedesem jeździł nawet po terenie ławry.

W 2012 r. rzucił się na dziennikarkę Ksenię Karpenko za to, że zapytała go o „luksusowe auta batiuszek". Zabrał jej telefon, którym nagrywała jego wypowiedź. Później twierdził, że „ta suka" ugryzła go w palec i kopnęła w nogę. Po tym, jak sprawa nabrała rozgłosu, wręczył kobiecie na przeprosiny czekoladę i oddał telefon, z którego jednak wcześniej wykasował nagrania swoich wypowiedzi.

Dziennikarzy zadających mu niewygodne pytania nazywał „chorymi psychicznie", groził im sądem Bożym. Gdy do ławry przyjechała ekipa telewizyjna, żeby nakręcić materiał o pożarze w jednym z budynków, mnisi na rozkaz swojego zwierzchnika mieli rzucić się na dziennikarzy i jednemu z nich zabrać telefon. Gdy reporter pogroził policją, Paweł miał (według wersji poszkodowanych) kazać swoim ludziom „walnąć go w głowę". Groził też dziennikarzowi anatemą.

Kiedy indziej przyznał publicznie, że spowiadał kiedyś znanego seryjnego zabójcę Anatolia Onoprijenkę, winnego śmierci 52 osób (podczas spowiedzi miał przyznać się do kolejnych czterech zabójstw). Onoprijenko chciał, by o. Paweł oddał go w ręce milicji, ale ten odmówił i odpuścił mu grzechy. W wywiadzie dla jednego z portali hierarcha się dziwił, dlaczego medycyna ratuje życie kalekom, którzy powinni umrzeć, skoro najwidoczniej Bóg karze ich za ciężkie grzechy, zmieniając ich w „warzywa". Skonfliktowany z pracownikami muzeum w ławrze życzył im śmierci, po czym chwalił się publicznie, że jego życzenie wobec części z nich się spełniło.

Był kijowskim radnym z ramienia prorosyjskiej Partii Regionów. Podczas rewolucji godności chwalił działania milicji pałującej demonstrantów, głośno zastanawiał się, ile płacą studentom za udział w protestach, a w czasie jednego z nabożeństw porównał prezydenta Janukowycza z Chrystusem. O Krymie mówił, że nigdy nie był ukraiński. Po tym, jak w marcu tego roku władze zadecydowały o nieprzedłużaniu umowy na dzierżawę ławry, Paweł groził Zełenskiemu: „Bóg tego nie wybaczy ani panu, ani pańskiej rodzinie!". Jak wynika z materiałów opublikowanych przez SBU, namiestnik ławry Peczerskiej w swoich rozmowach telefonicznych cieszył się ze zdobycia Chersonia przez Rosjan, mówił też o tym, że na Ukrainie trwa „wojna Ameryki z Rosją do ostatniego Ukraińca".

Podziały religijne na Ukrainie mają od zawsze charakter polityczny, a właściwie geopolityczny

CERKIEW MOSKIEWSKA CZY UKRAIŃSKA?

Postawa UPC MP wobec inwazji rosyjskiej nie była jednoznaczna. Metropolita kijowski i całej Ukrainy Onufry już 24 lutego wezwał Putina do zaprzestania agresji, wiernych zaś – do walki z najeźdźcą. W części parafii podczas modlitwy przestano modlić się za patriarchę moskiewskiego Cyryla, który poparł inwazję. Wśród nich nie było ławry – „Pasza Mercedes" wyrzucił z monasteru mnicha właśnie za to, że nie chciał wymówić imienia patriarchy. W maju 2022 r. Cerkiew przeprowadziła specjalny sobór, na którym zapowiedziała uniezależnienie się od Moskwy. Nie poszły za tym jednak żadne konkretne kroki.

UPC prawdopodobnie tylko pozoruje proukraińskie nastawienie. W listopadzie ubiegłego roku SBU przeprowadziła masową akcję kontrwywiadowczą wymierzoną w Cerkiew. Przeszukano 350 budynków cerkiewnych. Znaleziono w nich prokremlowskie materiały propagandowe, dokumenty potwierdzające obywatelstwo FR, instrukcje odprawiania nabożeństw w duchu prorosyjskim. W ciągu całego 2022 r. wszczęto 52 sprawy karne przeciwko duchownym UPC za zdradę stanu lub podżeganie do nienawiści na tle narodowościowym. Kijów traktuje Cerkiew związaną z Moskwą jako rosyjską agenturę wpływu.

POLITYKA OD ZAWSZE

Podziały religijne na Ukrainie mają od zawsze charakter polityczny, a właściwie geopolityczny. U schyłku ZSRS i tuż po jego rozpadzie nad Dnieprem powstały trzy osobne cerkwie. UPC wyodrębniła się jako autonomiczna część patriarchatu moskiewskiego (MP), odtworzonego przez Stalina w 1943 r. MP był od samego początku bezwzględnie podległy władzom świeckim i przesiąknięty agenturą sowiecką. Obok UPC pojawiły się niekanoniczne (nieuznawane przez patriarchów) Ukraińska Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna (UACP) oraz Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Kijowskiego (UPC KP). Oprócz tego w obrządku wschodnim funkcjonowała Ukraińska Cerkiew Greckokatolicka (podległa papieżowi). W 2018 r. UACP i UPC KP, razem z niewielką częścią duchownych UPC MP, zjednoczyły się, tworząc Cerkiew Prawosławną Ukrainy (PCU), która rok później została uznana za kanoniczną przez patriarchę Konstantynopola i otrzymała tomos, czyli autokefalię. Patriarcha kijowski niedługo potem się rozmyślił, cofnął swoje uznanie dla nowej struktury i odtworzył UPC KP. To jednak nie miało większego znaczenia, bo większość hierarchów i wiernych przeszła do PCU. Konstantynopol uznał jednocześnie za niekanoniczną UPC MP.

Oczywiście z tymi decyzjami nie pogodziła się Moskwa. W staraniach o tomos wielką rolę odegrał ówczesny prezydent Petro Poroszenko. Jego następca jeszcze jako komik tomos wyśmiewał. Obecnie, w warunkach wojny z Rosją, sam robi wiele, by wykończyć „moskiewskich popów" i wzmocnić pozycję niezależnej ukraińskiej Cerkwi. Takie są też nastroje sporej części społeczeństwa. UPC MP przed wojną liczyła 11,5 tys. parafii, a PCU – ok. 6 tys. Od lutego do grudnia 2022 r. z UPC MP do PCU przeszło ok. 600 wspólnot. W sierpniu 2022 r. z UPC MP identyfikowało się jedynie 4 proc. wiernych, z PCU – 54 proc. Jeśli UPC nie odetnie się od Moskwy, to tylko podbój Ukrainy przez Rosję uratuje ją przed zanikiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Brytyjska kontrrewolucja

Olivier Bault

Brytyjscy politycy chcą przeciwstawiać się zacieraniu różnic między kobietami i mężczyznami. Na razie tylko w deklaracjach

W Wielkiej Brytanii, kolebce zachodniej demokracji liberalnej, coraz częściej słychać głosy sprzeciwu wobec ekscesów ideologii gender, a szerzej – wobec pochodzącej zza oceanu ideologii „woke", której „gender" jest istotną częścią. Na fali tego protestu powstał nawet nowy kanał informacyjny, GB News, natychmiast przemianowany na „anti-woke", pozostający w kontrze do istniejących kanałów „woke" w BBC czy Sky News.

Zwolennicy kontrrewolucji zwierają również swoje szeregi wewnątrz rządzącej Partii Konserwatywnej, nawet jeśli słowo „konserwatywnej" należałoby wciąż ujmować w cudzysłów.

NARZUCONA IDEOLOGIA

Początkowo pojęcie „woke" (obudzony) odnosiło się przede wszystkim do działaczy walczących z rzekomo „strukturalnym" rasizmem białych w społeczeństwie amerykańskim. Stamtąd nowy trend ideologiczny rozprzestrzenił się i rozprzestrzenia nadal na inne społeczeństwa zachodnie (można by rzec: na peryferie amerykańskiego imperium), a w pierwszej kolejności na Wielką Brytanię, której, ze wszystkich krajów europejskich, najbliżej kulturowo do USA.

Dziś termin „woke" pojawia się w wielu zażartych dyskusjach i dysputach prowadzonych w mediach amerykańskich i brytyjskich i odnosi się do różnorakich aspektów ideologii promowanej, a często nawet narzuconej za pomocą narzędzi „cancel culture", czyli kultury społecznego „unieważniania" osób niepokornych, przez zwolenników dekonstrukcji wszystkiego. Wszystkiego, czyli wszystkich tradycyjnych wartości, a także, czy nawet przede wszystkim, tradycyjnego modelu rodziny i dualizmu mężczyzna – kobieta, co jest właśnie działką ideologii gender.

W Wielkiej Brytanii sprawy zaszły tak daleko, że nawet sprzyjająca torysom i homomałżeństwom (zaprowadzonym przez „konserwatywny" rząd Davida Camerona w 2014 r.) gazeta „The Telegraph" pisała w styczniu: „To nie społeczność transseksualna potrzebuje dodatkowych przepisów, ponieważ istnieją już przepisy mające na celu jej ochronę, ale dzieci i kobiety, na których życie wpływa wkraczanie polityki tożsamości do szkół i bezpiecznych przestrzeni. Największe skandale w tej dziedzinie nie dotyczyły bynajmniej szarlatanów podających się za terapeutów (prowadzących terapie konwersyjne, mające leczyć z homoseksualizmu), na istnienie których jest niewiele dowodów, ale z usługami związanymi z tożsamością płciową, świadczonymi np. przez klinikę Tavistock zarządzaną przez narodową służbę zdrowia NHS. Jeśli ministrowie chcą wprowadzić zabezpieczenia prawne, to powinny one chronić przed promowaniem potencjalnie szkodliwych praktyk zmiany płci". Podkreślmy, że było to stanowisko redakcji gazety, podane jako „Telegraph View", a nie prywatna opinia jednego redaktora. Prawicowy dziennik zareagował w ten sposób na wieść o tym, że rząd Rishiego Sunaka zamierza rozszerzać zakaz tzw. terapii konwersyjnych na kwestie „transgenderyzmu".

Dział kliniki Tavistock zajmujący się tak zwaną tożsamością płciową został w ubiegłym roku zamknięty przez NHS po tym, jak wykazano liczne ideologicznie umotywowane nadużycia, do których dochodziło w nim na przestrzeni lat. Wykryto m.in., że duża część dzieci, którym podawano terapie „zmiany płci" powodujące nieodwracalne skutki, wykazywała oznaki autyzmu, a te były ignorowane w momencie skierowania do kliniki i postawienia diagnozy tzw. dysforii płciowej – zaburzenia tożsamości płciowej. Była to jedyna tego rodzaju klinika w Anglii, ale podobna wciąż działa w Szkocji, w mieście Glasgow. Tam najmłodsi pacjenci, którym przepisano produkty blokujące proces dojrzewania płciowego jako pierwszy etap procedury zmiany płci „przypisanej przy urodzeniu" na płeć „odczuwaną", mieli tylko dziewięć lat. Działalność i tej kliniki jest dziś kwestionowana.

POTĘPIANE „TERFY"

Szkocja wychodzi właśnie z okresu ponad ośmiu lat rządów Nicoli Sturgeon. W tym okresie szkocka partia narodowa SNP pod jej przewodnictwem ostro skręciła w lewo. Wydaje się, że podobnie jak u separatystów, np. w hiszpańskiej Katalonii, postulat dekonstrukcji kraju musiał w końcu iść w parze z dekonstrukcją wszystkiego w duchu ideologii „woke", na czele z postulatami lobby „LGBTIQA+", a zwłaszcza jego części kryjącej się

eprasa.pl e2030e6019

pod literą „T", czyli transseksualistów. Choć partia SNP jest dziś podzielona na ten temat i właśnie sobie uświadamia, jak bardzo Nicola Sturgeon zaszkodziła sprawie niepodległości Szkocji, o którą walczy SNP, narzucając najbardziej radykalną formę ideologii gender.

Jeszcze niedawno na zdjęciu z protestu transseksualistów można było zobaczyć uśmiechnięte posłanki SNP, stojące przed osobnikiem płci nieokreślonej z własnoręcznie wykonanym bannerem w ręku, a na znaku tym widniał rysunek gilotyny i apel, aby „ściąć głowę terfom". Po angielsku „terf" to skrót od „trans exclusionary radical feminist", czyli „radykalna feministka wykluczająca osoby trans". Takim „terfem" w oczach zwolenników ideologii gender i działaczy lobby transseksualistów i transgenderowców jest np. J.K. Rowling, autorka powieści o Harrym Potterze. Rowling dostaje liczne groźby śmierci od rozhisteryzowanych działaczy tego lobby za to, że nie chce uznawać „transkobiet" za kobiety, zwłaszcza w świetle ochrony praw kobiet. Czym zawiniła Rowling? Na przykład na zapowiedź szkockiej policji z 2021 r., że będzie rejestrowała jako „gwałcicielki" gwałcicieli wyposażonych we wszelkie atrybuty męskości, jeśli przyznają się oni do płci żeńskiej, pisarka napisała złośliwie na Twitterze, parafrazując Orwella: „Wojna to pokój. Wolność to niewola. Ignorancja to siła. Osobnik z penisem, który cię zgwałcił, to kobieta".

Jak ujawnił w czerwcu ubiegłego roku „The Telegraph", w szkockiej administracji rządowej zorganizowano nawet specjalne szkolenia, podczas których urzędnicy dowiadywali się, że kobiety „krytycznie nastawione do genderu", czyli „terfy", „nienawidzą wszystkich osób trans" i cechują się „niezdrową fascynacją dziećmi trans". Uczyli się też, że płeć biologiczna to „fałsz" wymyślony przez medycynę, aby „wzmocnić białą supremację i opresję płciową".

PRZECIW ZACIERANIU RÓŻNIC

Władze Szkocji chciały pójść jeszcze dalej, co wreszcie oburzyło na tyle opinię publiczną, że pierwsza minister Nicola Sturgeon musiała w końcu odejść w niesławie z rządu w połowie lutego.

Sturgeon osłabiły po pierwsze podziały w SNP oraz wewnątrz samego rządu w Edynburgu, w związku z forsowaną w ubiegłym roku przez szkocki parlament ustawą „trans", na mocy której „zmiana" płci w dokumentach miała być możliwa bez zgody rodziców i bez diagnozy lekarskiej już od 16. roku życia.

Rządy Nicoli Sturgeon w Szkocji pogrzebało forsowanie ustawy „trans"
FOT. JEFF J MITCHELL/GETTY IMAGES

Drugi cios wyprowadził rząd Zjednoczonego Królestwa w Londynie, gdy postanowił skorzystać ze swoich uprawnień, aby zablokować tę ustawę w imieniu ochrony obowiązujących w całym kraju, a więc także w Szkocji, ustaw równościowych i praw kobiet. Gdyż – jak to powiedział nawet jeden z posłów SNP, sprzeciwiających się pomysłom pani Sturgeon – ustawa „zaciera różnice między kobietami i mężczyznami", a „jeśli staje się mniej jasne, kto jest mężczyzną, a kto kobietą, to prawie nieuniknione jest, że trudniej będzie zapewniać kobietom równe wynagrodzenie. [...] Trudniej będzie zapewniać kobietom dostęp do bezpiecznych przestrzeni, w tym do więzień, gdzie mogą być w miarę pewne, że nie będzie tam mężczyzn".

Sturgeon dokonała właśnie publicznego harakiri, upierając się, że pewien seryjny gwałciciel, który postanowił po fakcie „samoidentyfikować się" jako kobieta, ma prawo odsiedzieć zasądzoną karę wieloletniego więzienia w placówce dla kobiet. Taka jest logika całej ideologii gender: „transkobieta" jest nie mniej kobietą niż „ciskobieta", czyli taka, której ze względu na fizyczne cechy „przypisano" płeć żeńską przy urodzeniu, a tej płci nigdy się nie wyrzekła. Dla wielu Szkotów, w tym dla wielu polityków SNP, jest to jednak trudne do przełknięcia, tym bardziej że wraz z notowaniami dla SNP w dół poleciało poparcie dla niepodległości Szkocji.

Tymczasem wybory wewnątrzpartyjne na nowego szefa SNP i – co za tym idzie – na premiera Szkocji, wygrał polityk pakistańskiego pochodzenia Humza Yousaf. Sprawując ten urząd od 29 marca, afiszuje się zarówno jako prak-

eprasa.pl e2030e6019

tykujący muzułmanin i bezkompleksowy progresista, jak i kontynuator polityki Sturgeon w sferze obyczajowej. Jego oponentka zebrała jednak aż 48 proc. głosów i sondaże pokazują, że jest bardziej od niego popularna w szkockim elektoracie, choć to chrześcijańska konserwatystka, której nie podobają się homomałżeństwa i aborcja.

To, że Londyn zablokował ustawę „trans" przegłosowaną w Edynburgu głosami szkockich separatystów, zielonych i Partii Pracy, nie oznacza jednak, że brytyjska Partia Konserwatywna stała się nagle znowu konserwatywna. Choć dział tzw. tożsamości płciowej kliniki Tavistock zakończył działalność, to dzieciom rzekomo cierpiącym na zaburzenie tożsamości płciowej wciąż „pomaga się" również w Anglii wchodzić na drogę „zmiany płci" i skłania się je do afirmacji orientacji homoseksualnej, jeśli takową wykazują choćby w najmniejszym stopniu.

Na dodatek w styczniu minister odpowiedzialny za relacje z parlamentem, Penny Mordaunt, która jako członek tzw. gabinetu jest ważną postacią w rządzie Jego Królewskiej Mości, wystosowała publiczny apel do Kościoła anglikańskiego, aby zaczął celebrować śluby kościelne dla par homoseksualnych. Ponoć Szkocki Kościół Episkopalny i Kościół Szkocji już na to przystały, „Kościół Walii planuje to zrobić wkrótce", a pani minister, jako unionistka, chciałaby, aby było tak samo w całym Zjednoczonym Królestwie. Ostatecznie synod Kościoła Anglii zgodził się tylko na udzielanie kościelnego błogosławieństwa po cywilnym zawarciu małżeństwa przez dwie osoby tej samej płci.

Inną ważną kwestią, która stała się przedmiotem dyskusji na lutowym synodzie, było to, czy nie należałoby mówić o Bogu inaczej niż w rodzaju męskim, a krótko przed synodem medialną karierę zrobił pierwszy ksiądz „niebinarny" i „gender-queer" Kościoła Anglii. Jest to Bingo Allison – facet w mocnym makijażu, z dużymi piersiami, chodzący w damskich ciuchach i w koloratce. Prosi, żeby w stosunku do niego używano zaimka osobowego trzeciej osoby liczby mnogiej „they", który ma tę zaletę w języku angielskim, że nie określa płci. Już tylko nieco ponad 1 proc. Anglików chodzi do Kościoła anglikańskiego, więc może nie warto się tymi ekscesami zajmować.

KRES PRANIA MÓZGÓW?

Gdy latem ubiegłego roku trwała walka o przywództwo Partii Konserwatywnej, a więc także o objęcie sterów brytyjskiego rządu, obecny premier grzmiał, że „bzdury woke" „przeniknęły do życia publicznego", i obiecywał „położyć kres praniu mózgu" oraz „obronić brytyjskie wolności". Zapowiedział również zmianę ustawy o równości tak, aby zachować słowa związane z płcią, takie jak „kobieta" czy „matka", i zapewniać, że samoidentyfikacja płciowa nie będzie miała skutków prawnych.

Były minister finansów Borisa Johnsona zapewnił też, że sprzeciwi się obecności „transkobiet" w kobiecych zawodach sportowych oraz że obejmie ochroną usługi przeznaczone tylko dla kobiet. Chciał również, aby jego przyszły rząd wydał surowsze wytyczne dotyczące edukacji seksualnej w szkołach, by chronić dzieci „przed nieodpowiednimi materiałami".

Pod koniec marca premier Sunak zlecił stworzenie komisji, która ma wydawać zalecenia w sprawie ochrony uczniów przed nieodpowiednimi materiałami na zajęciach edukacji seksualnej „oraz przed nauczaniem kontrowersyjnych i potencjalnie szkodliwych koncepcji". Mowa tu o teorii gender. Reakcja premiera bierze się po części z tego, że minister oświaty Gillian Keegan nie podejmowała działań mimo protestów rodziców przeciw nauczaniu ideologicznych treści forsowanych przez lobby LGBT. Obecnie stosowane wytyczne z 2019 r. w zakresie edukacji seksualnej zostały opracowane po konsultacjach z główną organizacją lobby transseksualistów Stonewall (w sprawie której toczy się śledztwo dotyczące dystrybucji bez wiedzy rodziców bielizny do spłaszczania piersi nieletnim dziewczynom chcącym udawać chłopców).

Konserwatyści zapewniali m.in., że sprzeciwią się obecności „transkobiet" w kobiecych zawodach

Z drugiej jednak strony słynne RAF wydało właśnie polecenie, aby w szkołach pozwalać kadetom na wybór munduru odpowiadającego płci, z którą się identyfikują. Sporządzono też instrukcję, jak postępować na ćwiczeniach fizycznych z „transchłopcami" noszącymi „spłaszczaki", co wywołało niemałe oburzenie w szeregach torysów.

Także w marcu lokalne władze Partii Konserwatywnej zawiesiły w prawach członka 81-letnią radną miejscowości Braintree w hrabstwie Essex za to, że odważyła się napisać na swoim Facebooku: „Ja nie chcę seksualnych flag Marszu Dumy wzdłuż mojej ulicy. Nie chcę też heteroseksualnych flag wzdłuż mojej ulicy. Seks jest domeną sypialni i życia prywatnego, a nie do publicznego manifestowania swoich preferencji".

Co za podła homotransfobiczna opinia! „Terf", nie człowiek!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

Marmury Elgina i inne skarby niezgody

Teresa Stylińska

Gdyby Wielka Brytania zgodziła się zwrócić Grecji fryz z Partenonu, znany pod nazwą „marmury Elgina", rząd Kyriakosa Mitsotakisa miałby wyborcze zwycięstwo w kieszeni. Odzyskanie rzeźb z czasów Peryklesa, wywiezionych z Akropolu ponad 200 lat temu, obchodzi bowiem każdego Greka

Starożytność, skarby antyku i demokracja ateńska to dla Greków przedmiot wielkiej dumy i źródło niespecjalnie skrywanego poczucia wyższości wobec innych narodów, których przodkowie żyli w puszczach i lepiankach w czasie, gdy w Grecji rozkwitała kultura i kształtowały się podstawy rozumienia państwa i polityki. Pamięć przeszłej wielkości zawsze znakomicie rekompensowała Grekom trudności, z którymi przez stulecia musieli się zmagać, włącznie z niedawnym kryzysem finansowym, nie mówiąc o rozwianych nadziejach na powstanie Wielkiej Grecji po pierwszej wojnie światowej czy o dyktaturze pułkowników z lat 1967–1974.

Wybory do parlamentu odbędą się 21 maja, premier Mitsotakis ma więc jeszcze trochę czasu na przekonanie Brytyjczyków. To zadanie traktuje jak misję najwyższej wagi i nie zostawia go w rękach ministrów. Jeżeli wierzyć doniesieniom, Mitsotakis w sekrecie spotykał się w rezydencji greckiego ambasadora w Londynie z George'em Osborne'em, przewodniczącym zarządu British Museum, w którego zbiorach znajdują się marmury. Nie jest też pierwszym greckim przywódcą, który angażuje się osobiście. Przed laty podsłuchano, jak premier Kostas Simitis podczas jednego z unijnych spotkań zaklinał Tony'ego Blaira, premiera Wielkiej Brytanii, sięgając po argument największego kalibru: – Tony, zwróćcie nam marmury, przecież pan wie, że mam wybory!

Od doniesień o rozmowach już krok tylko do nadziei, że porozumienie jest tuż-tuż. Problem w tym, że premier Rishi Sunak bez wahania je rozwiał. W połowie marca, pytany przez dziennikarzy, którzy towarzyszyli mu w drodze na szczyt AUKUS w San Diego, wykluczył oddanie marmurów, podkreślając, że zbiory British Museum są chronione przez prawo. – Naszymi skarbami – powiedział – dzielimy się ze światem. A świat do nas przyjeżdża, aby je oglądać.

FIRMANU NIKT NIE WIDZIAŁ

Jest rok 1801. Thomas Bruce, siódmy lord Elgin, ambasador brytyjski w imperium osmańskim, przyjeżdża do Aten – prowincjonalnej, zapyziałej mieściny, o której znakomitej przeszłości przypomina tylko nazwa i parę imponujących zabytków. Wśród nich te najwspanialsze: świątynie na Akropolu, najważniejszym z ateńskich wzgórz. Grecja od XV w. jest pod rządami Turków, lord Elgin zabiega więc o zgodę władz w Konstantynopolu (ta nazwa była oficjalnie w użyciu aż do lat 30. XX w.) na wycięcie i wywiezienie antycznych rzeźb. I taką zgodę na piśmie – czyli firman – od Wysokiej Porty otrzymuje.

To jeden z koronnych argumentów strony brytyjskiej, która podkreśla, że fryz z Partenonu i inne rzeźby z Akropolu zostały wywiezione za zgodą osmańskich władz w pełni legalnie, o żadnym rabunku nie może więc być mowy. Grecy utrzymują bowiem, że Wielka Brytania nie ma prawa do marmurów, bo weszła w ich posiadanie w sposób bezprawny. Nie ma namacalnego dowodu, że lord Elgin firman otrzymał. W posiadaniu British Museum jest tylko włoskie tłumaczenie tego dokumentu. Oryginału – jeśli w ogóle istniał – nikt nie widział.

Lord Elgin, potomek starego arystokratycznego rodu, zamierzał umieścić przywiezione rzeźby w rodzinnej siedzibie w Szkocji. Zabrnął jednak w długi i potrzebował pieniędzy, więc zaoferował marmury brytyjskiemu rządowi, który w 1816 r. je kupił, a następnie przekazał niedawno powstałemu wówczas British Museum. Od tego parlament uzależnił

eprasa.pl e2030e6019

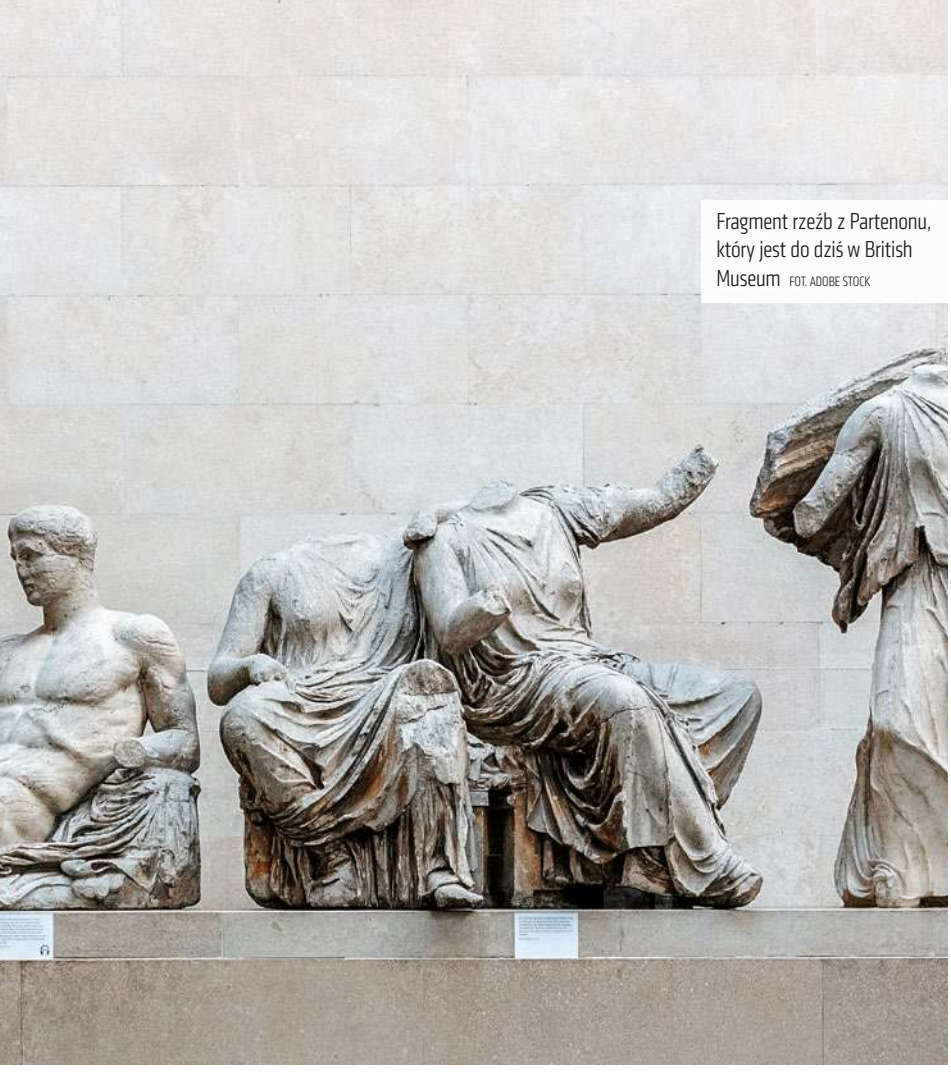

Fragment rzeźb z Partenonu, który jest do dziś w British Museum FOT. ADOBE STOCK

zgodę na zakup. Rok później marmury – przez lata nazywane „marmurami Elgina", ostatnio jednak coraz częściej „marmurami z Partenonu" – zaprezentowano publicznie.

Dla rzeźb z Partenonu przeznaczono w British Museum stałą galerię i jest to kolejny punkt argumentacji Brytyjczyków: w Londynie – w domyśle: w centrum świata – obejrzy je o wiele więcej ludzi niż w Grecji. Grecja jest wprawdzie magnesem dla turystów, większość z nich jednak przyjeżdża tam dla słońca, morza i plaż.

Rzeźby, których lord Elgin nie wywiózł, z Akropolu oczywiście zabrano, bo tam, narażone na opady i zanieczyszczenia, stopniowo by niszczały. Na Akropolu trudno zresztą o komfort zwiedzania. W ubiegłym roku, według oficjalnych danych, świątynne wzgórze odwiedzało aż 16 tys. osób dziennie! To efekt modernizacji – niedopuszczalnej, zdaniem wielu specjalistów – która miała zwiększyć, i faktycznie zwiększyła, jego dostępność. Taką masę ludzi na Akropolu trudno sobie nawet wyobrazić, skoro przed zmianami, przy 2 tys. osób dziennie, i tak było tam tłoczno ponad miarę.

U SIEBIE TYLKO W ATENACH

W wojnie na argumenty żadnej ze stron nie można odmówić racji. Brytyjczycy podkreślają, że w British Museum greckie marmury stają się elementem kultury świata. Można i należy dostrzegać w nich jedno z wielu ogniw w historii rozwoju cywilizacji. W przebogatych zbiorach londyńskiego muzeum są bowiem eksponaty z całego świata, całej światowej kultury, całej historii.

W Atenach takiego kontekstu naturalnie nie ma. Jest tylko świat greckiego antyku. Tylko czy może aż? Przecież – podkreślają Grecy – to właśnie w Atenach narodziły się cywilizacja i sztuka europejska, która u samego zarania znalazła tak doskonały wyraz w wyrzeźbionej przez Fidiasza opowieści o zmaganiach bogów i ludzi. Marmury z Partenonu tylko w Atenach są u siebie, tam, gdzie być powinny, i to jest właściwy kontekst, nieporównywalny z żadnym innym.

Ateńskie Muzeum Akropolu jest wyjątkowe: położone u stóp wzgórza, całe oszklone, tak by z każdego niemal miejsca widać było sylwetkę Partenonu. To tworzy między nimi wręcz namacalną więź. Najwyższą – to oczywiste – kondygnację muzealną zajmuje Partenon. Nie jest to długa galeria, jak w British Museum, lecz świątynia odtworzona w proporcji 1:1, z fryzem w pewnym sensie kompletnym – bo oryginalne marmurowe rzeźby przeniesione tu z Partenonu przeplatają się z gipsowymi kopiami fragmentów wywiezionych do Anglii. Dzięki temu widz ma szansę zobaczyć, jak wyglądała całość, a przy okazji dostrzec, jak wielkie są ubytki. Trudno nawet powiedzieć, czym kierowali się ludzie lorda Elgina i on sam, wybierając ten czy inny fragment do wycięcia. A wycięli aż 80 m, zaledwie 50 m pozostawiając na miejscu.

Widać zarazem, jak wielka jest determinacja Greków. Stworzyli znakomite, nowoczesne muzeum, wyposażone we wszelkie urządzenia techniczne zapewniające zbiorom pełne bezpieczeństwo, aby odeprzeć kolejny, wcale przy tym niebłahy argument Brytyjczyków: że w Atenach, z braku odpowiednich warunków, rzeźby będą niszczały. Stare Muzeum Archeologiczne z pewnością nie było odpowiednim miejscem. Za to inny brytyjski argument znalazł potwierdzenie: podczas gdy Muzeum Akropolu odwiedza 1,3 mln ludzi rocznie, przez sale British Museum przewija się aż 6 mln osób.

MARMURY W PODRÓŻY?

Starania o odzyskanie marmurów z Partenonu to leitmotiv w kontaktach Grecji z Wielką Brytanią. Władze greckie po raz pierwszy podniosły kwestię ich restytucji już w 1835 r., zaledwie pięć lat po wyzwoleniu spod władzy Osmanów i powstaniu państwa greckiego. W 1983 r. rząd z inicjatywy minister kultury Meliny Mercouri formalnie wystąpił o zwrot marmurów i od tej chwili powracał do tego regularnie, również w ramach UNESCO. Wszystkie te zabiegi niczego nie dały. Nie pomogło nawet ograniczenie oczekiwań, bo Grecja zabiega już tylko o rzeźby z Partenonu – z innych skarbów wywiezionych przez

eprasa.pl e2030e6019

Grecy chcieliby, aby elementy z Akropolu wróciły do ojczyzny FOT. ADOBE STOCK

Elgina gotowa jest zrezygnować. Nigdy zresztą nie domagała się od Francji ani Wenus z Milo, ani Nike z Samotraki.

Według informacji, które wydobyli od uczestników rozmów dziennikarze w Londynie i Atenach, propozycje będące punktem wyjścia w obecnych rozmowach mówią o zwróceniu, nazwijmy to, częściowym. Nie chodzi bynajmniej o podzielenie fryzu na dwie części – jedną dla Aten, drugą dla British Museum, bo coś takiego nie wchodzi w grę. Jeden z wariantów mówi, że marmury wystawiane byłyby na zmianę – raz tu, raz tam. Trochę trudno wyobrazić sobie peregrynacje rzeźb między Londynem i Atenami, bo nastręczałoby to mnóstwo problemów, od groźby powstania uszkodzeń do kwestii ubezpieczeniowych. Inny wariant to propozycja, by marmury na stałe wróciły do Aten, w zamian za co Grecja zobowiązałaby się do wysyłania na wystawy antycznych skarbów, nigdy dotąd niepokazywanych za granicą.

Problemem numer jeden jest jednak kwestia własności. To prawdziwa bariera, dla obu stron nie do pokonania. Marmury, w myśl przepisów zawartych w ustawie o British Museum, to element zbiorów, które stanowią jego niepodzielną własność. Od tej strony, według znawców tematu, niczego się zmienić nie da. A zatem Grecja, by móc choćby marmury wypożyczyć, musiałaby uznać prawo własności British Museum. Tego zaś żaden grecki rząd nie odważy się zrobić.

Ktoś, kto zdołałby przekonać Brytyjczyków do zwrócenia marmurów, stałby się w Grecji bohaterem narodowym, a może nawet świętym za życia. Z tych samych powodów polityk, który śmiałby zlekceważyć greckie prawo do marmurów, byłby skazany na wieczną infamię. Jeżeli ktoś w to wątpi, to powinien przypomnieć sobie, jak długo Grecy oswajali się z myślą, że Macedonia może mieć słowo „Macedonia" w nazwie. Przez blisko 30 lat protestowali na ulicach, a manifestacje gromadziły nawet milion ludzi. Za sprawą nazwy kryły się bowiem – niezrozumiałe dla wielu narodów, a dla Greków fundamentalne – kwestie historii i dziedzictwa narodowego. Uznanie Macedonii niejeden Grek do dzisiaj uważa za zdradę narodową.

CZASEM ŁUPY, CZASEM DARY

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że wielkie muzea świata zachodniego, poza galeriami malarstwa, stoją tym, co dotarło do nich z odległych – tylko geograficznie lub, częściej, również kulturowo – krain, nierzadko dawnych kolonii. Muzealne eksponaty trafiały do Londynu, Paryża czy Berlina w następstwie dokonanej grabieży, czasami były wywożone za zgodą miejscowych władz, bywały kupowane bądź otrzymywane w prezencie. Zgromadzone w ten sposób kolekcje są w posiadaniu nie tylko najważniejszych muzeów, takich jak Luwr czy Muzeum Pergamońskie, lecz także placówek mniej znanych. Oksfordzkie muzeum Pitt Rivers, założone przez antropologa Augustusa Pitta Riversa, ma np. bogatą kolekcję sztuki afrykańskiej i w ogóle egzotycznej – w sumie aż 600 tys. eksponatów.

Na tym polu jednak spór o marmury Elgina stał się wręcz ikoniczny. Również dlatego, że do wyobraźni szerokiej publiczności przemawiają one o wiele mocniej niż artefakty z Afryki czy dalekiej Azji. Ateny, Akropol, Partenon – to kwintesencja cywilizacji europejskiej. Trudno to – przy całym szacunku dla innych kultur – powiedzieć choćby o brązach z Beninu, pod koniec XIX w. zrabowanych przez oddziały brytyjskie na terenie Nigerii. Ostatnio londyńskie muzeum Horniman, idąc w ślady kilku placówek w USA i Niemczech, przekazało Nigerii posiadane brązy. British Museum, związane przepisami, zrobić tego nie może.

Konflikt o marmury nie jest jedyny, ale też każda sprawa jest inna. Objęcie stanowiska premiera przez Rishiego Sunaka zwróciło uwagę na diament Koh-i-Noor, brytyjski klejnot koronny. Czy premier hinduskiego pochodzenia może w tej sprawie wykazać ustępliwość? To raczej ciekawostka niż poważna sprawa, bo gdyby nawet Indie zapragnęły diament odzyskać, szansa na powodzenie byłaby żadna. Koh-i-Noor to prezent od maharadży Lahore dla królowej Wiktorii, do Wielkiej Brytanii zatem trafił w pełni legalnie. Dziennik „Times of India", który sprawie poświęcił uwagę, otwarcie przyznał, że nie ma tu na co liczyć.

STRACIĆ HISTORIĘ ŚWIATA

British Museum nie jest także jedynym posiadaczem marmurów z Akropolu. Niewielkie ich fragmenty ma w swoich zbiorach aż osiem muzeów europejskich. W marcu Muzeum Watykańskie – właściciel trzech – zadeklarowało, że przekaże je Grecji. W wymiarze praktycznym to krok niewielki, może jednak natchnąć nowym zapałem organizacje, które w wielu krajach – a w Wielkiej Brytanii przede wszystkim – działają na rzecz zwrócenia marmurów. Zaplecze ich stanowi grecka diaspora, angażują się jednak również ludzie kultury. Co ciekawe, mówią nowym językiem – już nie o restytucji, lecz o „połączeniu" (reunification) marmurów: tych z Aten i tych, które od nich oderwano. Również na muzealnym polu duch nowomowy daje o sobie znać.

Dla muzeów może najważniejsze jest co innego: zwrócenie marmurów Elgina stanowiłoby groźny precedens. „Cała zawartość naszych muzeów – jak powiedziała brytyjska minister kultury Michelle Donelan – znalazłaby sie pod znakiem zapytania". Cóż by pozostało, gdyby muzea musiały oddać posągi greckich bogów, zapisany hieroglifami kamień z Rosetty, mumie faraonów, egipskie papirusy, głowę Nefretete, ołtarz z Pergamonu, babilońską bramę Isztar, głowy posągów z Wyspy Wielkanocnej, brązy z Beninu – słowem, stracić historię świata? Któż by przyszedł do ogołoconych z eksponatów muzealnych sal?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e2030e6019

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Premier jednak woli spalinówki?

Na moje polecenie minister Anna Moskwa zagłosowała przeciw zakazowi sprzedaży nowych samochodów spalinowych po 2035 r." – oznajmił we wtorek 28 marca 2023 r. na Twitterze, informując o głosowaniu na szczycie UE, premier Morawiecki. Oznajmił – wnosząc z tonu wpisu – z nieukrywaną satysfakcją.

W tej sytuacji pewnie nie od rzeczy byłoby podjęcie próby ustalenia, kto i z czyjego upoważnienia niecałe dwa lata wcześniej – w imieniu rządu RP – podpisał się pod deklaracją COP26, przewidującą – w ramach tego porozumienia – obranie przez Polskę kursu na zaniechanie rejestrowania spalinowych aut osobowych i małych dostawczych – przez wszystkie państwa (a więc i nasze) najpóźniej do roku 2040, a przez wybrane państwa rozwinięte już do roku 2035. I to w sytuacji, gdy pod tą samą deklaracją nie podpisali się reprezentanci rządów m.in. USA, Chin i Niemiec. Dobrze byłoby wyjaśnić, czy ów przedstawiciel polskiego rządu miał do tego upoważnienie Rady Ministrów, której prezesem był wówczas nie kto inny, jak Mateusz Morawiecki, czy działał na własną rękę i teraz z tego powodu powinien się liczyć z koniecznością co najmniej wytłumaczenia, jak do tego doszło.

Wyświetlenia dopraszałaby się zapewne również kwestia innych umów, podpisanych w ostatnich latach w imieniu naszego kraju, które zawierają zapisy nakazujące władzom Polski utrudnianie życia kierowcom aut spalinowych – poprzez nakładanie na nich specjalnych, wysokich i progresywnych podatków, mających zniechęcać do używania pojazdów z takimi silnikami. A więc przyjęcia w imieniu Polski zobowiązania zmuszającego władze naszego państwa do wprowadzania w życie przepisów, które narażałyby na duże straty miliony obywateli Polski, poruszających się autami spalinowymi. Kto składał podpisy pod tymi dokumentami – w tym pod zawierającym podobne zapisy porozumieniem o tzw. kamieniach milowych, związanym z Krajowym Planem Odbudowy – czyje miał do tego pełnomocnictwo, a jeśli żadnego nie miał, to jak doszło do ich podpisania?

Wyjaśnienie tych niejasności wydaje się szczególnie ważne zwłaszcza teraz – w obliczu ostatnich, jakże jasnych deklaracji szefa polskiego rządu Mateusza Morawieckiego, który nie dość, że okazuje się nie być żadnym wielkim orędownikiem elektromobilności, to jeszcze zdaje się być wprost zadeklarowanym miłośnikiem właśnie aut spalinowych – wbrew wszystkim złym językom, które od lat przypisują mu np. rzekome autorstwo planu, według którego w 2025 r. po Polsce miałoby jeździć aż milion autek na baterie. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wygrana (prawie) bitwa o gotówkę

Osiem tysięcy złotych – tyle od stycznia przyszłego roku miał wynosić limit płatności gotówką dla prowadzących działalność gospodarczą. Dla osób prywatnych miało to być 20 tys. zł – a dotąd osoby fizyczne takiemu limitowi nie podlegały. O zagrożeniach, jakie to niesie ze sobą eliminowanie gotówki z obiegu gospodarczego, pisałem niedawno na łamach „Do Rzeczy". Uzasadnienia takich posunięć są zawsze te same i takie też były w Polsce: jest to rzekomo potrzebne do walki z praniem brudnych pieniędzy oraz z szarą strefą. Tyle że – pisałem w swoim tekście – nikt nie przedstawił dowodów, że to posunięcia faktyczne niezbędne. Bo przecież ograniczenia i tak już istnieją. Limit transakcji gotówką między podmiotami gospodarczymi wynosi obecnie 15 tys. zł.

Odchodzenie od fizycznego pieniądza leży w interesie banków i wielkich korporacji

Plany znaczącego ograniczenia transakcji gotówkowych zostały zapisane w Polskim Ładzie, a obowiązywać miały już od tego roku, tyle że udało się je odsunąć w czasie. Teraz się okazuje, że może w ogóle uda się je odrzucić. Jak to się powiada – presja ma sens. Grupa posłów PiS i Solidarnej Polski przedstawiła projekt ustawy o wolności posługiwania się w naszym kraju gotówką. Jego przyjęcie oznaczałoby skasowanie planów wprowadzania dalszych limitów. Projekt zyskał podobno poparcie Jarosława Kaczyńskiego, a to oznacza, że ma dużą szansę zmienić się w prawo.

Nie będzie to jednak oznaczało, że w przyszłości naciski na to, aby rezygnować z gotówki, nie będą się zdarzały. Odejście od fizycznego pieniądza leży przecież w interesie banków i wielkich korporacji. Możemy mieć zatem w Polsce małe zwycięstwo i wygraną bitwę, ale nie jest to wygrana wojna. Zwłaszcza że odchodzenie od gotówki w kierunku walut całkowicie cyfrowych jest w planie różnych instytucji i wielu państw. Tego typu ruch jest też w strategii europejskiej.

Jak zwykle przy tego typu sprawach w tle jest wolność wyboru. Na co dzień można się posługiwać bezgotówkowymi formami płatności – dla ogromnej części ludzi jest to po prostu wygodniejsze. Jednak zawsze powinna istnieć możliwość sięgnięcia po pieniądz fizyczny. ©℗

eprasa.pl e2030e6019

Protest rolników w Szczecinie 23 marca 2023 r. FOT. ANDRZEJ SZKOCKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Ze Szczepanem Wójcikiem, prezesem Instytutu Gospodarki Rolnej *rozmawia Karol Gac*

Polska nie jest chłopcem do bicia dla brukselskich biurokratów

KAROL GAC: Nastroje na polskiej wsi chyba nie są najlepsze?

SZCZEPAN WÓJCIK: To prawda. Ciężko jest opanować emocje, ale to zrozumiałe. Podzielam oceny większości rolników. Trzeba szybkich działań, a to oznacza, że na liderach rolniczych i przedstawicielach rządu ciąży jeszcze większa odpowiedzialność.

Chodzi o kwestie zboża z Ukrainy?

Nie tylko, ale obecnie w kraju to jeden z najbardziej palących problemów. Mieliśmy pomagać Ukrainie eksportować zboże, a sytuacja wymknęła się spod kontroli – tanie ziarno zalało kraj i zdestabilizowało nasz rynek. Nagle rolnicy zostali z pełnymi spichlerzami zboża bez możliwości żadnego ruchu.

Komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski poinformował o pomocy dla trzech krajów najbardziej dotkniętych nadmiarowym importem zboża z Ukrainy, tj. dla Polski, Rumunii i Bułgarii. Z kolei premier obiecał 2 mld zł na „zabranie części zboża z silosów zbożowych, żeby rolnicy mieli pełne przekonanie i szansę, że zboże będą mogli sprzedać po przyzwoitej cenie". To wystarczające kroki?

Dobrze, że komisarz stara się trzymać rękę na pulsie, ale nie tak powinno się to odbywać. Najpierw Unia wpędza nas w potężne kłopoty swoimi nieprzemyślanymi decyzjami, a teraz za pomocą naszych pieniędzy będzie zasypywała dziury, które przed chwilą sama wykopała. Zboże z Ukrainy było wcześniej zakontraktowane i miało trafić głownie do krajów Afryki, a znalazło się w silosach całej Europy – pamiętajmy, że to nie jest tylko polski problem. Unia wpędziła nas w te kłopoty, niech teraz ta sama Unia płaci odszkodowania – szkoda, że z naszych pieniędzy. Polska nie jest chłopcem do bicia dla brukselskich biurokratów. Niestety, ale to tylko wierzchołek góry lodowej.

W połowie marca w Holandii rolnicy protestowali przeciwko rządowej polityce ograniczania do 2030 r. emisji zanieczyszczeń, głównie tlenku azotu i amoniaku. W niektórych regionach, gdzie rolnictwo jest szczególnie intensywnie uprawiane, normy azotu będą znacznie bardziej ograniczone, nawet do 95 proc. Był pan na protestach w Hadze jako jedyny przedstawiciel z Polski. Dlaczego to ważna sprawa?

Zostałem zaproszony do udziału w tych potężnych manifestacjach przez organizatorów, ponieważ już od pewnego czasu działamy dla rolnictwa na poziomie europejskim w ramach platformy zjednoczonego europejskiego rolnictwa EUnitedAgri, która została zainicjowana w Polsce. Wszyscy mówiliśmy na scenie w tym samym duchu, bo mamy identyczne problemy, a to potwierdza tylko nasze przypuszczenia i analizy. A dlaczego jest to tak ważna sprawa? Bo dotyczy przesunięcia wektorów całej unijnej polityki. To, co obserwujemy od pewnego czasu na Zachodzie, przyjdzie do nas prędzej, niż się spodziewamy. Kto wie, może już po październikowych wyborach? Powinniśmy być na to gotowi.

Co ma pan na myśli?

Budowanie „nowego lepszego świata" kosztem bezpieczeństwa żywnościowego Europy. Myślałem, że to szaleństwo zakończy się wraz z wybuchem wojny i agresją Rosji na Ukrainę, ale – jak widać – ci ludzie są kompletnie oderwani od rzeczywistości. Po doświadczeniach zerwania łańcuchów dostaw w czasie pandemii, trwającej od ponad roku wojny, nadal forsowane są ideologie, które osłabiają

eprasa.pl e2030e6019

potencjał produkcyjny w rolnictwie. To są realne zagrożenia, które przyjdą do Polski w niedługim czasie w postaci dyrektyw, obostrzeń i zakazów. Dziś państwa Zachodu są poligonem doświadczalnym, ale – jak widać – ludzie zaczęli stawiać opór, bo protesty trwają w większości krajów. I słusznie.

Co takiego się dzieje w poszczególnych krajach UE, że rolnicy wychodzą na ulice?

W Holandii trwają próby ograniczenia rolnictwa o połowę i pomysł ten dotyczył zarówno upraw roślinnych, jak i hodowli zwierząt. Politycy chcą zakazać używania rolnikom ziemi do celów produkcyjnych. W Niemczech zakazuje się drastycznie możliwości stosowania środków ochrony roślin, co w znaczący sposób wpłynie na zbiory. Włochów i Hiszpanów wykańczają kolejne obostrzenia „służące ochronie klimatu", sprawiając, że produkcja staje się nieopłacalna. We Francji rolnicy zablokowali w lutym centrum Paryża z tego samego powodu, a na Litwie rolnicy wylewają mleko na pola. Mógłbym długo opowiadać.

Rolnicy w całej Unii przebudzają się i zaczynają wyrażać swój sprzeciw wobec nowej wizji świata suflowanej z Brukseli. W Instytucie Gospodarki Rolnej zrozumieliśmy to niebezpieczeństwo ponad trzy lata temu i zaczęliśmy działać na tym międzynarodowym, unijnym kierunku, tworząc platformę EUnitedAgri. Rozmawiamy o tym zarówno za granicą, jak i w Polsce, gdzie już kilkukrotnie mieliśmy okazję gościć delegacje rolników z innych krajów. Ostatnio w toruńskiej Akademii Kultury Społecznej i Medialnej, podczas organizowanego przez nas Forum Dla Wsi, które zgromadziło 600 rolników z Polski i reprezentacje z kilku krajów UE, rozmawialiśmy o tym, jak zatrzymać szkodliwe działania biurokratów.

Wyczuwam w pana tonie dużą złość, a także determinację.

Ciężko jest przejść spokojnie wobec szaleństwa ekologizmu, który co jakiś czas odbija się echem również w Polsce. W naszym interesie, w interesie Europy, przede wszystkim w kontekście ostatnich doświadczeń, również tych wojennych, jest podjęcie wysiłku zabezpieczenia najważniejszych elementów związanych z naszym bezpieczeństwem. Mamy zdefiniowane trzy podstawowe filary bezpieczeństwa: obronność, energetyka i zdolność do produkcji żywności. Każdy z nich stał się celem Putina. Zaatakowano niepodległy kraj militarnie, szantażowano nas energetycznie, zablokowane zostały porty, aby nie można było eksportować żywności, minowano pola, strzelano do rolników... I mając w głowie ten niebezpieczny obraz, ktoś w Brukseli myśli, jak jeszcze dokręcić śrubę w sektorze produkcji żywności? To czyste szaleństwo!

Efekty tych działań już widać. Ceny warzyw i owoców są niezwykle wysokie w całej UE. W Holandii można kupić tylko dwie papryki. W Niemczech klienci skarżą się na ceny ogórków, a w Hiszpanii rolnicy patrolują pola, by uchronić je przed złodziejami. Na Słowacji głośno jest zaś o „kryzysie cebulowym".

I karuzela się kręci. Najpierw tworzymy problemy, aby następnie, bohatersko, w świetle kamer, można było stawiać im czoła. Ostrzegaliśmy przed tym już w marcu ub.r. Być może tak musi być, aby społeczeństwo zrozumiało, że stabilna produkcja rolna jest również w ich interesie. Rolnicy odpowiadają za bezpieczeństwo żywnościowe, a to sprawa ważna dla każdego z nas. Liczę, że wraz ze wzrostem cen przyjdzie otrzeźwienie. To ważny sygnał dla polskich polityków, którzy muszą w końcu otworzyć się na rolników i jak najszybciej zacząć szeroką współpracę w zakresie bezpieczeństwa żywnościowego. W przeciwnym razie jaki mamy mieć na rolnictwo plan? Spędzić całe życie na protestowaniu, blokowaniu dróg, przejść granicznych, torów? Z tego dobrobyt się nie bierze. Powinniśmy czerpać z doświadczeń Zachodu, który właśnie przechodzi ogromny test, dlatego tam jeździmy, obserwujemy i uczymy się.

Co więc proponuje prezes Instytutu Gospodarki Rolnej?

Skuteczność. Rozumiem emocje i w pełni je podzielam. Nasze rodzinne gospodarstwa też znajdują się w tej samej sytuacji, a zajmujemy się również skupowaniem zboża od rolników z całej okolicy. Nie chodzi jednak o to, żeby dać upust swoim emocjom, tylko wyjaśnić rządowi, jaki mamy problem, wskazać rozwiązanie i je wprowadzić. Polepszenie sytuacji nastąpi, gdy uda się problem rozwiązać – a to najlepiej zrobić skutecznie i szybko. Naszego kraju protesty jeszcze nie zalały, więc mamy jeszcze czas. Nie chodzi przecież o protest dla protestu, chociaż większość rolników chce jego przeprowadzenia.

Nie mają zaufania do rządu?

Jest ono wystawione na wielką próbę i niestety stało się to na własne życzenie. Mówiliśmy, że próby manipulowania przy gospodarce rolnej i jej ideologizacja zakończą się utratą zaufania. Winę za to ponoszą ludzie, którzy jakiś czas temu przynieśli słynną „piątkę dla zwierząt" na biurka najważniejszych ludzi w kraju. Dziś części z nich nie ma już w polityce, a PiS ma potężny problem. Dlatego uważam, że nie wystarczy już tylko rozwiązanie podstawowych problemów – potrzebne są inne kroki. Nazwałbym je gestami dobrej woli.

To znaczy?

Jeżeli rząd faktycznie traktuje rolnictwo poważnie i rolnicy znów mają zdobyć się na zaufanie, to powinniśmy mieć wpływ na to, jak ma wyglądać nasz sektor – to nie tylko kwestia bezpieczeństwa żywnościowego kraju, nie tylko pieniądze z eksportu produktów rolno-spożywczych, lecz także nasze życie.

Okrągły stół?

Nie do końca. To nie jest czas na debatowanie, ale działanie. Uważam, że jeden lub dwóch wiceministrów rolnictwa powinno być wskazywanych przez środowisko rolnicze. Chcemy mieć swojego przedstawiciela w resorcie. Uważam, że jest to osiągalne.

Tego chyba jeszcze nikt nie proponował.

I dobrze. Świeże pomysły są najlepsze. Uważam, że władza, która zdecyduje się na to, aby wprowadzić do resortu przedstawiciela rolników niezwiązanego z politycznym nadaniem, będzie mogła liczyć na zaufanie potężnego wiejskiego środowiska. My nie wypadliśmy sroce spod ogona. Jeżeli ktoś zarzuca rolnikom, że są roszczeniowi, to to będzie taki mały gamechanger. Rolnicy nie boją się brania odpowiedzialności. Jesteśmy na to gotowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Szczepan Wójcik *– przedsiębiorca i jeden z liderów polskiego rolnictwa, prezes i założyciel Instytutu Gospodarki Rolnej oraz Europejskiej Platformy Rolnictwa EUnitedAgri.*

eprasa.pl e2030e6019

ŠKODA FABIA MONTE CARLO – BARDZO ZADZIORNA CZESZKA

Biała Škoda Fabia na lewym pasie nie powinna nikogo dziwić. Powszechnie wiadomo bowiem, że akurat ten model jest nie tylko typowym autem przedstawicieli handlowych, lecz także – jak mówią miejskie legendy – to najszybsze auto handlowców, którzy codziennie mkną w nich ulicami miast i wsi.

Fabię można zamawiać nawet w wersji z silnikiem 1,5 TSI o mocy 150 KM i automatyczną skrzynią biegów DSG. Wówczas za praktyczne, miejskie autko nawiązujące do najlepszych rajdowych tradycji czeskiej marki, w najbogatszej wersji wyposażenia, trzeba zapłacić ponad 100 tys. zł. Po dodaniu wszystkich smartbajerów, trójramiennej sportowej, podgrzewanej kierownicy oraz panoramicznego dachu z podgrzewaną szybą przednią cena tej małej zgrabnej Czeszki rośnie do ponad 120 tys.

Do testów wziąłem więc nieco skromniejszy silnik 1.0 TSI, w którym ukrytych jest 110 KM, co pozwala zaoszczędzić grubo ponad 10 tys. zł, a po rezygnacji z automatycznej skrzyni i różnych pakietów dodatkowych umożliwia kupno nowiutkiego, szybkiego i praktycznego auta za ok. 90 tys. zł w wersji z wyrazistymi zderzakami, czarnymi akcentami nadwozia po bokach i szpanerskimi plakietkami „Monte Carlo" (to właśnie podczas Rajdu Monte Carlo w 1936 r. Škoda po raz pierwszy wzbudziła sensację w motoryzacyjnym świecie). Chociaż mechanicznych koników pod maską było w testowym aucie mniej niż w najdroższej wersji, to i tak jazda lekką, kompaktową fabią z sześciobiegową manualną skrzynią biegów sprawiała nawet frajdę. Od zera do setki auto przyspiesza w 9,9 s. Nie jest to więc rasowy hot-hatch, ale wstydu nie ma i pobawić się można. Nawet na trasach szybkiego ruchu auto daje okazję do sprawdzenia, kto ma – i jakie – kompleksy w wypasionych limuzynach na lewym pasie (dynamicznie można przyspieszać do 140 km/h). Deklarowane przez producenta średnie zużycie paliwa wynosi 5,1 l/100 km. W naszym teście w prawdziwych warunkach drogowych taki rezultat był do osiągnięcia tylko na drogach poza miastem (i to nie na szybkich trasach). Średnio w mieście, na autostradzie i na trasie wyszło 6,2 l/100 km.

Czesi twierdzą, że choć to małe i wciąż stosunkowo tanie auto, to w najważniejszych kwestiach nie poszli na kompromisy. Fabia w testach zderzeniowych Euro NCAP otrzymała więc komplet pięciu gwiazdek. Można też dokupić pakiet Safety zawierający m.in. poduszkę kolanową dla kierowcy oraz kurtyny powietrzne i boczne poduszki z przodu i z tyłu lub elektroniczne pakiety zwiększające bezpieczeństwo jazdy.

Wnętrze jest już nieźle wygłuszone i zaskakująco przestronne. Oczywiście pięciu rosłych chłopów do Portugalii nim nie pojedzie, ale dwóch z przodu i dwóch z tyłu da radę wybrać się nawet w dłuższą podróż. Sportowe fotele są wygodne i dobrze podtrzymują ciało na zakrętach, a kufer ma pojemność 380 l. Jeśli więc chce się kupić kompaktowe praktyczne auto, które fajnie wygląda i nie kosztuje fortuny, to ta wersja Fabii jest warta rozważenia.

HUAWEI WATCH ULTIMATE

Piękne wzornictwo, świetna bateria, wiele funkcji dla miłośników sportowych aktywności, tryb ekspedycyjny z wyjątkowo dokładnym GPS oraz możliwość nurkowania do głębokości 100 m (norma wodoodporności ISO 22810) – to największe zalety najbardziej zaawansowanego i najdroższego smartwatcha chińskiego producenta.

To nie jest po prostu kolejny zegarek. Ten model to pokaz możliwości technologicznych Huawei, który konsekwentnie walczy o miano jednego z najważniejszych graczy na rynku inteligentnych zegarków. Zarówno wzornictwo, jak i jakość wykonania oraz zastosowane materiały są tu na najwyższym poziomie.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

Pod odporną na zarysowania szafirową tarczą znajduje się przepiękny ekran LTPO AMOLED o wielkości 1,5 cala, rozdzielczości 466 x 466 pikseli i adaptacyjnym odświeżaniem od 1 do 60 Hz. Bezel jest nanoceramiczny, a koperta wykonana z płynnego metalu na bazie cyrkonu, który według producenta jest ponad cztery razy bardziej wytrzymały i ponad dwa razy twardszy od tytanu. Z kolei design z jednej strony nawiązuje do klasycznych luksusowych zegarków (dzięki czemu ten smartwatch bez wstydu można założyć do spinek i smokingu), a z drugiej strony ma w sobie sportowy pazur (pasuje również do płetw i kąpielówek).

Miłośnicy nurkowania docenią to, że z zegarkiem można nie tylko zejść pod wodę na głębokość aż 100 m, lecz także używać go jako typowego komputera nurkowego, który na bieżąco wskazuje dokładną głębokość czy temperaturę wody, a także – dzięki kompasowi – ułatwia podwodną nawigację. Dla miłośników ultramaratonów, i nie tylko, Huawei przygotował specjalny tryb ekspedycyjny, który ułatwia powrót do punktu wyjścia nawet z bardzo dalekich wypraw. Oprócz tego jest tu też całe mnóstwo typowych trybów treningowych, są narzędzia diagnostyczne, takie jak możliwość pomiaru tętna, ocena jakości snu, wykrywanie sztywności tętnic, pomiar EKG, określenie progu mleczanowego etc. Przez zegarek można też prowadzić rozmowy telefoniczne. Można nim również płacić zbliżeniowo (ma moduł NFC).

Wady? W tej klasie oczywiście nie ma ich wiele. Kobiety mogą narzekać na duży rozmiar tego smartwatcha. Obie płcie stwierdzą zapewne, że to bardzo drogi gadżet. Najtańsza wersja Huawei Watch Ultimate Expedition (kolor czarny) kosztuje 3299 zł. Srebrna wersja z tytanową bransoletą, czyli model Ultimate Voyage, to już wydatek rzędu 4199 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl e2030e6019

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kula dla szwedzkiego „Śledzia”

JACEK KOMUDA

Bitwa pod Tczewem 17 i 18 sierpnia 1627 r. w trakcie wojny o ujście Wisły omal nie skończyła się porażką wojsk polskich. Dopomogły jednak szczęśliwy traf i brawura szwedzkiego króla Gustawa Adolfa, zwanego w Polsce „Śledziem”. Celem Szwedów, którzy wylądowali tutaj rok wcześniej, było zdobycie Gdańska, przez który przechodził prawie cały eksport zboża z Korony Polskiej. Dlatego Gustaw zdecydował się przeprawić na lewy brzeg Wisły pod Tczewem, który wcześniej opanował.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. QBA

Drogę zagrodził mu pod miastem hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski, każąc rozbić obóz pod dzisiejszym Lubiszewem Tczewskim, po zachodniej stronie błot i jezior, które i dzisiaj rozciągają się pod miastem. Bitwa, która została tutaj stoczona, do dziś budzi kontrowersje. Liczni historycy uważali, że było to starcie, w którym jazda szwedzka pokonała husarię w otwartym boju. Jak jednak pokazuje najnowsza monografia bitwy pióra Kuby Pokojskiego, był to mit stworzony m.in. przez biografa Gustawa Adolfa Michaela Robertsa.

W rzeczywistości bitwa składała się z wielu podstępów i manewrów. Król Szwecji nie chciał bowiem stawać do otwartej bitwy w polu i zamierzał wciągnąć armię Koniecpolskiego w zasadzkę. Najpierw pod osłoną harcowników wyprowadził z obozu pod Tczewem własną jazdę, a kiedy Polacy przeprawili się na wschodnią stronę błot przez dwie groble i odpędzili szwedzkich harcerzy, niespodziewanie wycofał główne siły do obozu. Koniecpolski ruszył za nim z jazdą, ale zatrzymał się w polu. Rozpoznał bowiem plan Gustawa Adolfa polegający na tym, aby sprowokować przeciwnika do wykonania uderzenia na ufortyfikowane szańce w obozie, w którego czasie jazda znalazłaby się pod ostrzałem muszkietów i dział. Teraz z kolei hetman usiłował wywabić przeciwnika, wysyłając własnych harcowników. Doszło więc do sytuacji, w której mająca prawie czterokrotną przewagę armia szwedzka schroniła się pod osłoną fortyfikacji polowych przed polską jazdą, nie chcąc ryzykować starcia w otwartym polu. Jednocześnie przeprawiona przez błota piechota zaczęła sypać szańce pod Rokitkami i Suchostrzygami.

Po dwóch godzinach bezskutecznego oczekiwania Stanisław Koniecpolski zarządził odwrót jazdy na drugą stronę rozlewisk. I wówczas, kiedy po ich wschodniej stronie znajdowało się tylko sześć polskich chorągwi, Szwedzi niespodziewanie zaatakowali, próbując wpędzić husarzy i kozaków w błota. To właśnie uderzenie przyjmowane było przez autorów zachodnich za uwieńczoną sukcesem szarżę kirasjerów i rajtarów. Tymczasem szczegółowa analiza źródeł podana przez Kubę Pokojskiego pokazuje, że w rzeczywistości to właśnie jazda polska zaszarżowała na przeważającego liczebnie nieprzyjaciela i przełamała jego szyki, zmuszając go do ucieczki! Jednak w pogoni Polacy rozluźnili szyki i zostali zatrzymani przez szarżę szwadronu kirasjerów Erica Soopa, który tym samym dał czas pozostałym szwadronom szwedzkim na zebranie się i ponowne włączenie do boju. Mając przewagę sześć do jednego, Szwedzi zmusili naszą jazdę do odwrotu. Wówczas wspomógł ją hetman i znalazł się w niebezpieczeństwie, ponieważ zraniono pod nim konia, który później dostał się w ręce wrogów. Jak pisał w liście: „Jam mało z Gustawem wieczerzy nie jadł”. Na pomoc zaatakowanym ruszyły kolejne chorągwie polskie, w tym pułk Marcina Kazanowskiego, Szwedzi zostali też odparci ogniem piechoty broniącej szańców. Starcie to miało miejsce koło dzisiejszej stacji kolejowej Rokitki Tczewskie.

W nocy Koniecpolski nakazał umocnić dwa szańce – pod Rokitkami i Suchostrzygami, obsadzić je dragonią i zatoczyć działa, spodziewając się, że Gustaw Adolf będzie próbował zdobyć przeprawy i osaczyć obóz polski. Mając pokruszone kopie husarii po walkach 17 sierpnia, zdecydował się na stoczenie bitwy obronnej. Sytuacja była jednak niewesoła, bo Szwedzi zaczęli ostrzeliwać obóz polski, powodując zamieszanie i panikę. Jednocześnie nacierali na szańce, gdzie doszło do zaciekłych walk piechoty. Na szczęście dragoni i roty hajduków, którzy przyszli im na pomoc, stawiali tak silny opór, że Gustaw Adolf, aby rozpoznać sytuację, zbliżył się do polskich szańców pod Rokitkami, mniej więcej w miejscu, gdzie dziś ulica Kasztanowa przekracza Kanał Młynówka. Wtedy został trafiony z arkabuza przez hajduka z roty księcia Koreckiego z oddziału Samuela Nadolskiego – najpierw zabito pod nim konia, kolejna kula trafiła szwedzkiego króla na dwa palce od szyi, w mięsień na prawym barku. Władca przekazał dowodzenie Johanowi Banerowi, ten jednak wkrótce także otrzymał postrzał. Gustawa Adolfa mdlejącego z rany zniesiono z pola bitwy, Gdańsk został uratowany. ©℗

eprasa.pl e2030e6019

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Pieczona szynka

Na przedświątecznym spotkaniu Klubu Dyplomaty szef kuchni, Jarosław Uściński, zaserwował gościom ogromną pieczoną szynkę. Skórkę miała rumianą, ponacinaną w krateczkę, do której gdzieniegdzie przywarły rozmaryn i zioła. Sama zaś – choć ogromna – była mięciutka, pełna soku, tłuszczyku i smaku. Mistrz najpierw marynował ją przez kilka dni, a potem piekł przez 11 godzin. Zniknęła do ostatniego kawałeczka.

Taka szynka bez wątpienia mogłaby się znaleźć – i pewnie w niejednym domu się znalazła – na świątecznym stole, ale przyda się też po świętach. Zwłaszcza że przed nami sezon wycieczek bliższych i dalszych, a wiadomo, że w podróży nic tak bardzo nie smakuje jak kanapki własnej roboty. Staramy się unikać wędlin przemysłowych, wychodząc z założenia, że lepiej upiec dobry kawałek schabu i wiedzieć, co w nim jest, niż próbować wymyślnych wędlin, które kuszą głównie nazwami, bo smak często mają podobny. Chyba że są naprawdę z dobrego źródła.

W każdym razie plastry szynki domowej roboty doskonale komponują się ze świeżym chlebem z masłem i stanowią wspaniały posiłek, gdy przemierzamy górskie szlaki lub wędrujemy po sobie tylko znanych ścieżkach. Dobrze jest od czasu do czasu przygotować taką domową wędlinę.

Jarosław nie chciał zdradzać sekretu wielkiej szynki. Udało nam się jednak wyciągnąć od niego kilka szczegółów dotyczących przygotowywania tego dania.

Podajemy więc także inny przepis i mamy nadzieję, że wykorzystacie go nieraz podczas nadchodzącego sezonu wyjazdów i majówek.

Przepis na wielką szynkę od Jarka (bez niektórych sekretów mistrza)

Mięso zanurzyć w 6-procentowym roztworze soli z dodatkiem ziół. Powinno przebywać w chłodzie kilka dni. Następnie mięso wyjąć, ponacinać skórkę i piec w temperaturze ok. 100 st. C, podlewać mieszaniną piwa, rosołu i masła co pół godziny. Należy sprawdzać, czy jest już miękkie, ponieważ czas pieczenia zależy od wielkości mięsa.

Przepis od Magdaleny na aromatyczną rozpływającą się w ustach szynkę wolno pieczoną

• szynka wieprzowa, najlepiej tzw. kulka 1,3–1,5 kg

Marynata:

• 4–6 łyżek oliwy • 2 łyżki musztardy • 2 łyżki octu winegret • 2 łyżki keczupu • 1 łyżka soli • ½ łyżki pieprzu • 1 łyżka sosu sojowego • 1 łyżka czosnku granulowanego • po 1 łyżce lubczyku i majeranku, świeży rozmaryn • 2 duże łyżki oleju rzepakowego

Marynatę wymieszać i nasmarować nią mięso z każdej ze stron, wstawić do lodówki na min. 16 godzin. Po tym czasie wyjąć i obsmażyć na oleju z każdej strony. Piekarnik nastawić na 150 st. C, mięso przełożyć do naczynia lub rękawa (my polecamy rękaw), piec min. 4 godziny w szczelnie zamkniętym naczyniu. Można nakryć naczynie folią aluminiową, aby zachować soki. Po tym czasie szynkę wyjąć. Podawać na zimno lub gorąco. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Samolot do Londynu

Jeszcze nie tak bardzo dawno temu bilet lotniczy kupowało się w biurze linii lotniczych. Oprócz LOT można było polecieć Air Francem, BA, Lufthansą, SASem i, o ile się nie mylę, Panamem, który istniał jeszcze w latach 80. Teraz też można z nimi lecieć, a do tego jeszcze 105 liniami, ale o stacjonarnym biurze zapomnij. Wszystko on-line.

Nie chcąc płacić 2 tys. zł za lot do Sztokholmu, wybrałam tzw. tanie linie lotnicze. Myślę, że operacja kupowania biletu nadawałaby się do kabaretu i nic nie trzeba by było dodawać. W zasadzie nie ma rzeczy, którą pobrawszy za bilet, tanie linie gwarantują, z doleceniem do miejsca docelowego włącznie. Wszystko jest niepewne, nawet jeśli wybrało się podróż bez żadnych atrybutów: z pustymi rękami, bez zarezerwowanego miejsca, bez jedzenia i picia (o tym dawno zapomnieliśmy). I tak przez cały czas trwania operacji rezerwacji kwota do zapłacenia będzie rosła, aż urośnie co najmniej dwukrotnie w stosunku do tego, co było na początku. Jeśli już uda ci się wejść do samolotu, to bądź wdzięczny, jeśli znajdziesz miejsce siedzące. Na razie. Bo nie ręczę, że ten luksus się utrzyma, zważywszy, jak bardzo wzrosły koszty latania.

Jakiś czas temu telewizja pokazała cykl starych spektakli teatru Kobra. W latach 60. pół Polski zasiadało przed telewizorami, aby w czwartkowy wieczór obejrzeć sensacyjno-kryminalną historyjkę nakręconą według jakiejś powieści. Trafiłam na czarującą ramotkę pt. „Samolot do Londynu" z połowy lat 60. Historia jest taka: na pokładzie samolotu lecącego z Johannesburga do Londynu zostaje zamordowany handlowiec kopalni diamentów. Śledztwo podejmuje znajdujący się na pokładzie ekspert Scotland Yardu. Morderca znajduje się wśród pasażerów. Czy uda się go zdemaskować? Nie odpowiem, na wypadek gdyby ktoś chciał to jeszcze obejrzeć.

FOT. TVP

Najciekawszy jest początek spektaklu. Pasażerowie, których jest nie więcej niż 20, siedzą w salonie przed odlotem. Eleganckie panie, panowie w garniturach częstują się cygarami. Przybywa stewardesa: wszyscy się witają, stewardesa częstuje szampanem…

Oczywiście to bzdurna bajeczka. Jednak przypomniała mi czasy dzieciństwa, kiedy, jak ktoś poleciał samolotem, to była sensacja, o której mówiło się w towarzystwie. Luksusowa rozrywka, jakby dzisiaj pojechać najnowszym Orient Expressem. Chętnie bym się wybrała, swoją drogą. ©℗

eprasa.pl e2030e6019

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Chorzy na nieszczepienie

WHO wprowadziła nową jednostkę chorobową. W międzynarodowej klasyfikacji chorób ICD-10 pojawiła się nowa choroba: niemanie szczepionki. Na razie sama zasada. Taki ruch pokazuje dowodnie, w co gramy w światowym systemie zdrowia, który – moim zdaniem, a sam nie jestem – chodzi na pasku Big Pharmy, w obroży chińskiej, dodajmy. Medycyna rozwinęła się już tak bardzo, że ciężko znaleźć człowieka zdrowego. A więc mnoży się chorych, nawet na choroby bezobjawowe (taki np. COVID), nawet się wymyśla nowe choroby, bo tego coraz częściej szuka się w laboratoriach, gdzie uzłośliwia się poczciwe wirusy, tak jak w Wuhan, gdzie ponoć, jak utrzymuje FBI, produkowano nieistniejące wirusy. Takie podejście skazuje na zapomnienie wszelką profilaktykę, bo nie masz człeka bez grzechu przed Bogiem i zdrowego przed Big Pharmą (i jej seszelowymi zagończykami w kitlach). Doszliśmy już do ściany, skoro brak poddania się (wątpliwej) terapii uznany jest za jednostkę chorobową.

Bo popatrzmy na podwarianty „jednostki". Z28.0 – szczepienie niewykonane z powodu przeciwskazań, Z28.1 – szczepienie niewykonane z powodu odmowy pacjenta z przyczyn religijnych lub nacisku środowiskowego. Pochylmy się z troską nad samą kwestią. To jak to jest (będzie/było)? Się nie szczepisz i musisz (?) zeznać, z jakiego powodu tego nie robisz? Komu? Panience ze strzykawką? Policjantowi na wycieraczce twego domu? Kto to odnotowuje? Kto może się w ogóle pytać o przyczyny twojej decyzji o poddaniu się lub nie określonej terapii? A jak nie powiesz, dlaczego się nie szczepisz, to co? Dostaniesz burę? A może areszt? Grzywnę? Klapsa?

Najfajniejszy jest wariant Z28.1. Zrównuje bowiem przyczyny religijne z „naciskiem środowiskowym". No… cudo. Tu chyba chodzi o to, że „naciskający" antyszczepionkowcy są zrównani z jakąś religią. To bardzo ciekawe, bo takiej nie ma, za to na bank istnieje – ginąca niestety (na szczęście?) – religia zero COVID, czyli przekonanie, że trzeba ponieść wszelkie ofiary, by pozbyć się nowego rodzaju przeziębienia.

Tak że jeżeli państwo w swych dokumentach od lekarza zobaczą jakieś Z28, to będą państwo wiedzieli, że system zdiagnozował u was dobrze pojętą zdolność do podejmowania autonomicznych decyzji. Wcześniej system (w Polsce) posługiwał się tajnym systemem znakowania nieszczepów pacjentów, z jakimiś kropkami czy znaczkami w dokumentacji. Ale to nie przechodziło elektronicznie w bazach danych. Teraz będą państwo chorzy na nieszczepienie. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Raz około Wielkiejnocy…

Pamiętam tę formułkę jeszcze z lekcji katechezy, a dotyczy ona wymogu przystąpienia przynajmniej raz w roku do spowiedzi. Ponieważ jesteśmy w oktawie Zmartwychwstania Pańskiego, mamy okazję – uderzmy się w piersi, wyznając, że nie dorastamy do tego, czego uczył nas i do czego wzywał św. Jan Paweł. Po opublikowaniu materiałów mających na celu skompromitowanie naszego papieża byliśmy świadkami najróżniejszych, często buńczucznych apeli deklarujących obronę czci Jana Pawła. Wśród osób, które szczególnie zabiegały, by w tym kontekście zostać zauważonym, sporą grupę stanowili politycy obecnej większości parlamentarnej. Przyznam, że miałem bardzo mieszane uczucia. Werbalne zapewnienia o wierności Ojcu Świętemu często rozmijały się drastycznie z tym, co wiemy o tym, jak żyją owi obrońcy.

Ponieważ mam świadomość własnej niedoskonałości, licznych upadków i wstydliwych momentów w biografii, nie odważę się personalnie rozliczać kogokolwiek. Nie oznacza to jednak, by nie przyjrzeć się polityce rządzącej partii, na ile zgodna była z nauczaniem Jana Pawła II. Nie chodzi tu o postulowany program, lecz o fakty. Ramy kolumny nie pozwolą wyliczyć mi wszystkich decyzji i zaniechań Zjednoczonej Prawicy od momentu objęcia władzy. Skupię się tylko na trzech elementach. Pierwszy to oczywiście opóźnianie potwierdzenia prawa do życia dzieci podejrzewanych w łonie matki o upośledzenie. Choć od października 2020 r. mamy wreszcie orzeczenie TK, to jednak ociąganie się pięć lat z rozstrzygnięciem kosztowało życie wymierną liczbę nienarodzonych.

Drugą kwestią jest konwencja stambulska. Chrześcijańskie i konserwatywne środowiska wielokrotnie wzywały, by wypowiedzieć ten ideologiczny, wymierzony w prawo naturalne i porządek społeczny dokument, ale rządzący, tak chętnie teraz grający kartą wierności Janowi Pawłowi II, nie chcieli o tym słyszeć. W efekcie konwencja radykalnie wroga chrześcijańskiej antropologii obowiązuje, co jest miną z tykającym zapłonem podłożoną pod społeczny ład, etykę i edukację.

Trzecim problemem jest przyjęcie i wdrożenie restrykcji covidowych. Zamykanie kościołów i przychodni, brak kapelanów na oddziałach, pacjenci umierający bez posługi kapłana, zapędzenie dzieci na długie miesiące przed komputery – tego nie wymaże jakaś jedna uchwała w obronie czci świętego papieża Polaka. Tym, co jednak obecną większość parlamentarną obciąża najbardziej, jest brak reakcji, gdy widać było możliwe do przewidzenia tragiczne skutki tzw. walki z pandemią. Do tej pory nikt z obrońców Jana Pawła II nie zdał sobie z tego sprawy i nie przeprosił. ©℗

eprasa.pl e2030e6019

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wizyta Roberta z Krzyśkiem

Kosmiczne szaleństwo. Stop. NASA podała, że za dwa lata ludzie drugi raz polecą na Księżyc. Stop. Po raz pierwszy w historii po Srebrnym Globie chodzić ma kobieta, Christina Koch. Stop. Z daleko idącym zażenowaniem i stanowczym potępieniem przytaczam komentarz mojego znajomego, mizogina rozwodnika: „Na Księżyc? Jedną? Za mało". Stop.

Niemiecka wpływowa gazeta „Die Tageszeitung" zamieściła wstrząsający tekst w kontekście św. Jana Pawła II: „Wierni w Polsce będą musieli zmierzyć się z prawdą". Stop. Niemcy, jak oni o nas nieustannie przez wieki się martwią! Stop. Specjaliści od sumień i komór. Stop.

Sanna Marin, fińska premierka, znana z tego, że niedawno odwiedził ją Robert Biedroń z Krzysztofem Śmiszkiem, przegrała w wyborach parlamentarnych. Stop. Nie sugeruję, że dlatego przegrała, ale po wizycie Robert z Krzyśkiem ogłosili światu, że Finlandia będzie płacić za aborcje Polek, co okazało się informacją, o której sama Marin nie wiedziała, ale musiała się z tego tłumaczyć, co jej raczej w wyborach nie pomogło. Stop. Była owa Marin postrzegana jako młodzieżowa i bardzo naprawdę fajna. Stop. Nie wiem, czemu przypomniał mi się teraz Ignacy Krasicki „Wół minister": „Kiedy wół był ministrem i rządził rozsądnie/ Szły, prawda, rzeczy z wolna, ale szły porządnie/ Jednostajność na koniec monarchę znudziła/ Dał miejsce woła małpie lew, bo go bawiła/ Dwór był kontent, kontenci poddani – z początku/ Ustała wkrótce radość – nie było porządku/ Pan się śmiał, śmiał minister, płakał lud ubogi". Stop.

Od kiedy okazało się, że Konfederacja ma szanse na ponad 10 proc. w wyborach, zupełnym przypadkiem Sławomir Mentzen musi się liczyć z huraganową krytyką mediów. Stop. Koleś, który z powodzeniem prowadzi kancelarię podatkową i robi kilka innych interesów, pokazywany jest jako kompletny ignorant i arogant. Stop. Takie działania mediów mają swoją nazwę. Stop. Kontrskuteczne. Stop.

Polska zamarła. Stop. Czy Kinga Rusin ustosunkuje się czy też nie? Stop. Lis udzielił bowiem wywiadu, z którego wynika, że przez siedem lat małżeństwa z Kingą Rusin musiał jeść obiady w stołówce. Stop. Stara sprawdzona prawda: Nie interesują się nami? To może wypierzemy publicznie jakieś prywatne brudy? Stop. Działa.

Janusz Piechociński poinformował na Twitterze: „Ponad dwadzieścia jeden godzin trwała akcja gaszenia elektrycznego mercedesa w Tuchomiu na Kaszubach. By schłodzić baterie auta, samochód trzeba było umieścić w kontenerze napełnionym wodą". Stop. W sumie fajne te elektryki, ekologiczne, a i za źródło ciepła mogą na zimę robić. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Koniu robi za Guru

Małgośka, mówią mi, za ile sprzedają się obecnej władzy felietoniści prawicy? Ja wciąż haruję na jeden autograf od Prezesa – odpowiadam zupełnie serio mojemu rozmówcy. Kiedyś historia medycyny będzie musiała opisać tę zbiorową obsesję połowy Polski na punkcie braci Kaczyńskich i wtedy naprawdę miło będzie mieć w podsiadaniu podpis choćby jednego z nich. Wystarczy spojrzeć na Twittera Giertycha, by przekonać się, że bajki z dzieciństwa nie kłamały: czasem ten Mały potrafi wykańczać Wielkiego, i to bez użycia czarów, nadludzkich mocy czy hollywoodzkich trików. Ot, po prostu wykańcza go psychicznie, robiąc zwyczajny wdech-wydech na fotelu prezesa partii, która bezczelnie zwyciężyła w demokratycznych wyborach. A to dla niektórych Polaków i dla mecenasa o słabych nerwach zbyt wiele, aby wytrzymać, pomimo ośmiu lat praktykowania. „Kaczastrofa! Kaczastrofa!" – emituje co i raz Giertych, ale jego tweety brzmią zupełnie jak wysyłany desperacko sygnał SOS z błaganiem o pomoc.

Pomoc jednak nie nadchodzi, więc „kaczastrofa" wisi w powietrzu, bo Prezes – zwyczajnie żyjąc – już zagraża Polsce! Oczywiście tej Polsce Giertycha od ośmiu gwiazdek i siedmiu boleści. Czemu nikt nie niesie pomocy nadawcy tych rozpaczliwych tweetów? Gdzie są kamizelki ratunkowe i gdzie powinien nadmuchać? Czemu nikt nie ucieka przed przepowiadaną przez Giertycha kaczastrofą planety? Czemu wszyscy lekceważą ten głos proroka na pustyni i puszczy opozycji? Czy twitterowa twórczość mecenasa Giertycha to jeszcze komentarz polityczny czy już polska odmiana Pytii z Delf przepowiadającej w ekstazie nad wyziewami z ziółek?

Czy Prezes wie, co narobił z szefem dawnej przystawki? Przecież już w 2005 r. Pilch ostrzegał przed Mecenasem w pamiętnym felietonie pt. „Koniu robi wydrę". Już wtedy gawędziarz z Wisły opisał „silne jazdy drągala" z precyzją psychologa szkolnego. Nie wiedzieć czemu ten tekst nie chce się pojawić na egzaminie maturalnym, a przecież jako charakterystyka postaci jest wybitny pod względem językowym i poznawczym. Tak, wiem, dziś to dawni czytelnicy i towarzysze Pilcha lajkują i udostępniają mecenesa na wyścigi i co sił w wątłych neuronach.

Giertych z „koniu" stał się nagle „guru" liberalnego salonu. I nikt już mu w zęby nie zagląda, bo koniu to już swój człowiek, odkąd wydaje dźwięki i tweety w chórze. „Pragnienie władzy ma jak diabli" – stwierdził Pilch w końcówce felietonu i trzeba tu nieżyjącemu pisarzowi uczciwie przytaknąć. Nie tylko zresztą to pragnienie ma Giertych iście diabelskie… ©℗

eprasa.pl e2030e6019

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Łagodne oczy Bieruta

Dzień 60. urodzin prezydenta Bolesława Bieruta – 18 kwietnia 1952 r. – obchodzono wyjątkowo hucznie i z pompą. Były akademie ku czci ukochanego Nauczyciela i Wodza Polaków, „spontaniczne" zobowiązania produkcyjne załóg, nadanie jego imienia Uniwersytetowi we Wrocławiu, Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie itd.

Wszystko przebił jednak hołd złożony mu przez polskich poetów – tom „Wierszy o Bolesławie Bierucie", wydany w Czytelniku, zebrany przez autora anonima. Nie podpisał się, dobrze wiedząc, że antologia nie przynosi mu chwały. I rzeczywiście – jest przemilczana, nigdy niewznawiana, w bibliotekach dostępna do czytania jedynie „na miejscu" (wykradali ją bowiem jej autorzy, wstydząc się później swego w niej udziału). Antologie wierszy o komunistycznych bohaterach – Dzierżyńskim, Świerczewskim, funkcjonariuszach UB – wydawano wtedy bardzo często, ale ich autorami byli przeważnie „reżimowcy", młodzi pryszczaci, druga liga. W tym przypadku było to 14 najlepszych ówczesnych poetów, kilku wybitnych, przedwojennych, luminarzy naszej poezji: Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski, Artur Międrzyrzecki, Jerzy Ficowski, Anna Kamieńska, Stanisław Piętak, Adam Ważyk, Wiktor Woroszylski, Stanisław Wygodzki, Włodzimierz Słobodnik, Tadeusz Kubiak (wraz z nimi było jedynie dwóch „reżimowców" – Jan Koprowski, Henryk Gaworski oraz nieznany Teofil Kowalczyk).

Nie odmówili udziału w antologii ku czci polskiego Stalina, a raczej Stalinka, choć nie groziły za to represje, tylko milczenie, marginalizacja, brak przywilejów. Wiedzieli, a przynajmniej powinni, że był namiestnikiem Kremla, ślepo oddanym sługusem Stalina, który wyznaczył go na prezydenta Polski, agentem NKWD (od agenta do prezydenta – mówiono i nazywano Bieruta sowieckim czyścibutem), a jego rządy były najczarniejszym okresem stalinizmu – więzień i wyroków śmierci dla tysięcy AK-owców, Żołnierzy Wyklętych, obozu dla młodocianych w Jaworzu, aresztowania prymasa Wyszyńskiego.

Bierut fotografował się z sarenkami, nigdy jednak, mimo błagalnych listów dzieci, nie ułaskawiał ich ojców. Tymczasem 14 znanych poetów podlizywało się mu, wychwalało go, pisało bałwochwalcze panegiryki, wiernopoddańcze laurki, pomagając w kreowaniu kultu „towarzysza Tomasza". Idealizowali i heroizowali jego pozbawiony wielkich czynów życiorys bezbarwnego, partyjnego aparatczyka, robiąc z niego bojownika o szczęście Polaków, komunistycznego herosa, troskliwego „Gospodarza Narodu".

W „Liście do prezydenta" Iwaszkiewicz życzył mu długich lat życia i pracy, nazywał polskim patriotą, obiecywał swoją pomoc. Błyskotliwy, inteligentny Antoni Słonimski w „Portrecie prezydenta" podziwiał jego „oczy łagodne i czyste", które patrzyły na Polaków z portretów w każdym zaplutym sklepiku. Cieszył się, że okna Bieruta świecą się do późnej nocy, bo gwarantuje mu to spokojny sen. Pozostali panegiryści wychwalali najczęściej podbarwiony życiorys Ojca Narodu – proletariackie pochodzenie. „Lud zasiadł w Belwederze" – cieszył się Ważyk w swojej „Drodze pokoleń". Międzyrzecki natomiast w „Nocy noworocznej" (1943–1944) przypominał wiekopomne powołanie przez Bieruta zdradzieckiej Krajowej Rady Narodowej, pierwszego, samozwańczego rządu komunistów. Niemal wszyscy podkreślali też jego „wielkie oddanie partii", nieśmiertelnym naukom Lenina i Stalina. „To partia – bredził Woroszylski – powołała go, by pod jego wodzą zwyciężać".

Powstały też wiersze, które nie znalazły się w antologii, np. wspólnie napisany przez Wisławę Szymborską i Tadeusza Różewicza „Dytyramb na cześć Bolesława Bieruta", potworki Brzechwy, Sterna, Wandy Grodzieńskiej i Lucyny Krzemienieckiej, przeznaczone dla dzieci, dla „Świerszczyka" (!).

Byli jednak i ci, którzy pisali o Bierucie inaczej. „Trzeba rzadkiej wierności sługi, aby umrzeć w tym samym miejscu i miesiącu, co jego pan. Łza żadna po tym człowieku z polskich oczu nie spłynie" – notowała w swoim dzienniku Maria Dąbrowska. Utrwaliła też reakcje Polaków na niespodziewaną śmierć Bieruta, zmarłego w Moskwie w marcu 1956 r. (po referacie wygłoszonym przez Chruszczowa na XX zjeździe sowieckiej partii, demaskującym zbrodnie stalinizmu, za które Bierut był współodpowiedzialny). Oficjalnie zmarł na grypę i zapalenie płuc. Polacy jednak podejrzewali otrucie lub zabójstwo. „Ta grypa to lipa, to zapalenie płuc to puc, ten zawał to kawał"; „Zjadł ciastko z Kremlem"; „Pojechał dumnie, wrócił w trumnie"; „Wyjechał w futerku, wrócił w kuferku" – mówili. Proponowali nazwać Moskwę „Często-chową".

Zmarli tam również dwaj inni przywódcy „bratnich" partii – Klemens Gottwald i Georgij Dymitrow. „Z Moskwy go przysłali / I przedtem, i teraz / Moskwa daje życie / Moskwa je odbiera" – śpiewał Jacek Kaczmarski w „Pogrzebie Bieruta". ©℗

eprasa.pl e2030e6019

USA DZIŚ

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Aresztowali Trumpa. Sędzia zakazał obecności kamer na sali rozpraw. Powód? Gdyby Trump mógł się bronić na oczach milionów, byłoby widać, że proces jest ustawiony. Gdy wszystko odbywa się za zamkniętymi drzwiami, łatwiej udawać, że gra jest fair, a oskarżony jest traktowany jak osoba niewinna do czasu udowodnienia win. Domniemanie niewinności było w USA zasadą, która odróżniała ten kraj od tyranii i dyktatur (odróżniała – czas przeszły).

Prokurator, który założył tę sprawę, obiecywał w swojej kampanii wyborczej, że wsadzi Trumpa. Obiecywał to przed rozpoznaniem sprawy, przed zebraniem dowodów, przed rozpoczęciem śledztwa. Czyli obiecywał, że wsadzi Trumpa niezależnie od tego, czy Trump jest winny czy nie. Aparat „sprawiedliwości" działał w taki sposób za czasów Stalina i działa dziś w Chinach i Korei Północnej – dajcie mi człowieka, a ja znajdę na niego paragraf. Stronniczy prokurator i stronnicza ława przysięgłych (na Manhattanie nie da się dobrać ławy przysięgłych, którzy nie popierają demokratów), a do tego stronniczy sędzia. Jego córka pracowała w sztabie wyborczym Biden-Harris. W tej konfiguracji Trump nie ma szans na uczciwy proces.

***

Trump to punkt zwrotny w historii Ameryki – waszyngtońskie bagno zostało zaskoczone przegraną Hillary Clinton. Byli pyszni i przegapili nastroje narodu. Wtedy ogarnęło ich przerażenie – że naród odbierze im władzę i uprzątnie bagno. Ruszyli do ataku i nie przestają atakować: dwa impeachmenty (oba nieudane), najazd FBI i rewizja w domu Trumpa (nic nielegalnego nie znaleziono), podsłuch w sztabie Trumpa przed zaprzysiężeniem, pierwszy prezydent usunięty z Twittera, aresztowany, oskarżony. Czy to wszystko po to, by nie wygrał kolejnych wyborów? Niekoniecznie. Wybory to sobie demokraci potrafią sfałszować, a Trump z kolei ma prawo kandydować nawet z więzienia, więc nie o to chodzi. To o co?

Trump został postawiony w stan oskarżenia tydzień po tym, gdy ogłosił, że zakończy wojnę na Ukrainie. Gdyby tylko tak gadał, nikt by się nie przejmował, ale wszyscy WIEDZĄ, że to prawda. Putin wie i krwawy dyktator Chin wie, i Hillary Clinton też wie, Iran wie, Turcja wie, Saudowie wiedzą, a przede wszystkim wie to na 100 proc. lobby zbrojeniowe, że gdyby Trump dostał władzę, wojna na Ukrainie skończyłaby się od ręki. Znają go już od tej strony – Trump za pierwszej prezydentury wygasił kilka konfliktów, które trwały od wielu lat. Był także prezydentem, który nie zaczął żadnej nowej wojny. Putin za Trumpa siedział z podkulonym ogonem i cieszył się Krymem, który zajął za miękkiego lowelasa Obamy. Putin za Trumpa siedział cicho, bo się bał. Pamiętają państwo, jak Trump walił rakietami z okrętów na Morzu Śródziemnym w tereny, które od lat stanowiły strefę wpływów Rosji? Putin to pamięta doskonale i dlatego za Trumpa siedział cicho.

Lobby zbrojeniowe działa tak: gdy w czasie swojej prezydentury Trump zatrzymał na jeden miesiąc dostawy broni na Ukrainę – zrobili mu pierwszy impeachment. Gdy wykazał powiązania korupcyjne klanu Bidenów na Ukrainie – zrobili mu drugi. A teraz, gdy powiedział, że zakończy wojnę, postawili go w stan oskarżenia i chcą wsadzić do więzienia na 136 lat.

***

Ameryka długo była „inna" niż reszta świata; lepsza, wyjątkowa. Stany Zjednoczone to był najwspanialszy projekt społeczny w historii ludzkości. Żaden inny kraj nie dawał swoim obywatelom więcej wolności osobistej, większych możliwości rozwoju, awansu i większego bogactwa. Złote miasto lśniące na szczycie góry. A dziś? W USA skazano (wyrok kryminalny) człowieka za internetowe memy wyśmiewające Hillary Clinton. Kiedyś w USA mogłeś żartować ze wszystkiego, a wolność słowa była gwarantowana poprawką do konstytucji. Dziś nie wolno żartować z Hillary Clinton. Dodam jeszcze, że te żarty wcale nie były oryginalne – facet kopiował żarty na temat Trumpa, które robili sobie w tym samym czasie demokraci. Wymieniał słowo „Trump" na „Hillary" i wywieszał. Nikogo nie skazano za symetryczne żarty dotyczące Trumpa.

***

Po ponad dwóch latach odtajniono wreszcie filmy z wewnętrznej sieci Kongresu nagrane 6 stycznia 2021 r., w trakcie rzekomego powstania trumpistów, które najechało na Capitol. Na filmach widać, że była to prowokacja służb, która miała zakryć oszustwa wyborcze demokratów. Widać, że to policja otwiera bramki i pancerne drzwi, słychać, jak rozmawia o wpuszczaniu ludzi do budynku. Jest taki film, gdzie człowiek ze słuchawką w uchu WCIĄGA ludzi za fraki do środka, a oni do niego mówią: „You pushed us in!".

To są filmy, które wcześniej określano jako teorie spiskowe, a teraz są oficjalnym dowodem na komisji Kongresu. Widać na nich, jak „powstańcy" spacerują spokojnie, wewnątrz barierek ustawionych do kierowania ruchu wycieczek turystycznych; niczego nie niszczą, a ochrona grzecznie kieruje ruchem… turystycznym.

Jedynymi przestępcami, którzy tamtego dnia łamali zasady porządkowe, wdarli się na mównicę, byli udowodnieni działacze Antify, udający zwykłych obywateli i zwolenników Trumpa.

Ludzie, którzy chodzili posłusznie w obszarach przeznaczonych dla wycieczek turystycznych, siedzą w areszcie od ponad dwóch lat, czekając na proces. Procesu nie ma, bo nie ma ich za co skazać, ale… siedzą bez wyroków. Taka jest Ameryka dzisiaj. ©℗

eprasa.pl e2030e6019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

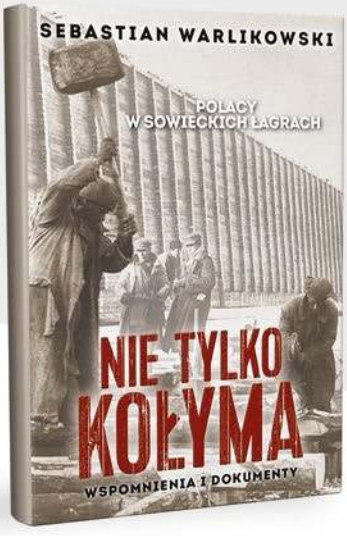

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SEBASTIAN WARLIKOWSKI: „POLACY W SOWIECKICH ŁAGRACH. NIE TYLKO KOŁYMA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~929~~ZŁ

346,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 583ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e2030e6019

NARODOWY BANK POLSKI

80. ROCZNICA WYBUCHU POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM

MONETY KOLEKCJONERSKIE NBP

Narodowy Bank Polski 12 kwietnia 2023 r. wyemituje dwie monety kolekcjonerskie upamiętniające 80. rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim – złotą o nominale 200 zł i srebrną o nominale 10 zł.

Powstanie rozpoczęło się 19 kwietnia 1943 r., a walki trwały kilka tygodni. Był to największy akt zbrojnego oporu ludności żydowskiej podczas II wojny światowej i jednocześnie pierwsze powstanie miejskie w okupowanej Europie.

Monety kolekcjonerskie do nabycia w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: KOLEKCJONER.NBP.PL

eprasa.pl e2030e6019